wszystko, co wiem o randkach, imprezowaniu, przyjaźni, pracy, życiu, miłości

dolly alderton

„Urocza i przezabawna” DAILY TELEGRAPH

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

wszystko, co wiem o randkach, imprezowaniu, przyjaźni, pracy, życiu, miłości

dolly alderton

Przełożyła
Aga Zano

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
EVERYTHING I KNOW ABOUT LOVE

Copyright © Dolly Alderton, 2018
All rights reserved

Projekt okładki
StudioHelen

Opracowanie wersji polskiej okładki
Ewa Wójcik

Redaktor prowadząca
Milena Rachid Chehab

Redakcja
Aneta Kanabrodzka

Korekta
Katarzyna Kusojć
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8169-922-8

Warszawa 2020

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Wszystko, co wiedziałam o miłości jako nastolatka

Nie ma na świecie nic ważniejszego i bardziej ekscytującego niż miłość romantyczna.

Jeśli dorosły człowiek jej nie doświadcza, to znaczy, że przegrał życie, tak jak wiele moich nauczycielek historii sztuki, które mają natapirowane włosy i noszą etniczną biżuterię.

Ważne, by uprawiać seks z wieloma partnerami, ale chyba lepiej nie mieć na liczniku więcej niż dziesięciu.

Jako singielka w Londynie będę szalenie elegancka i szczupła; zamierzam nosić czarne sukienki, pić martini i poznawać mężczyzn wyłącznie na premierach książek i wernisażach w galeriach sztuki.

Prawdziwą miłość można poznać po tym, że dwóch chłopaków wdaje się w bójkę o ciebie. Najlepiej, jeśli poleje się krew, lecz nikogo nie trzeba odwozić do szpitala. Jeśli będę miała szczęście, kiedyś coś takiego mi się przytrafi.

Dziewictwo koniecznie należy stracić po siedemnastych urodzinach, ale przed osiemnastymi. Nawet jeden dzień przed jest w porządku, jeśli jednak wejdziesz w dziewiętnasty rok życia jako dziewica, już nigdy nie będziesz miała szansy na seks.

Możesz się całować z tyloma facetami, z iloma zechcesz. To nic nie znaczy, przecież tylko trenujesz.

Najfajniejsi chłopcy to ci wysocy, żydowskiego pochodzenia i z samochodem.

Starsi są najlepsi, bo bardziej światowi i obyci, a poza tym mają nieco mniej wyśrubowane standardy.

Kiedy koleżanki znajdują sobie chłopaków, stają się nudne. Zajęta koleżanka jest fajna wyłącznie wtedy, kiedy ty też masz faceta.

Jeśli nigdy nie będziesz pytać koleżanki o jej chłopaka, w końcu dotrze do niej, że ciebie to nudzi, i przestanie o nim gadać.

Dobrze jest wyjść za mąż na nieco późniejszym etapie życia, żeby najpierw trochę pożyć. Dwadzieścia siedem lat to dobry wiek.

Farly i ja nigdy nie zakochamy się w tym samym chłopaku, bo jej podobają się niscy i pyskaci, tacy jak Nigel Harman, a ja wolę tajemniczych macho w rodzaju Charliego Simpsona z zespołu Busted. Właśnie dlatego nasza przyjaźń będzie trwać wiecznie.

Żadna chwila w moim życiu nie będzie tak romantyczna jak ta, kiedy Lauren i ja grałyśmy w tym dziwnym pubie na St Albans w walentynki. Zaśpiewałam wtedy *Lover, You Should've Come Over*, a Joe Sawyer siedział w pierwszym rzędzie i zamknął oczy, bo wcześniej rozmawialiśmy o Jeffie Buckleyu. Joe jest jedynym chłopakiem, jakiego spotkałam, który mnie w pełni rozumie i wie, kim tak naprawdę jestem.

Żadna chwila w moim życiu nie będzie tak żenująca jak ta, kiedy próbowałam pocałować Sama Leemana, a on zrobił krok w tył i się wywaliłam.

Żadna chwila w moim życiu nie będzie tak bolesna jak ta, kiedy Will Young ogłosił, że jest gejem, i musiałam udawać, że mi to nie przeszkadza, ale potem się poryczałam i spaliłam notes w skórzanej oprawie z bierzmowania, w którym napisałam powieść o naszym wspólnym życiu.

Chłopcy bardzo lubią, kiedy jest się dla nich wredną; uważają, że zbyt miłe dziewczyny są dziecinne i nieciekawe.

Kiedy wreszcie znajdę sobie chłopaka, nie będzie się liczyć nic więcej.

Chłopcy

Dla niektórych odgłosem przypominającym czasy dojrzewania są radosne piski bawiącego się w ogrodzie młodszego rodzeństwa. Dla innych – terkot łańcucha w ukochanym rowerze podskakującym na wyboistych drogach prowadzących przez wzgórza i dolinki. Ktoś pewnie wspomina śpiew ptaków po drodze do szkoły albo śmiech i kopanie piłki na podwórku. Dla mnie takim sygnałem jest odgłos modemu AOL.

Do dziś pamiętam każdy ton: najpierw metaliczne pohukiwanie telefonu, cienkie, przerywane piski sygnalizujące na wpół nawiązane połączenie, wysoki dźwięk informujący o postępach, a następnie dwa niskie, szorstkie trzaski i biały szum. Potem cisza wskazująca na to, że udało się przebić przez najgorsze. „Witamy w AOL", odzywał się kojący głos, zawsze w kadencji na literze „O". A kiedy to już nastąpiło, rozlegał się komunikat: „Masz nowe wiadomości". Tańczyłam po pokoju do dźwięków modemu, żeby ciągnący się w nieskończoność czas nawiązywania połączenia upływał nieco szybciej. Stworzyłam sobie choreografię z kroków, których nauczyłam się na lekcjach baletu: *plié* na sygnałach telefonu, *pas de chat* przy trzaskach. Robiłam tak co wieczór po powrocie ze szkoły do domu. To była ścieżka dźwiękowa mojego życia. Cały wiek nastoletni spędziłam w internecie.

Tytułem wyjaśnienia: dorastałam na przedmieściach. I to już całe wytłumaczenie. Kiedy miałam osiem lat, rodzice podjęli okrutną decyzję o przeprowadzce z mieszkania w suterenie na Islington do większego domu w Stanmore – to ostatnia stacja na linii Jubilee, najdalszy skrawek północnego Londynu, pusty margines miasta,

z którego można było obserwować przyjęcia, ale już nie dało się wziąć w nich udziału.

Dorastanie w Stanmore oznacza, że nie jesteś ani z miasta, ani ze wsi. Mieszkałam za daleko od Londynu, by przynależeć do tych fajnych dzieciaków, które chodziły do Ministry of Sound, mówiły z niechlujnym akcentem i nosiły ciuchy vintage wygrzebane w zaskakująco dobrych lumpeksach na Peckham Rye. Z drugiej strony nie byłam dość blisko Chilterns, by stać się jedną z pyzatych, niesfornych nastolatek ze wsi, które noszą stare rybackie swetry i w wieku trzynastu lat uczą się prowadzić citroëna taty albo włóczą się całymi dniami i chodzą z kuzynami do lasu, żeby brać kwas. Przedmieścia północnego Londynu stanowiły tożsamościową próżnię. Czułam się bardziej beżowa od pluszowych dywanów zdobiących każdy dom w tej części miasta. Nie było tu sztuki, kultury, starych budynków, parków, niszowych sklepów ani małych restauracji, mieliśmy za to pod dostatkiem klubów golfowych, sieciówek Prezzo z włoskim żarciem, prywatnych szkół, podjazdów, rond, outletów i centrów handlowych z przeszklonymi dachami. Wszystkie kobiety wyglądały tak samo, wszystkie domy wyglądały tak samo i wszystkie samochody wyglądały tak samo. Jedyną dostępną formę indywidualnej ekspresji stanowiło wydawanie pieniędzy na homogeniczne dobra: przeszklone patia, dobudówki w kuchni, samochody z nawigacją, wakacje all inclusive na Majorce. Jeśli nie grało się w golfa, nie potrzebowało się pasemek i nie szukało salonu Volkswagena, nie było tu absolutnie nic do roboty.

Wszystko to stawało się jeszcze boleśniejsze, jeśli było się nastolatką skazaną na łaskę i niełaskę matki wożącej cię wyżej wspomnianym volkswagenem golfem GTI. Na szczęście moja przyjaciółka Farly mieszkała zaledwie pięć i pół kilometra od miejsca, gdzie ja mieszkałam, i mogłam jeździć do niej rowerem.

Farly nie przypominała – i nadal nie przypomina – nikogo innego w moim życiu. Poznałyśmy się w szkole, kiedy miałyśmy po jedenaście lat. Była i jest moim absolutnym przeciwieństwem. Ona jest ciemna, ja blada. Ona trochę za niska, ja nieco za wysoka. Ona wszystko planuje i ustala, ja zostawiam na ostatnią chwilę. Uwielbia porządek, mojemu sercu bliższy jest bałagan. Kocha zasady, ja ich

nie znoszę. Umie poskramiać ego, ja uważam, że moje poranne tosty są dość ważne, by informować o nich w mediach społecznościowych (trzema różnymi kanałami). Jest zakorzeniona w tu i teraz i zawsze skupia się na wykonywanym właśnie zadaniu, ja zawsze tkwię gdzieś w połowie między życiem i jego zmyśloną wersją w swojej głowie. A mimo to jakoś się dogadujemy. Nigdy nie miałam więcej szczęścia niż tamtego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy usiadła obok mnie na matematyce.

Porządek dnia z Farly zawsze wyglądał tak samo: siadałyśmy przed telewizorem z górą bajgli i czipsów (ale tylko kiedy rodziców nie było w domu; kolejnym znakiem rozpoznawczym podmiejskiej klasy średniej jest wyjątkowa troska o kanapy i surowy zakaz jedzenia w salonie) i oglądałyśmy amerykańskie sitcomy o nastolatkach na Nickelodeonie. Kiedy kończyły nam się odcinki *Bliźniaczek*, *Jak dwie krople czekolady* i *Sabriny, nastoletniej czarownicy*, przechodziłyśmy na kanały z muzyką i z rozdziawionymi ustami gapiłyśmy się na ekran, co dziesięć sekund przeskakując z MTV na MTV Base i VH1 w poszukiwaniu konkretnego teledysku Ushera. Kiedy i to nam się nudziło, wracałyśmy na Nickelodeon i oglądałyśmy powtórki tych samych amerykańskich seriali o nastolatkach, które przerobiłyśmy godzinę wcześniej.

*

Morrisey opisał kiedyś swoje nastoletnie życie jako „czekanie na autobus, który nigdy nie przyjechał”; to poczucie jeszcze się pogłębiało podczas dojrzewania w mieście, które wygląda jak beżowa poczekalnia. Byłam znudzona, smutna, samotna i cały czas spędzałam na niespokojnym odliczaniu godzin do końca dzieciństwa. Aż nagle, niczym rycerz w lśniącej zbroi, na pececie rodziców pojawił się modem AOL. A razem z nim komunikator MSN.

Kiedy pobrałam MSN i zaczęłam dodawać adresy mailowe kontaktów – przyjaciół ze szkoły, znajomych znajomych, koleżanek z pobliskich szkół, mimo że nigdy nie poznałam ich na żywo – poczułam się tak, jakbym zapukała do ściany więziennej celi i usłyszała postukiwanie z drugiej strony. Jakbym znalazła źdźbło

trawy na Marsie. Jakbym od wieków kręciła gałką radia i wreszcie usłyszała, jak trzaski przechodzą w dźwięk ludzkiego głosu. Znalazłam sekretne drzwiczki prowadzące z podmiejskiego budyniu do przestrzeni tętniącej życiem.

MSN w moich nastoletnich czasach był czymś więcej niż sposobem na kontaktowanie się ze znajomymi – był przestrzenią. Tak go zapamiętałam: jako pokój, w którym fizycznie przesiadywałam przez długie wieczory i weekendy, aż miałam przekrwione oczy od gapienia się w ekran. Nawet gdy wyjeżdżaliśmy z przedmieścia i rodzice w akcie szczodrości zabierali mnie i brata na wakacje do Francji, nadal przebywałam w tym samym pokoju. Natychmiast po przyjeździe do nowego B&B sprawdzałam, czy mają tam komputer z internetem – zazwyczaj znajdował się w ciemnej piwnicy – i logowałam się na MSN, a potem bezwstydnie przesiadywałam godzinami przed ekranem, ignorując nadąsanego francuskiego nastolatka czekającego w fotelu za mną na swoją kolej. Słońce Prowansji prażyło na dworze, cała rodzina leżała nad basenem i czytała książki, ale rodzice doskonale wiedzieli, że w kwestii MSN-a nie ma ze mną dyskusji. To było siedlisko wszystkich moich przyjaźni. Moja osobista przestrzeń. Jedyne, co należało tylko do mnie. I jak już mówiłam, to było prawdziwe miejsce.

Mój pierwszy adres mailowy brzmiał misia_1_4@hotmail.com; założyłam go w sali komputerowej w szkole, kiedy miałam dwanaście lat. Wybrałam czternaście, bo uznałam, że będę pisać maile tylko przez dwa lata, a potem stanie się to dziecinne; dałam sobie czas, by nacieszyć się nową modą ze wszystkimi ekscentrycznymi przyległościami, spodziewając się, że adres straci ważność w dniu moich czternastych urodzin. Dopiero w tym wieku zaczęłam używać MSN-a i wtedy zdążyłam też wypróbować willyoungciacho@hotmail.com, by wyrazić swoje uczucia do zwycięzcy edycji *Pop Idola* z dwa tysiące drugiego roku. Po szalenie udanym występie w roli hrabiego Filipa de Chagny w szkolnej inscenizacji *Upiora w operze* dałam też szansę adresowi ja_dramatyczna@hotmail.com.

Po zainstalowaniu MSN-a odkopałam misię_1_4 i z radością patrzyłam na pękającą w szwach listę kontaktów do znajomych

ze szkoły, zebraną przez lata od założenia tego konta. A co najważniejsze, czat pozwolił mi też odkryć chłopców. Tak się złożyło, że wtedy jeszcze żadnych nie znałam. W całym życiu nie spędziłam tak naprawdę ani chwili na osobności z innym przedstawicielem płci przeciwnej niż mój brat, młodszy kuzyn, tata i kilku jego znajomych z krykieta. MSN otworzył przede mną skrzynię skarbów pełną Chłopców Widmo, ich adresów mailowych i awatarów rozdawanych szczodrze przez różne dziewczyny ze szkoły – te, które spotykały się z chłopakami w weekendy, a następnie wielkodusznie dzieliły się ich namiarami z całą klasą. Każda koleżanka dodawała ich do znajomych i wszystkie prędzej czy później miałyśmy swoje piętnaście minut sławy, kiedy udało nam się z nimi pogadać.

Źródła pochodzenia chłopców można było podzielić na trzy szerokie kategorie. Pierwsza: syn chrzestny matki którejś z koleżanek albo jakiś marginalny przyjaciel rodziny, z którym dorastała, zazwyczaj rok lub dwa starszy od nas, bardzo wysoki i patykowaty, o niskim głosie. Do tej kategorii wrzucało się też chłopaków ze szkoły mieszkających po sąsiedzku z jedną z naszych koleżanek. Druga: bliżsi i dalsi kuzyni. I wreszcie trzecia, najbardziej egzotyczna: chłopak, którego poznawało się na rodzinnych wakacjach. To był prawdziwy Święty Graal; mógł być z absolutnie każdego miejsca na świecie, nawet tak odległego jak Bromley czy Maidenhead, a mimo to rozmawiało się z nim na MSN-ie z taką łatwością, jakby znajdował się w tym samym pokoju. Cóż za obłęd, prawdziwa przygoda.

Szybko zebrałam cały kajecik takich sierotek i przybłędów, a następnie nadałam im osobną etykietkę w kontaktach, którą nazwałam CHŁOPAKI. Gadałam z nimi całymi tygodniami – o egzaminach, ulubionych zespołach, ile kto pije i pali, i „jak daleko" udało nam się „zajść" z płcią przeciwną (te fikcyjne informacje zawsze stanowiły wytwór monumentalnej pracy twórczej). Oczywiście rzadko mieliśmy jakiekolwiek pojęcie, jak kto wygląda – to było jeszcze przed czasami aparatów w telefonach i profili w mediach społecznościowych – tak więc jedyne, co człowiekowi zostawało, to maleńki awatarek i opis. Czasami zadawałam sobie trud skorzystania ze skanera mamy i wrzucałam do komputera jakieś korzystne zdjęcie z rodzinnego obiadu albo wakacji, a następnie

starannie usuwałam ciocię albo dziadka za pomocą gumki w Paincie, ale zazwyczaj mi się nie chciało, bo to jednak okropnie dużo zachodu.

Wejście wirtualnych chłopców do świata szkolnych koleżanek wiązało się z rozkwitem całego ogródka świeżych konfliktów i dramatów. Wiecznie kręcił się młyn plotek, kto z kim rozmawia. Dziewczyny przyrzekały wierność chłopakom, których w życiu nie widziały na oczy, umieszczały ich imiona w swoich identyfikatorach, zawsze w otoczeniu podkreślników, gwiazdek i serduszek. Niektóre sądziły, że rozmawiają z kimś online na wyłączność, ale oserduszkowane nazwy innych użytkowniczek zdradzały coś przeciwnego. Czasami zupełnie obce dziewczyny z sąsiednich szkół dodawały nas do kontaktów tylko po to, by zapytać prosto z mostu, czy rozmawiamy z tym samym chłopakiem, co one. Zdarzało się też – te historie zawsze były opowiadane w świetlicy ku przestrodze – że któraś przypadkiem ujawniała związek z chłopakiem, bo napisała do niego wiadomość w złym okienku i wysłała koleżance. Rozpętywały się tragedie na szekspirowską skalę.

W necie obowiązywała skomplikowana etykieta; jeśli zarówno ty, jak i chłopak, który ci się podobał, byliście zalogowani jednocześnie, ale on się do ciebie nie odzywał, najlepszym sposobem na ściągnięcie jego uwagi było wylogowanie się i zalogowanie jeszcze raz, bo wtedy system powiadamiał go o twojej obecności, co miało szansę zaowocować rozmową. Inną chętnie stosowaną sztuczkę stanowiło ukrywanie statusu online, jeśli chciało się uniknąć rozmawiania z kimkolwiek poza konkretną osobą, tak żeby nikt tego nie zauważył. To wszystko składało się na złożony edwardiański taniec dworski, w którym uczestniczyłam chętnie i z zaangażowaniem.

Wielogodzinne rozmowy rzadko prowadziły do spotkań w prawdziwym życiu, a jeśli nawet, to niemal zawsze kończyły się miażdżącym rozczarowaniem. Na przykład Max z podwójnym nazwiskiem, notoryczny czatowy casanova, znany z wysyłania dziewczynom pocztą zegarków Baby-G – po wielu miesiącach rozmów Farly umówiła się z nim pewnego sobotniego popołudnia przed kioskiem w Bushey. Zobaczyła go z oddali, spanikowała

i schowała się za śmietnikiem. Patrzyła, jak raz za razem dzwoni do niej na komórkę z budki telefonicznej, ale nie potrafiła sobie poradzić z perspektywą spotkania twarzą w twarz i zwiała do domu. A potem dalej co wieczór gadali godzinami na czacie.

Ja miałam dwie takie sytuacje. Pierwsza była katastrofą – randka w ciemno w centrum handlowym nie trwała nawet piętnastu minut. Za drugim razem spotkałam się z chłopakiem z pobliskiej szkoły z internatem. Rozmawiałam z nim prawie przez rok, zanim wreszcie umówiliśmy się na pierwsze spotkanie w Pizza Express w Stanmore. Przez następny rok tworzyliśmy coś w rodzaju przerywanego związku, głównie dlatego, że on zawsze musiał siedzieć w szkole, czasami jednak go odwiedzałam, zawsze ze szminką na ustach i z torebką pełną fajek, które kupowałam mu jak sanitariuszka wysyłana na front, by motywować żołnierzy w okopach podczas drugiej wojny światowej. W internacie nie miał dostępu do internetu, nie było więc szans na czatowanie – musiały nam wystarczyć cotygodniowe listy i długie rozmowy telefoniczne, przez które mój ojciec siwiał z rozpaczy, kiedy co miesiąc dostawaliśmy trzycyfrowy rachunek.

*

W wieku piętnastu lat wdałam się w znajomość o wiele bardziej porywającą niż jakikolwiek flirt z okienek czatu MSN. Zaprzyjaźniłam się z Lauren, dziewczyną o niesfornych włosach. Miała mnóstwo piegów i orzechowe oczy zawsze obrysowane eyelinerem. Od dzieciństwa widywałyśmy się od czasu do czasu na przyjęciach urodzinowych w miejscowej kręgielni, ale dopiero nasza wspólna koleżanka Jess zapoznała nas, jak należy, kiedy wybrałyśmy się na obiad do jednej z niezliczonych włoskich sieciówek w Stanmore. Narodziła się między nami więź głębsza niż w jakimkolwiek romantycznym filmie na ITV2. Rozmawiałyśmy, aż zaschło nam w ustach, rozumiałyśmy się bez słów i co chwila zanosiłyśmy się takim śmiechem, że ludzie przy innych stolikach odwracali się, żeby popatrzeć. W końcu Jess pojechała do domu, a kiedy obsługa

wreszcie wykopała nas z restauracji, usiadłyśmy na jakiejś ławce na mrozie, żeby jeszcze trochę porozmawiać.

Lauren była gitarzystką i szukała wokalistki, żeby założyć zespół; ja raz zaśpiewałam na wieczorze open mic w barze z niską frekwencją gdzieś na Hoxton i potrzebowałam gitarzystki. Następnego dnia zaczęłyśmy w garażu jej mamy ćwiczyć covery piosenek Dead Kennedys w konwencji bossa novy. Nadałyśmy naszemu zespołowi roboczą nazwę Wściekła Pankhurst, a potem zmieniłyśmy na jeszcze mniej zrozumiałą Sophie Nie Lata. Pierwszy koncert dałyśmy w tureckiej restauracji w dzielnicy Pinner. Tylko jeden z gości w zapchanej knajpie nie był członkiem naszej rodziny ani znajomym ze szkoły. Następnie zaliczyłyśmy wszystkie najlepsze lokalizacje: foyer kina w Rickmansworth, zapuszczoną przybudówkę piwnego ogródka pubu na Mill Hill, pawilon klubu krykieta tuż za Cheltenham. Grałyśmy na każdej ulicy bez policjanta. Śpiewałyśmy na każdej bar micwie, na którą nas wpuszczono.

Łączyło nas jeszcze jedno wspólne hobby – pionierska metoda dystrybucji treści z naszych czatów na MSN. Już na początku przyjaźni odkryłyśmy, że od powstania komunikatora obie kopiowałyśmy rozmowy z chłopakami i wklejałyśmy do dokumentu w Wordzie, a następnie drukowałyśmy i wpinałyśmy do segregatora, by czytać je przed snem jak powieść erotyczną. Uważałyśmy się za dwuosobową czatową potęgę wydawniczą wczesnych lat dwutysięcznych.

Kiedy jednak udało mi się zadzierzgnąć przyjaźń z Lauren, musiałam opuścić londyńskie przedmieście i zamieszkałam w koedukacyjnej szkole z internatem sto kilometrów na północ od Stanmore. MSN nie zaspokajał już wtedy mojego zainteresowania płcią przeciwną; musiałam się dowiedzieć, jacy są chłopcy w prawdziwym życiu. Przestał mnie satysfakcjonować zwietrzały zapach Ralph Lauren Polo Blue na listach miłosnych, a także piski i pobrzękiwania nowych wiadomości na czacie. Pojechałam do szkoły z internatem, by oswoić się z chłopakami.

(Przy okazji: dzięki Bogu, że tak się stało. Farly została w liceum dla dziewcząt i kiedy wylądowała na uniwersytecie po tych wszystkich latach bez chłopaków, zachowywała się jak wyposzczony

słoń w składzie porcelany. W tygodniu zapoznawczym na uczelni zorganizowano imprezę z „sygnalizacją świetlną”; singli zachęcano do włożenia czegoś zielonego, a osoby w związkach do ubrania się na czerwono. Większość z nas uznała, że zielona koszulka wystarczy, ale Farly pojawiła się w uniwersyteckim barze w zielonych rajstopach, butach, sukience, z wielką zieloną kokardą na głowie, a do tego spryskała włosy zielonym sprejem. Równie dobrze mogła wytatuować sobie na czole: CHODZIŁAM DO ŻEŃSKIEGO LICEUM. Codziennie dziękuję losowi za dwa lata oślej łączki podczas oswajania się z koedukacyjnym środowiskiem szkoły z internatem, bo w przeciwnym razie niewykluczone, że w pierwszych dniach studiów też sięgnęłabym po zieloną mgiełkę do włosów).

Okazało się, że nie mam absolutnie nic wspólnego z większością chłopaków i że praktycznie w ogóle mnie nie interesują, chyba że mam ochotę któregoś pocałować, a tak się złożyło, że żaden chłopak, z którym chciałam się całować, nie był zainteresowany tym pomysłem, równie dobrze mogłabym więc zostać w Stanmore i nadal cieszyć się wyimaginowanymi związkami kultywowanymi na żyznych gruntach swojej wyobraźni.

Uważam, że winę za moje wygórowane oczekiwania wobec miłości ponoszą dwa czynniki: po pierwsze, jestem dzieckiem niemal żenująco zakochanych w sobie rodziców, a po drugie, moją psychikę ukształtowały filmy. W dzieciństwie wyróżniała mnie dość nietypowa obsesja na punkcie starych musicali, a dorastając, uzależniłam się od filmów z Gene’em Kellym i Rockiem Hudsonem i potem oczekiwałam, że chłopcy z mojego otoczenia będą się wykazywać podobnym urokiem i elegancją. Szkoła koedukacyjna szybko ukręciła główkę tym wyobrażeniom. Weźmy na przykład pierwszą lekcję wiedzy o społeczeństwie: byłam jedną z dwóch dziewczyn w dwunastoosobowej klasie i nigdy dotąd nie siedziałam w jednym pomieszczeniu z tyloma chłopakami; najprzystojniejszy, o którym zdążyłam się już dowiedzieć, że to seryjny łamacz serc (jego starszy brat, który skończył szkołę rok wcześniej, miał ksywkę Zeus), podał mi pod stołem karteczkę, podczas gdy nauczyciel wyjaśniał, na czym polega ordynacja proporcjonalna; karteczka była złożona na pół i miała narysowane serduszko, pomyślałam więc, że to liścik

miłosny; otworzyłam go z nieśmiałym uśmiechem, w środku zobaczyłam jednak potwora z podpisem informującym, że to ork z *Władcy pierścieni*; pod spodem widniała wiadomość: „TAK WYGLĄDASZ".

W weekendy odwiedzała mnie Farly. Całymi dniami gapiła się na setki chłopaków wszystkich kształtów i rozmiarów, łażących po ulicach z zarzuconymi na ramiona torbami sportowymi i kijami do hokeja. Nie mogła uwierzyć w moje szczęście: mogłam co rano siedzieć w kościelnej ławce razem z nimi wszystkimi, ja jednak odkryłam, że chłopcy przy bliższym poznaniu rozczarowują. Nie dorównywali poczuciem humoru moim nowym koleżankom ze szkoły i nie byli nawet w ułamku tak interesujący ani życzliwi jak one. Poza tym z jakiegoś powodu nigdy nie potrafiłam tak do końca rozluźnić się przy żadnym z nich.

*

Kiedy skończyłam szkołę, nie korzystałam już z czatu z tak religijnym zaangażowaniem jak wcześniej. Nadszedł mój pierwszy semestr na Uniwersytecie Exeter, a razem z nim świat Facebooka. Serwis okazał się wyspą skarbów dla łowczyń chłopaków online – miałyśmy dostęp do wszystkich najważniejszych informacji na jednej stronie. Regularnie przeglądałam zdjęcia kolegów ze studiów i dodawałam do znajomych każdego, kto choć trochę mi się podobał. Szybko dochodziło do wymiany wiadomości i planowania spotkań na wieczorach szotów albo na imprezach z pianą w którymś z okolicznych klubów. Studiowałam na kampusie w niewielkim miasteczku w hrabstwie Devon; zlokalizowanie się nawzajem nie stanowiło większego wyzwania. Jeśli MSN był białą kartką, którą mogłam zapełniać najdzikszymi fantazjami, to wiadomości na Facebooku stanowiły już tylko skuteczne narzędzie do zawierania znajomości. Właśnie tak studenci namierzali kolejne podboje, tak organizowali sobie czwartkowe wieczory.

Po ukończeniu studiów i powrocie do Londynu raz na zawsze wyleczyłam się z nawyku kontaktowania się z potencjalnymi obiektami uczuć na Facebooku z mocą agresywnej konsultantki

Avonu, ale już zaczęłam zastępować ten zwyczaj następnym. Poznawałam faceta przez znajomych, na imprezie albo na mieście, zdobywałam jego imię i numer telefonu, a następnie tworzyłam z nim trwający tygodniami epistolarny związek oparty na SMS-ach lub mailach, aż wreszcie zgadzałam się na drugie spotkanie twarzą w twarz. Może robiłam tak dlatego, że nie znałam innego sposobu na poznanie kogokolwiek niż z zachowaniem fizycznego dystansu, który zapewniał mi dość przestrzeni na kreowanie najlepszej możliwej wersji siebie. Mogłam błyszczeć genialnymi żartami, najciekawszymi uwagami, piosenkami, które miały wywrzeć najlepsze wrażenie – zazwyczaj dostawałam je od Lauren, w zamian podsuwałam jej piosenki, którymi mogła podzielić się ze swoim facetem, z którym prowadziła taką samą grę. Kiedyś stwierdziła, że wysyłamy sobie dobrą nową muzykę w cenie hurtowej, a następnie przekazujemy facetom jako własne odkrycia z naliczoną „marżą emocjonalną".

Ta forma komunikacji niemal zawsze kończyła się rozczarowaniem. Powoli zaczęłam rozumieć, że lepiej pozwolić pierwszym randkom wydarzać się w prawdziwym życiu zamiast na piśmie, w przeciwnym razie przepaść między prawdziwym człowiekiem a jego wyobrażeniem drastycznie się pogłębia. Wiele razy kreowałam w głowie czyjś obraz i wytwarzałam między nami chemię, jakbym pisała scenariusz, ale kiedy spotykaliśmy się na randce, odczuwałam miażdżący zawód. Przypominało to zawalone próby przed zdjęciami do filmu – zakładałam, że facet zapoznał się z napisanym przeze mnie scenariuszem, i byłam zawiedziona, że jego agent zapomniał go poinstruować, by nauczył się tekstu na pamięć.

Każda kobieta, która spędziła formatywne lata życia w otoczeniu wyłącznie dziewcząt, powie wam to samo: nigdy nie da się zupełnie otrząsnąć z przekonania, że chłopcy to najbardziej fascynujące, kuszące, odpychające i niepojęte stworzenia, jakie kiedykolwiek zasiedlały ziemię, równie niebezpieczne i mityczne, co wielka stopa. Zazwyczaj oznacza to też skazanie się na żywot wiecznej fantastki. Bo jak miałybyśmy tego uniknąć? Przez tyle lat przesiadywałam na murku z Farly, kopałam cegły grubą gumową podeszwą, gapiłam się w niebo i próbowałam stworzyć sobie dość fantazji, by zapomnieć o otaczających nas tabunach dziewczyn w identycznych szkolnych

mundurkach. W żeńskiej szkole wyobraźnia codziennie przechodzi olimpijski trening. Niesamowite, jak łatwo przywyknąć do żaru świata imaginacji, kiedy tak często się do niego ucieka.

Zawsze sądziłam, że moja fascynacja i obsesja na punkcie płci przeciwnej opadną, kiedy skończy się szkoła i zacznie się prawdziwe życie, ale nie miałam pojęcia, że przed trzydziestką będę wiedziała o relacjach z facetami równie mało, co w dniu, kiedy po raz pierwszy zalogowałam się na czacie MSN.

Chłopcy stanowili problem. Piętnaście lat trwało, zanim zdołałam sobie z nim poradzić.

Kronika kiepskich randek: dwanaście minut

Rok dwa tysiące drugi. Mam czternaście lat. Jestem ubrana w spódniczkę w szkocką kratę z Miss Selfridge, neonowopomarańczową bluzkę nad pępek, a na nogach mam czarne martensy.

Chłopak nazywa się Betzalel i jest znajomym Natalie, koleżanki ze szkoły. Poznali się na koloniach judaistycznych i od tamtej pory czatują na MSN-ie, wymieniając się poradami o związkach i życiu. Natalie szuka nowych przyjaźni, bo właśnie straciła większość koleżanek po tym, jak rozniosła plotkę, że dziewczyna z naszego roku się samookalecza, choć tak naprawdę miała tylko ostrą egzemę. Za cel obrała sobie właśnie mnie.

Wie, że chciałabym mieć chłopaka, sugeruje więc Betza, a ja wskakuję na MSN. Jestem zupełnie zadowolona z niepisanej umowy, że ona podrzuci mi nowego gościa do rozmowy, a ja w zamian będę czasami jeść z nią lunch na przerwie.

Po miesiącu codziennych rozmów na czacie Betz i ja praktycznie jesteśmy parą. On uważa, że wszyscy w jego wieku są niedojrzali, ja podobnie, i jest wysoki jak na swoje lata, tak jak ja. Bez przerwy karmimy się tymi wspólnymi doświadczeniami.

Umawiamy się na spotkanie w kawiarni Costa w centrum handlowym Brent Cross. Proszę Farly o towarzystwo, żebym nie musiała iść tam sama.

Kiedy pojawia się Betz, odkrywam, że w niczym nie przypomina siebie ze zdjęcia, które mi wysłał – zgolił przydługie loki i konkretnie przytył od powrotu z kolonii. Machamy do siebie przez stół. Betz nic nie zamawia.

Farly bierze na siebie całą gadkę, a on i ja zawstydzeni gapimy się w milczeniu w podłogę. Ma ze sobą foliówkę ze sklepu – wyjaśnia, że właśnie kupił *Toy Story 2* na DVD. Mówię mu, że to dziecinne, on na to, że w tej spódniczce wyglądam jak Szkot.

Oznajmiam, że będziemy się zbierać, bo musimy złapać stoczterdziestkędwójkę do Stanmore. Randka trwa dwanaście minut.

Kiedy wracam do domu i loguję się na MSN-ie, Betz natychmiast wysyła mi długą wiadomość; wiem, że napisał ją wcześniej w Wordzie i przekleił do czata, na którym pisze fioletowym pochyłym comic sansem. Uważa, że jestem miłą dziewczyną, ale nic do mnie nie czuje. Odpowiadam, że nie wypada pisać całej przemowy i czekać, aż wejdę na czat. Mieszka blisko Brent Cross, a ja musiałam stamtąd jechać dwadzieścia pięć minut autobusem, i oboje wiemy, że on podobał mi się mniej niż ja jemu, tylko że nie chciał pozwolić mi powiedzieć tego jako pierwszej.

Betz na miesiąc mnie blokuje, ale w końcu mi wybacza. Nigdy więcej się nie spotykamy, ale zwierzamy się sobie ze spraw sercowych aż do siedemnastego roku życia.

Ponieważ nie wiąże mnie już żaden kontrakt, nie chodzę więcej na lunche z Natalie.

Kronika kiepskich imprez: akademik University College London, Nowy Rok 2006

To moje pierwsze święta w domu po rozpoczęciu studiów. Lauren, która też wróciła na kilka dni, proponuje, byśmy wybrały się na imprezę noworoczną do akademika University College London. Dostała zaproszenie od Hayley, która chodziła z nią do szkoły. Po rozdaniu dyplomów ani razu się nie widziały.

Docieramy do dużego mieszkania w zapuszczonym budynku w bocznej uliczce między Euston i Warren Street. Wśród obecnych jest mniej więcej po równo znajomych Lauren ze szkoły, studentów UCL palących trawę i przypadkowych przechodniów, którzy zobaczyli otwarte drzwi i usłyszeli piosenkę *Ignition* R. Kelly'ego, lecącą w kółko przez niemal cały wieczór. Lauren i ja przyniosłyśmy po butelce czerwonego wina (Shiraz – o dwa funty droższe, bo to wyjątkowa okazja), które pijemy z plastikowych kubeczków (a nie z butelki, bo to wyjątkowa okazja).

Rozglądam się po pokoju za chłopakami, którzy mieliby wszystkie kończyny i puls. Mam już osiemnaście lat, od sześciu miesięcy jestem aktywna seksualnie i przeżywam właśnie efemeryczny szczytowy okres, w którym seks stanowi dla mnie największą przygodę i odkrycie, jakby był ziemniakami i tytoniem, a ja sir Walterem Raleighem. Nie mogłam pojąć, dlaczego wszyscy wokół nie robią tego bez przerwy. Wszystkie książki, filmy i piosenki świata nie zdołałyby opisać, jakie to wspaniałe; jak ktokolwiek może uważać wieczór za okazję na cokolwiek innego niż seks albo poszukiwanie osoby, z którą dałoby się go uprawiać? (Już przed dziewiętnastymi urodzinami to przekonanie zdradliwie ze mnie wyparowało).

Dostrzegam znajomą, przyjazną twarz zatkniętą na wysokim ciele o szerokich barkach, szybko się orientuję, że należy do chłopaka, który był asystentem asystenta podczas produkcji pewnego sitcomu. Poznałam go wtedy, bo odbywałam na planie licealne praktyki. Wymykaliśmy się ukradkiem zapalić na tyłach studia, flirtowaliśmy i zrzędziliśmy na gwiazdorzących aktorów. Teraz witamy się z otwartymi ramionami i niemal natychmiast zaczynamy się lizać. Tak działam, kiedy hormony buzują w żyłach; od podania ręki prosto do ślimaka, od objęć do ujeżdżania na sucho. Społeczny próg intymności obniżył się o parę szczebli.

Po kilku godzinach picia wina i ocierania się o siebie idziemy do łazienki, żeby doprowadzić sprawę do końca. Zaczynamy grzebać sobie przy dżinsach i miniówce – pijani nastolatkowie próbujący naprawić wywalone korki – kiedy nagle rozlega się pukanie do drzwi.

– KIBEL NIE DZIAŁA! – wołam, podczas gdy asystent asystenta ciamka moją szyję.

– Doll – syczy Lauren. – To ja, wpuść mnie.

Poprawiam guziki spódniczki, podchodzę do drzwi i uchylam je odrobinę.

– No co? – pytam, wystawiając głowę na zewnątrz. Lauren przeciska się przez szparę do środka.

– Słuchaj, zaczęłam kręcić z Finnem… – przerywa, widząc koleżkę w kącie łazienki potulnie zapinającego sobie dżinsy. – O, hej – zwraca się do niego pogodnym tonem. – No więc zaczęłam z Finnem, ale obawiam się, że zauważy moje majtki.

– No i?

– To są gacie wyszczuplające – wyjaśnia Lauren, podciągając sukienkę, by pokazać mi szeroki beżowy pas. – Trzymają brzuch i tłuszcz z pleców.

– No to je ściągnij. Udawaj, że przyszłaś bez majtek – ucinam, popychając ją w stronę drzwi.

– I gdzie niby mam je schować? W każdym pokoju ktoś jest, wszędzie zaglądałam. Nie ma tu ani jednego miejsca bez tabunów ludzi.

– Wsadź je tutaj – radzę, wskazując na szczelinę za brudną spłuczką. – Nikt ich nie znajdzie.

Pomagam Lauren ściągnąć majtki, wciskamy je za kibel, po czym wypycham przyjaciółkę na zewnątrz.

Niestety, za sprawą sporej ilości spożytego alkoholu i wypalonego na spółkę jointa asystent asystenta nie daje rady stanąć na wysokości zadania. Kilka razy próbujemy zaradzić sytuacji (raz tak gorączkowo, że przypadkiem odrywamy kabinę prysznicową od ściany), ale nic z tego. Godzimy się więc z rzeczywistością i przyjaźnie rozchodzimy się każde w swoją stronę – on wybiera się na inną imprezę. Obejmujemy się na pożegnanie. Właśnie minęła północ.

Lauren i ja spotykamy się ponownie w pokoju, gdzie większość gości pali marihuanę, i zdajemy przed sobą sprawozdania z naszych podbojów. Finn też ulotnił się w pierwszych, czarnych jak smoła godzinach nowego roku, skuszony obietnicą lepszej imprezy. Wznosimy toast za niezawodne przyjaźnie i wieczne rozczarowania chłopakami, po czym zauważamy zespół emo, który grał kiedyś z nami na nocy open mic na londyńskim Whetstone. Ona bierze wokalistę z włosami Roberta Smitha, ja łapię basistę z policzkami jak Teletubiś. Przysiadamy całą czwórką na podłodze, opieramy się plecami o szafę i podajemy sobie cienkie papierosy i jointy, na zmianę podpinając swoje iPody do głośnika, żeby grać po równo Johna Mayera i Panic! At The Disco. Muzyka nagle się urywa.

– Ktoś rozwalił prysznic – oznajmia Hayley z autorytatywnym oburzeniem. – Trzeba znaleźć winnego, bo musi za to zapłacić. Inaczej będziemy mieć problemy z administratorem.

– Tak, znajdźmy go – popieram bełkotliwie. – To był chyba ten niski koleś z długimi włosami.

– Który?

– Widziałam go przed chwilą. Na pewno on – wyszedł z łazienki z jakąś laską i strasznie się z czegoś śmiali. Chyba wyszedł na fajkę.

Prowadzę polowanie na czarownice przez korytarz akademika na podwórko, by upolować zmyślonego faceta, ale szybko tracę zainteresowanie zmyłką, bo widzę Joela, który szuka imprezy. Joel to słynny w całym północnym Londynie łamacz serc, ktoś jak Warren Beatty, tylko żydowskiego pochodzenia, z nażelowanymi włosami i bliznami po trądziku. Prawdziwy Danny Zuko z przedmieścia.

Oferuję mu papierosa i już po chwili zaczynamy się lizać, jakby to był odpowiednik small talku o systemie transportu miejskiego. Migrujemy z powrotem do mieszkania, gdzie z zadowoleniem robię spektakl, publicznie idąc w ślinę z Joelem, który jest dobrych kilka punktów wyżej niż asystent asystenta z odległej przeszłości. Szkoda mi tylko, że nie możemy znów skolonizować łazienki, bo teraz tłoczy się tam zespół upalonych śledczych pod przywództwem rozjuszonej Hayley, próbujący wydedukować, kto i jak zepsuł prysznic. Rozglądam się za nową kryjówką, kiedy podchodzi do nas Christine, piękna blondynka (jeśli Joel jest Dannym, to ona może spokojnie robić za Sandy), i pyta, czy może prosić go na słówko. Szlachetnie im na to pozwalam, bo jak mówi stare przysłowie, jeśli chcesz coś przelecieć, pozwól mu odejść.

Lauren i ja wymykamy się na fajkę – przerzucamy się z cienkich na grube.

– Oni chodzili ze sobą w liceum – informuje przyjaciółka. – Bardzo burzliwy związek, co chwila się rozstawali i wracali.

– Och – mówię tylko.

Zerkam przez pokój. Christine i Joel wychodzą z mieszkania, trzymając się za ręce. W drodze do drzwi on macha do mnie przepraszająco.

– Na razie – mówi bezgłośnie.

Lauren jest zajęta rozmową o akordach progresywnych z wokalistą emo; to wyraźny sygnał, że jest poważnie zainteresowana perspektywą seksu. Dochodzi czwarta rano, a ja za dwie godziny muszę wstać do pracy. Jestem asystentką sprzedaży w eleganckim sklepie obuwniczym przy Bond Street. Dostaję jeden procent od sprzedaży i nie mogę sobie pozwolić, by go stracić. Wyruszam na poszukiwanie kawałka dywanu w jakimś ciemnym pokoju, żeby się zdrzemnąć. Ku swej radości odkrywam puste jednoosobowe łóżko, zatem kładę się i nastawiam budzik na szóstą.

Dwie godziny później budzę się z najgorszym kacem w życiu; mózg wywraca mi się na lewą stronę, powieki mam zlepione tuszem do rzęs, a mój oddech śmierdzi tak, jakby schlany sauvignon szczur wpełzł mi w nocy do ust, umarł i zgnił. Spoglądam na swoją brązową

mini z Topshopu, gołe nogi i pirackie kozaki. Przypominam sobie, że nie spakowałam ciuchów do pracy.

– Hayley – syczę, trącając ją dużym palcem u nogi. Śpi na stercie swetrów na podłodze koło łóżka. – Hayley. Muszę pożyczyć sukienkę. Jakąś prostą, czarną. Odniosę ci ją później.

– Zajęłaś mi łóżko – oznajmia sucho. – Nie chciałaś z niego wczoraj wyjść.

– Przepraszam.

– Lauren mi powiedziała, że to ty rozwaliłaś prysznic – mamrocze z twarzą wciśniętą w swetry. Nie odpowiadam i wychodzę po cichu, żałując altruizmu, jakim wykazałam się zaledwie kilka godzin wcześniej, kiedy znalazłam pod poduszką Hayley notes pełen smętnych wierszyków i nie przeczytałam go od deski do deski.

– Wyglądasz jak bezdomna – warczy moja wiedźmowata szefowa Mary, kiedy wchodzę do pracy. – I tak samo śmierdzisz. Idź do magazynu – nakazuje, odprawiając mnie machnięciem ręki, jakby przeganiała muchę. – Nie możesz się tak pokazywać klientom.

Wieczorem wracam do domu po najdłuższym dniu pracy w życiu i loguję się na Facebooka, by zobaczyć zdjęcia szkód z poprzedniej nocy. Na samym szczycie strony głównej wisi zrobione z bliska zdjęcie ogromnych majtek Lauren, wrzucone przez Hayley do albumu „Zgubione rzeczy". Otagowała na nim wszystkich uczestników imprezy. Pod spodem widnieje krótki podpis: „CZYJE TO GACIE?".

Utracjuszka jedzie do Leamington Spa

Pierwszy raz upiłam się w wieku dziesięciu lat. Zostałam zaproszona na bat micwę Nataszy Bratt razem z czterema innymi szczęściarami ze szkoły. Był słoneczny dzień, na podwórku za ich domem na Mill Hill stała markiza, wino lało się strumieniami i wszędzie krążyły półmiski z wędzonym łososiem. Kobiety miały misternie wymodelowane fryzury, wznoszące się i opadające agresywnymi falami, i wargi pomalowane taką samą beżową szminką o metalicznym połysku. My, dziewczynki, ewidentnie poniżej osiemnastego roku życia, w sukieneczkach za kolano i z kolorowymi spinkami we włosach, z jakiegoś niepojętego powodu dostawałyśmy od kelnerów jeden kieliszek szampana po drugim.

Z początku czułam tylko fale ciepła rozlewające się po ciele, krew przyspieszała mi w żyłach, naskórek zaczął lekko mrowić, a potem coś się zmieniło, jakby nagle poluzowały się śrubki we wszystkich stawach: stałam się lekka i sprężysta, jak świeżo wyrośnięte ciasto drożdżowe. I kolejny etap: gadatliwość. Zabawne historyjki, dramatyczne naśladownictwo nauczycieli i rodziców, wulgarne żarty, najlepsze wulgaryzmy (warto dodać, że do dziś wchodzę w stan upojenia alkoholowego w takiej samej kolejności).

Następnie jedna z dziewczynek – nieco bardziej pijana od reszty – rzuciła się na podłogę i między nogami tańczących zaczęła się wić na brzuchu jak ryba wyrzucona na brzeg, tym samym przerywając przedwcześnie taniec ojca z córką do *Brown Eyed Girl* Vana Morrisona. Natychmiast ruszyłam w jej ślady, a kilka sekund później obie zostałyśmy ściągnięte z parkietu i skarcone przez oburzonego wujka. Ale wieczór dopiero się zaczynał.

Napełniona nowo odkrytą pewnością siebie, uznałam, że to pora na mój pierwszy pocałunek, po którym nastąpił drugi (z najlepszym przyjacielem pierwszego chłopca), a po nim trzeci (z jego bratem). Sytuacja już po chwili wymknęła się spod kontroli – wszyscy zaczęliśmy się całować i wymieniać się partnerami jak deserami przy wspólnym stole. W końcu dziecięca orgia została przerwana i zostaliśmy zabrani do salonu, gdzie podano nam czarną kawę. Ktoś zamknął nas w środku i zadzwonił po rodziców, żeby przyjechali nas odebrać. Nasze skandaliczne zachowanie było tak bezprecedensowe, że w poniedziałek ja i pozostałe dziewczyny dostałyśmy kolejną reprymendę, tym razem od dyrektorki – za to, że „źle reprezentujemy naszą szkołę" (z tym oskarżeniem często spotykałam się w latach swojej edukacji i zawsze odnosiłam wrażenie, że to raczej słaby zarzut, zwłaszcza że nigdy nie umawiałam się z nikim na reprezentowanie szkoły; to raczej moi rodzice wybrali ją, żeby reprezentowała mnie).

Po tamtym wieczorze nie byłam już tą samą osobą – wydarzenia, które stały się moim udziałem, dostarczyły dość materiału do zapełnienia dziesiątek stronic w pamiętnikach aż do czasów nastoletnich. W stanowczo zbyt młodym wieku odkryłam pociąg do alkoholu. Na każdym rodzinnym spotkaniu błagałam o maleńką, rozcieńczoną porcję wina. W Boże Narodzenie siorbałam słodki, palący w gardle syrop z czekoladek w nadziei, że uderzy mi do głowy. W wieku czternastu lat wreszcie odkryłam, gdzie rodzice chowają kluczyk do barku, i gdy nie było ich w domu, regularnie popijałam całe nakrętki taniej francuskiej brandy, rozkoszując się ciepłym, miękkim szumem w głowie odciągającym od pracy domowej. Czasami wciągałam w ten proceder Farly – w jej domu żłopałyśmy beefeatera i dolewałyśmy wody do butelki, a potem siadałyśmy po turecku na pluszowym dywanie w salonie i oglądałyśmy *Milionerów*, kłócąc się po pijaku, która odpowiedź jest właściwa.

Niczego w życiu nie znosiłam tak bardzo jak bycia nastolatką. Kompletnie nie nadawałam się do procesu dojrzewania. Chciałam, by wreszcie traktowano mnie poważnie, bym nie musiała polegać na innych; wolałam myć podłogi, niż dostawać kieszonkowe,

maszerować pięć kilometrów w deszczu, niż prosić rodziców o podwózkę. W wieku piętnastu lat sprawdzałam ceny kawalerek w Camden, żeby zacząć odkładać pieniądze za opiekę nad dziećmi sąsiadów. W tym samym wieku wypróbowywałam przepisy mamy i organizowałam „proszone kolacje" przy stole w salonie, wmuszając znajomym tagliatelle z kurczakiem w rozmarynie i malinową bezę przy dźwiękach piosenek Franka Sinatry, choć byliby o wiele szczęśliwsi, gdyby mogli po prostu zjeść burgera i pójść na kręgle. Chciałam mieć własnych znajomych, własny plan dnia, własny dom, własne pieniądze i własne życie. Uważałam bycie nastolatką za coś tak frustrującego, żenującego i koszmarnego, że nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie ten festiwal wstydu i współzależności dobiegnie końca.

Wydaje mi się, że alkohol stanowił dla mnie drobny substytut niezależności. To był jedyny znany mi sposób na poczucie się jak dorosła. Wszystkie towarzyszące mu czynności, które tak uwielbiali moi znajomi – całowanie się, piski, wymienianie się sekretami, palenie i tańce – były fajne, ale to właśnie dorosłość pociągała mnie najbardziej. Sama przed sobą odgrywałam iluzoryczne scenki z codziennego życia osoby pełnoletniej. Pewnym krokiem wchodziłam do sklepów monopolowych i czytałam etykiety na butelkach, jednocześnie prowadząc przez nokię 3310 udawane rozmowy o „niezobowiązującym drineczku w sobotę u mnie", „koszmarnym dniu w biurze" albo o tym, „gdzie zostawiłam samochód". Podczas piątkowej gonitwy uczniów z klas do drzwi ustawiałam się w strategicznym miejscu na środku korytarza, w zasięgu słuchu nauczycieli, z egzemplarzem *Kobiecego eunucha* pod pachą (ironicznie i głównie w celach dekoracyjnych). „WIDZIMY SIĘ NA KOLACJI!", krzyczałam do Farly na pełny regulator. „MAM OCHOTĘ NA CZERWONE WINO!".

Z zadowoleniem odnotowywałam zaskoczone miny wychowawców, kiedy mnie mijali. Walcie się, myślałam. Robię to samo, co wy. Piję. Jestem dorosła. Zacznijcie mnie traktować poważnie, złamasy.

Dopiero kiedy w wieku szesnastu lat poszłam do szkoły z internatem, naprawdę ostro wkręciłam się w picie. Moje liceum było ostatnią w Anglii szkołą, która prowadziła bar dla uczniów.

W czwartki i soboty setki młodych ludzi między szesnastym a osiemnastym rokiem życia zbierały się w niewielkiej piwnicy, kupowały przydzielone im dwie puszki piwa na żetony i ocierały się o siebie na ciemnym, zapoconym parkiecie do rytmu składanki *Beenie Man i inne legendy dancehall*. Miałam to szczęście, że mój internat znajdował się dokładnie naprzeciwko baru, co pozwalało na sprawny, choć chwiejny powrót tuż przed dwudziestą trzecią, kiedy administratorka przynosiła pudełka z pizzą, którą wspólnie pożerałyśmy. Po zamknięciu baru ogródek przed budynkiem służył za hedonistyczny plac zabaw. Pół godziny po ciszy nocnej kierowniczka internatu wkładała na głowę kask z latarką i łaziła po krzakach, polując na pijanych, na wpół rozebranych uczniów. Kiedy już odesłała wszystkie znalezione dziewczyny do łóżka bez pizzy, a wszystkich chłopaków z powrotem do swoich pokojów, następowała cudowna chwila, kiedy zbierałyśmy się pod jej gabinetem, by podsłuchiwać, jak dzwoni do kierownika męskiego internatu.

– Nakryłam twojego Jamesa za rododendronem z moją Emily. Miał spuszczone spodnie – oznajmiała przeciągłym akcentem z Yorkshire. – Wysłałam go do was, powinien się zjawić za jakieś dziesięć minut.

Wszyscy nauczyciele wiedzieli, że piliśmy jeszcze przed wyjściem do baru. Przemycałyśmy w walizkach wódkę w umytych butelkach po szamponie. Pod materacami trzymałyśmy nieprzebrane zapasy marlboro light. Maskowałyśmy zapachy chmurami tanich perfum i gumą do żucia; kiedy paliłam trawę i miałam przekrwione oczy, moczyłam sobie włosy, jakbym dopiero co wyszła spod prysznica, i udawałam, że to przez szampon. Wszystkich obowiązywała niepisana zasada: wierzymy, że znacie granice, nie przeginajcie więc pały; pijcie sobie i palcie, ale nie obnoście się z tym i nie róbcie cyrku. Ten system zasadniczo działał, tylko od czasu do czasu zdarzało się, że ktoś trochę się zapędzał i rozwalał krzesło albo próbował się lizać z młodą matematyczką na dyżurze, większość jednak umiała się zachować. Nauczyciele byli na ogół w porządku; traktowali nas jak młodych dorosłych, a nie jak dzieci. Ostatnie dwa lata w szkole z internatem były jedynym przyjemnym okresem mojego dojrzewania.

*

Uniwersytet nigdy nie jest dobrym miejscem dla kogoś, kto ma niezdrowy stosunek do alkoholu, ale Bóg jeden wie, że wybrałam najgorsze możliwe miejsce na świecie, aplikując na uczelnię w Exeterze. Usadowiona wśród łagodnych zielonych wzgórz hrabstwa Devon, od dawna cieszy się wątpliwą sławą przybytku dla debili i półanalfabetów z uprzywilejowanej wyższej klasy średniej. Jeśli kiedykolwiek natkniecie się na faceta po czterdziestce, który nadal gra w lacrosse, zna wszystkie zasady każdej gry alkoholowej, a po pijaku lepiej śpiewa po łacinie niż po angielsku, najprawdopodobniej macie przed sobą absolwenta Exeter, czyli „uniwersytetu zielonego kalosza", jak na niego mawiano w latach osiemdziesiątych – od tych drogich zielonych gumiaków, które bogate pańcie i ich mężowie noszą podczas wakacji na wsi, żeby przez tydzień poudawać zwykłych śmiertelników. Złożyłam tam papiery tylko dlatego, że Farly tam szła, a Farly złożyła tam papiery tylko dlatego, że mieli dobry wydział filologii klasycznej, poza tym lubiła nadmorskie klimaty. Kiedy mnie przyjęli, poszłam tam tylko dlatego, że nie dostałam się na wymarzony kierunek w Bristolu, a rodzice powiedzieli, że muszę iść na jakiekolwiek studia.

Do dziś jestem przekonana, że po trzech latach w Exeterze byłam głupsza niż na początku studiów. Praktycznie nic nie robiłam; z żarłocznego mola książkowego zamieniłam się w studentkę, która nie czytała nawet jednej strony ponad zadany tekst (nie żebym kiedykolwiek przebrnęła do końca któregoś z materiałów obowiązkowych). Od września dwa tysiące szóstego roku do lipca dwa tysiące dziewiątego nie robiłam nic poza piciem i pieprzeniem. Wszyscy zajmowali się wyłącznie tymi dwiema rzeczami, z krótkimi przerwami na kebab, odcinek teleturnieju albo zakupy w poszukiwaniu przebrania na tematyczny pub crawl. Zamiast trafić do miejsca narodzin radykalnych poglądów i aktywizmu, wpadłam do najbardziej obojętnego politycznie bagienka na świecie. Przez całe moje studia odbyły się tam tylko dwa protesty. Pierwszy był przeciwko zdjęciu zakręconych frytek z menu pubu w unii studenckiej. Drugi okazał się jednoosobową manifestacją pewnej

młodej kobiety domagającej się wytyczenia ścieżki konnej przez kampus, żeby mogła dojeżdżać na wykłady na kucyku.

Głęboko żałowałabym lat zmarnowanych na uniwerku, gdyby nie nawiązane znajomości. Już w pierwszym tygodniu studiów Farly i ja poznałyśmy grupę dziewczyn, które wkrótce stały się naszymi najbliższymi koleżankami. Lacey, wygadana i czarująca złotowłosa studentka teatrologii; A.J., olśniewająca brunetka z surowej szkoły dla dziewcząt (po pijaku zaczynała śpiewać psalmy); Sabrina, urocza blondynka pełna życia i dziecięcego entuzjazmu; wreszcie Sophie, ruda chłopczyca z południowego Londynu, sypiąca żartami złota rączka, która naprawiała drobne usterki w naszych mieszkaniach. I jeszcze Hicks.

Hicks była naszą liderką – urodzona w Suffolk Pippi Pończoszanka z tlenionym bobem i szalonymi oczyma pod powiekami pociągniętymi migoczącym turkusowym cieniem, nastolatka o długich nogach i cyckach, które poznałabym wśród dziesiątek innych, bo tak często nimi świeciła. Nigdy nie natknęłam się na nikogo takiego jak ona; była śmiała, niebezpieczna, błyskotliwa i zawsze gotowa podejmować ryzyko. W obecności Hicks nigdy nie martwiłyśmy się konsekwencjami żadnego wybryku. Roztaczała wokół siebie aurę cesarzowej władającej prywatnym królestwem na własnych zasadach, gdzie noc kończyła się o trzynastej, następna nie zaczynała się przed kolejnym popołudniem, a dziadek poznany w pubie mógł zostać chwilowym lokatorem w twoim domu. Była całkowicie, absolutnie obecna w każdej chwili, niemożliwie wyrafinowana i tak rockandrollowa, że można jej było tylko pozazdrościć. Beztroski, bezdenny apetyt Hicks na dobrą zabawę wybijał rytm trzech kolejnych lat naszego życia.

Atmosfera na Exeterze była tak agresywnie przesiąknięta męską kulturą, że często zastanawiam się, czy to nie tłumaczy naszego zachowania podczas studiów; może żeńska grupka próbowała dorównać zachowaniem tej chłopackiej energii. Studenci uczelni ucieleśniali kulturę amerykańskich męskich stowarzyszeń z filmów, które oglądałyśmy w dzieciństwie, i przyprawiali ją nutką bucowatej hierarchii rodem z prywatnych liceów dla bogatych dzieci. Często i bez żenady oddawałyśmy grupowo mocz za śmietnikami (Farly i ja

zostałyśmy kiedyś na tym przyłapane; dostałyśmy ostrą reprymendę za robienie takich rzeczy na skraju cmentarza i wystawianie gołych tyłków do przejeżdżających samochodów – tak się pechowo złożyło, że jednym z nich okazał się radiowóz). Kradłyśmy uliczne pachołki, które piętrzyły się potem w naszym salonie. Podnosiłyśmy się z podłogi i rzucałyśmy się na siebie na parkietach w klubach. Gadałyśmy o seksie tak, jakby to był sport zespołowy. Byłyśmy napompowane brawurą i przechwałkami, a przy tym zawsze dbałyśmy o przestrzeganie zasad bezlitosnej szczerości i zakazu konkurencji między sobą. To prowadziło do częstego wtrącania się we flirt przyjaciółki, by zacząć zanudzać jej nowego potencjalnego kochanka długimi pijackimi wywodami o tym, jaka jest wspaniała.

Mieszkałam z A.J., Farly i Lacey w zapuszczonym domu z czerwonymi drzwiami. Prowadziłyśmy „listę odwiedzających" dla „gości", którzy zostawali na noc, i kazałyśmy im się do niej wpisywać przy wyjściu następnego dnia rano. W ogródku stał zepsuty telewizor z lat osiemdziesiątych, którego nigdy nie chowałyśmy pod dach, słońce czy deszcz. Po powrocie z imprezy często ratowałam ślimaki łażące po podłodze w korytarzu i wynosiłam jednego po drugim do zakątka w ogródku (Lacey przyznała mi się kiedyś, że rozsypywały na nie trutkę, ale mi o tym nie mówiły). To były czasy rozbuchanej, ekscentrycznej degrengolady. Świat, w którym dwie moje przyjaciółki tańczyły całą noc, po czym w niedzielę rano wybierały się na nabożeństwo do miejskiej katedry i zawodziły psalmy, nadal ubrane w sukienki ze złotej lycry. W tym świecie Farly pewnego razu wstała na wykład zaczynający się o dziewiątej rano i zastała mnie z Hicks w salonie, pijące baileysa z taksówkarzem w średnim wieku, którego poprzedniej nocy zaprosiłyśmy na jednego. Szybko stałyśmy się najgorszym typem studentek pod słońcem. Byłyśmy beztroskie, samolubne, dziecinne i bezbrzeżnie bezmyślne. Prawdziwe przedstawicielki „zepsutej Brytanii", by zacytować brukowiec „Sun", który wspólnie z Partią Konserwatywną w dwa tysiące siódmym roku nadał takie zaszczytne miano naszemu narodowi. Skandowałyśmy to hasło w drodze do pubów. Teraz przechodzę na drugą stronę ulicy i wysiadam wcześniej z metra, żeby tylko uniknąć przebywania

w pobliżu dokładnie takich samych rozwrzeszczanych, głupiutkich i niemożliwie zadowolonych z siebie młodych ekshibicjonistek.

By zmierzyć poziom pijaństwa w kręgu moich znajomych z uczelni, wystarczyło przejrzeć się w oczach tych, którzy nas odwiedzali. Mój młodszy brat Ben przyjechał na kilka dni, kiedy miał siedemnaście lat, i „nie mógł patrzeć" na półnagie, ledwo przytomne upiory napotykane w klubach, do których go zabierałam. Szczególnie oburzył się w okolicach baru, który nazywaliśmy „zakątkiem zwycięzców", bo mogli tam przebywać tylko członkowie drużyny rugby. Później powiedział rodzicom, że jego trzydniowa wizyta w Exeterze była jednym z głównych powodów, dla których postanowił iść na akademię teatralną zamiast na uniwersytet.

Lauren studiowała angielski w Oksfordzie. Kilka razy zrobiłyśmy sobie coś w rodzaju wymiany międzyuczelnianej. Ona przyjeżdżała autokarem do Exeteru, żeby wymordować sobie trochę szarych komórek w moim towarzystwie; ja wracałam z nią do Oksfordu i spacerowałam po parku Kolegium Magdaleńskiego i wyobrażałam sobie alternatywny scenariusz, w którym moje życie polegałoby na czytaniu książek, pisaniu esejów co dwa tygodnie i mieszkaniu w domku z wieżyczką i bez telewizora.

Podczas pierwszej wizyty Lauren miałam wrażenie, że uczę ją, jak być studentką. Kiedy wyszłyśmy na miasto, zamówiłam przy barze butelkę różowego wina za piątaka.

– Okej – powiedziała Lauren. – To tylko na nas dwie?

– Nie, to tylko dla mnie – odparłam, a ona rozejrzała się dookoła i zobaczyła moje koleżanki, które też niosły sobie po flaszce i plastikowym kubku. – Bierzemy po jednej.

Następnego dnia wylegiwałyśmy się przez cały ranek na kanapie i obżerałyśmy się skandalicznie drogą słodką pizzą na grubym cieście, a Lauren pierwszy raz w życiu obejrzała odcinek *Top Model Ameryka*. Po południu poznała na kampusie gracza w lacrosse, który był znany z tego, że zaczął pisać swój licencjat z geografii społecznej w pubie o czternastej w ostatni dzień składania prac. Lauren mówiła mi, że zawsze wracała do Oksfordu zrelaksowana i odświeżona po bardzo potrzebnej przerwie od wyczerpującego uczelnianego życia, w którym wszyscy bez przerwy stroszyli intelektualne piórka. Po kilku

dniach w Oksfordzie ja wracałam do Exeteru nieco zdołowana i gotowa do wyjazdu.

Kiedy opowiadam o swoim uczelnianym życiu w bańce złych zachowań bez konsekwencji, często sięgam po pewną anegdotę z udziałem Sophie, która dziś jest znaną i cenioną dziennikarką piszącą o prawach kobiet i społeczności LGBTQ. To właśnie ta historia pokazuje, jak daleką drogę przebyłyśmy. Pewnej nocy wracała z tajskiej imprezy Full Moon Party w klubie nad rzeką – przebrana za tajskiego rybaka – i położyła się w wodzie obok sikającego kolegi, myśląc, że zaraz zwymiotuje wiadro szotów, które przed chwilą kupiła i wypiła. Obok niej leżała półprzytomna koleżanka, rozwalona na plecach z kończynami rozpostartymi jak rozgwiazda. Sophie uznała to za świetną okazję, by jednocześnie uratować młodą kobietę i być może ją zaliczyć. Kiedy jednak odprowadziła dziewczynę do akademika, było już jasne, że nic z tego nie będzie, wsiadła więc do taksówki i pojechała z powrotem do klubu, gdzie zamówiła kolejne wiadro wódki. Następnie spotkała chłopaka, który oznajmił, że idzie do całonocnego hindusa po jakieś żarcie na wynos. Wybrała się z nim, a na miejscu zaczęła walić w ladę i skandować: „PASANDA! PASANDA!". Zamówili, pojechali do jego domu i zjedli ocean curry. Sophie porzygała się do plastikowej miski w sypialni chłopaka i zostawiła ją pod ścianą. Urwał jej się film w jego łóżku, rano obudziła się w kostiumie rybaka, zerknęła na miskę z wymiocinami, nic z nią nie zrobiła, po czym zajumała kolesiowi hulajnogę i radośnie wróciła na niej do domu.

– Próbowałyśmy tylko zbierać dla siebie nowe historyjki – mówi mi teraz, kiedy pytam, skąd się w nas brał ten infantylny apetyt na beztroskę i brak samoświadomości. – Przehandlowałyśmy rozsądek za opowieści. Popisywałyśmy się przed sobą nawzajem, to wszystko.

*

Wszyscy lubili pić, ale było oczywiste, że ja naprawdę to kochałam. Chlałam na potęgę, po części dlatego, że zwyczajnie uwielbiałam smak i działanie alkoholu, ale głównie z tego samego powodu, dla którego piłam w samotności w wieku czternastu lat. Wlewanie

alkoholu do mózgu działało jak dodawanie wody do syropu. Wszystko się rozcieńczało, łagodniało. Na trzeźwo byłam dziewczyną dręczoną lękami, przekonaną, że moi bliscy poumierają, wiecznie zamartwiającą się, co myślą o niej inni. Po pijaku paliłam papierosy, trzymając je w palcach u stóp, „tak dla jaj", i robiłam gwiazdy na parkiecie w klubie.

Skończyłam studia na Uniwersytecie Exeter na miesiąc przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami, a już we wrześniu zaczęłam magisterkę z dziennikarstwa w Londynie. Wierzcie albo nie, ale właśnie w tamtym roku osiągnęłam szczyt imprezowania. Zostałam bezceremonialnie, brutalnie rzucona, całą sobą skoncentrowałam się więc na odchudzaniu, żeby zapomnieć o złamanym sercu. Pomagałam sobie papierosami i alkoholem.

Nadal to uwielbiałam. Picie w wieku dwudziestu jeden lat było dokładnie tak samo ekscytujące jak na bat micwie Nataszy Bratt jedenaście lat wcześniej. Pamiętam, jak w jedną z wielu sobotnich nocy tamtego roku siedziałam w metrze i patrzyłam przez okno na rozmigotane miasto w drodze z przedmieść do centrum. Wagon gnał po torach Metropolitan Line jak cwałujący koń. Cały Londyn należy do mnie, myślałam. Wszystko jest możliwe.

Mój hedonizm w tamtym roku osiągnął szczyt w bardzo nierockandrollowy sposób: podczas długiej podróży minivanem. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że to Hicks zaczęła. Na trzecim roku studiów osiągnęła wśród studentów Exeteru status legendy po tym, jak wyszła z imprezy w barze przy High Street, wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć do Brighton. Wypstrykała się z całej kasy, po czym wbiła się na nocleg do znajomego małżeństwa, które przyjechało tam na romantyczny weekend, i spała u nich na podłodze w pokoju hotelowym. Tydzień później wróciła do Exeteru, by opowiedzieć o swoich przygodach.

Wieczór zaczął się od tego, że ja i moja nowa koleżanka z dziennikarstwa, inteligentna Helen o kręconych włosach, wybrałyśmy się do domu naszej wspólnej znajomej, Moi, na kieliszek wina i powtórkę przed nadchodzącym dużym egzaminem. Helen i ja piłyśmy butelkę za butelką, aż nawaliłyśmy się jak szpadle i wyszłyśmy od Moi o północy.

Uznałam, że noc jest jeszcze młoda i że mam ochotę na imprezę, wskoczyłyśmy więc do autobusu z West Hampstead na Oxford Circus. Tak się jednak złożyło, że kiedy tylko autobus ruszył, nagle stałam się o wiele bardziej pijana, a co gorsza, podróż trwała niemożliwie długo, bo na drodze był jakiś wypadek, zatem w którymś momencie wyprawy zdołałam sobie wmówić, że nie siedzimy w autobusie na Oxford Circus, lecz w autokarze do Oksfordu. Helen, która była w podobnym stanie ducha, co ja, dała się przekonać do mojej teorii. Lauren już skończyła studia w Oksfordzie, więc do niej nie dzwoniłam. Zamiast tego napisałam do kilkorga jej znajomych, których poznałam podczas odwiedzin, i wiedziałam, że jeszcze studiują. Wiadomości ledwo dały się zrozumieć, ale brzmiały mniej więcej tak: „Ja i moja koleżanka Helen przypadkiem wsiadłyśmy do autokaru do Oksfordu. Już dojeżdżamy, gdzie można się wybrać na imprezę? Chcesz dołączyć?”.

Wysiadłyśmy obok Topshopu, który okazał się większy, niż zapamiętałam z ostatniej wizyty w Oksfordzie. Stanęłyśmy pod wejściem, a ja zaczęłam niezmordowanie wydzwaniać do wszystkich ludzi, których kiedykolwiek tam spotkałam – nadal nie docierało do mnie, że jestem w Londynie – ale bez powodzenia. Wraz z Helen uznałyśmy, że szansa na imprezę już przepadła, ale było za późno, żebym złapała ostatnie metro do domu rodziców na przedmieściach, wsiadłyśmy więc do autobusu do Finsbury Park, gdzie Helen wynajmowała mieszkanie z chłopakiem – powiedziała, że mogę się przespać u nich na kanapie.

Wciąż odmawiając otrząśnięcia się z pijackich halucynacji, weszłam do domu, przekonana, że jesteśmy w akademiku w Oksfordzie i że Helen pewnie ma tu jakichś przyjaciół. Moja koleżanka poszła spać, a ja zaczęłam przeglądać listę kontaktów, żeby sprawdzić, czy ktoś ze znajomych miałby ochotę na imprezę. Zadzwoniłam do Willa – wysokiego, szalonego, chudego Kanadyjczyka o kręconych włosach i oczach bladych jak opale. Od zawsze strasznie mi się podobał.

– Cześć, kochana – wybełkotał, niemal zionąc wódką przez słuchawkę.

– Szukam imprezy.

– To wbijaj do nas.

– A gdzie jesteś? Wydawało mi się, że studiujesz w Birmingham?

– Nie, w Warwick. Mieszkam w Leamington Spa. Zaraz wyślę ci adres.

Wyszłam z mieszkania Helen i zaczęłam szukać jakiejś firmy taksówkarskiej. Po dziesięciu minutach włóczęgi po ulicach – alkohol powoli parował mi z głowy i wreszcie zaczęło do mnie docierać, że jestem w Londynie, a nie w Oksfordzie – znalazłam maleńkie biuro firmy taksówkarskiej. Oznajmiłam, że potrzebuję samochodu, który zawiezie mnie do Leamington Spa i że pieniądze absolutnie nie grają roli, pod warunkiem że zmieścimy się w stówie, bo tylko tyle miałam na koncie i już dobiłam do limitu debetowego. Jeden z trzech zdumionych facetów poszedł za szklaną szybę i wyciągnął z szuflady zakurzoną mapę Anglii. Teatralnym gestem rozłożył ją na dwóch zsuniętych stołach, ku wielkiemu rozbawieniu kolegów. Pochylili się nad mapą, a on zaczął planować podróż, zaznaczając trasę przerywaną czerwoną linią, jakby był kapitanem statku planującym atak na piracki okręt. Nawet w stanie pijackiego upojenia uznałam, że to lekkie przegięcie.

– Dwieście pięćdziesiąt funtów – oznajmił w końcu.

– To jakiś ABSURD – zaprotestowałam z oburzeniem bogatej pańci z klasy średniej, jakby to on tutaj zachowywał się nieracjonalnie.

– Pani mnie posłucha. O trzeciej nad ranem chce pani jechać do miasta trzy hrabstwa stąd. Dwieście pięćdziesiąt funtów to bardzo rozsądna cena.

Udało mi się zejść do dwustu. Will powiedział, że zapłaci tę drugą stówę.

Około czwartej nad ranem zaczęłam trzeźwieć na M1 (mam nadzieję, że żadna z was do końca życia nie będzie musiała wypowiedzieć ani napisać takiego zdania), ale było już za późno na odwrót – często tak kończyłam, kiedy bladym świtem dawałam się porwać przygodzie, lecz zawsze mówiłam sobie, że szaleństwa młodości warte są każdego grosza. Nad tym okresem mojego życia, niczym lampę na suficie, mogłabym powiesić cytat z Margaret Atwood:

> Kiedy jesteś w połowie opowieści, to nie jest żadna opowieść, tylko chaos: ryk, ślepota, potłuczone szkło i porąbane drewno, jak dom w samym oku cyklonu albo statek zmiażdżony przez góry lodowe lub zmyty przez sztorm, a nikt na pokładzie nie może nic zrobić. Dopiero potem robi się z tego historia. Kiedy ją opowiadasz – sobie lub komuś innemu[1].

Koniec końców na pewno mi się to opłaci, pomyślałam, wytykając głowę przez okno na drodze ekspresowej. Niebo jaśniało, noc przechodziła w świt. Ta historia ma nieskończony potencjał anegdotyczny, powtarzałam sobie.

Dotarłam o wpół do szóstej rano. Will powitał mnie w drzwiach i wręczył pięć banknotów dwudziestofuntowych. Wezbrała we mnie fala triumfu – dotarłam. Podróż i jej cel stanowiły historię samą w sobie; to, co miało nastąpić później, już prawie się nie liczyło. Piliśmy, gadaliśmy i leżeliśmy na wpół rozebrani w łóżku, paląc trawę i słuchając albumów The Smiths, co jakiś czas przerywając na chwilę, żeby lizać się od niechcenia. Zasnęliśmy o jedenastej rano.

Obudziłam się o piętnastej z koszmarnym bólem głowy i równie koszmarnym przeczuciem, że puenta żartu nie wydaje mi się już tak zabawna jak zeszłej nocy. Sprawdziłam stan konta: zero. Włączyłam telefon: dziesiątki wiadomości od zaniepokojonych przyjaciół. Zapomniałam, że o czwartej rano wysłałam Farly zdjęcie z taksówki pędzącej po autostradzie, a następnie wiadomość: „SZYBKI WYPAD DO LEAMINGTON SPA!!”.

Wymyśliłam plan działania. Mój chłopak z liceum, z którym utrzymywałam niezobowiązująco przyjacielskie stosunki, studiował medycynę w Warwick. Mogłabym zatrzymać się u niego na kilka dni, dopóki nie dostanę zaległej wypłaty za weekend, kiedy pracowałam jako hostessa, i złapać pociąg do domu akurat na wtorkowy egzamin na dziennikarstwie. Kiedy jednak do niego napisałam, powiedział, że wyjechał na wakacje.

Zadzwonił telefon – Sophie.

– Czy to prawda, że jesteś w Leamington Spa? – zapytała.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo chciałam iść na afterparty. Mój kolega Will zaprosił mnie na imprezę, ale tak się złożyło, że mieszka właśnie w Leamington Spa.

Zaspany Will uśmiechnął się, nie otwierając oczu, i uniósł oba kciuki do góry, jakby przyznawał się do winy.

– Okej, to nie ma sensu. Jak zamierzasz wrócić do domu?

– Nie wiem. Chciałam się zatrzymać u mojego byłego, ale nie ma go w domu, a ja nie mam kasy na pociąg.

Odpowiedziało mi długie milczenie. Niemal słyszałam, jak troska Sophie zmienia się w irytację.

– Dobra, kupimy ci bilet na autokar. Masz naładowany telefon?

– Tak.

– Napiszę do ciebie, jak już to ogarniemy.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Oddam ci kasę.

Sophie kupiła mi bilet na najdłuższą trasę, jaką udało jej się znaleźć – uznała, że powinnam mieć trochę czasu sam na sam z myślami, żebym mogła rozważyć konsekwencje swoich czynów. Ku jej wielkiemu niezadowoleniu wylądowałam w autobusie z grupą dziewczyn jadących do Londynu na wieczór panieński. Całą drogę polewały tequilę, a potem dały mi sombrero. Kiedy następnego dnia zadzwoniłam do Sophie, żeby podziękować za ratunek, spytałam, czy jest na mnie zła.

– Dolly, nie jestem zła, tylko się o ciebie martwię.

– Dlaczego?

– Bo byłaś tak pijana, że pomyliłaś miasto Oksford z przystankiem Oxford Circus. Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę, jaka jesteś bezbronna, kiedy chodzisz po mieście tak nawalona?

– Przepraszam – odparłam nadąsana. – To była tylko zabawa.

– Ile naszych znajomych musi zbankrutować, płacąc za taksówki na drugi koniec kraju, zanim ten obłęd się skończy?

(Okazało się, że jeszcze tylko jedna Farly kilka miesięcy później pojechała z południowo-zachodniego Londynu do Exeteru. Wracała właśnie taksówką do domu, kiedy dostała wiadomość od chłopaka, który jej się podobał, poprosiła więc kierowcę, żeby zawrócił i zamiast tego zabrał ją do Devonu. Do dziś bagatelizuje wszelkie oskarżenia o ekstrawagancję, twierdząc, że cała wyprawa kosztowała

ją „dziewięćdziesiąt funtów i paczkę fajek". Tyle że im bardziej ją wypytujemy, tym wyższa staje się ta kwota).

Ale to wszystko były świetne historie i tylko to się liczyło. Przygody stanowiły *raison d'être* mojej wczesnej dwudziestki. Byłam mierzącym metr osiemdziesiąt dwa ludzkim wykrywaczem potencjalnych anegdotek, pełzającym tuż przy ziemi, z nosem w trawie, w nadziei, że znajdę coś wartego wykopania.

Innego wieczoru miałyśmy w sumie do wydania dwadzieścia funtów. Hicks i ja poszłyśmy do eleganckiego londyńskiego hotelu – ona twierdziła, że to siedlisko „znudzonych milionerów z wiadrami alkoholu, którzy liczą na towarzystwo fajnych młodych ludzi". I rzeczywiście – zastałyśmy tam dwóch facetów w średnim wieku z Dubaju. Jeden był właścicielem hinduskiej knajpy przy Edgware Road, a drugi „uniwersytetu" języka angielskiego nad sklepem z telefonami komórkowymi przy Tottenham Court Road. Hicks i ja odstawiłyśmy wyćwiczoną szopkę i opowiedziałyśmy ze swadą starą historyjkę o tym, jak poznałyśmy się na rejsie statkiem wycieczkowym. Ja śpiewałam z zespołem, jej mąż rzucił się za burtę. Pewnego dnia zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać, gdy obie siedziałyśmy na górnym pokładzie, paląc papierosy i wpatrując się w morze.

Faceci spytali, czy mamy ochotę wybrać się do domu ich kolegi Rodneya, który według ich zapewnień był „prawdziwym imprezowiczem" – takim eufemizmem powszechnie określano kogoś, kto zawsze częstuje alkoholem i narkotykami. Wpakowaliśmy się we czwórkę do czekającego na nich samochodu, a kierowca zabrał nas do bloku przy Edgware Road, który okazał się daleki od wizji przepychu i glamouru, jaką roztoczyli przed nami obaj mężczyźni. Hicks i ja wzięłyśmy się za ręce, a w windzie wysłałam Farly SMS-a z adresem, na wypadek gdyby coś mi się w nocy stało – była już przyzwyczajona do tego ponurego rytuału.

Otworzył nam Cypryjczyk po siedemdziesiątce, ubrany w pasiastą piżamę.

– Boże drogi! – wykrzyknął na nasz widok. – Za późno! – Uniósł ręce do nieba w geście rozpaczy. – Jestem już za stari na takie rzeczi!

Nasi nowi znajomi zapewnili, że nie będą długo imprezować i że chcemy tylko wypić kilka drinków. Rodney po wielkopańsku zaprosił nas do środka i spytał, czego się napijemy. Oznajmił, że specjalizuje się w koktajlach, i wskazał dobrze wyposażony barek z lat siedemdziesiątych. Poprosiłam o dry martini.

Byłam zafascynowana Rodneyem, zwłaszcza dziesiątkami fotografii wnuków w ramkach, zajmujących każdą dostępną powierzchnię. Oprowadził mnie po pokoju, nadal w piżamie, i wymieniał po kolei imiona, wiek i cechy wszystkich dzieci, a ja popijałam swoje martini i przytakiwałam. Hicks w tym czasie robiła to samo, co zawsze na takich imprezkach – z zaangażowaniem dyskutowała o filozofii z jednym z dubajskich milionerów. Gestykulowała dramatycznie, prowadząc monolog o francuskich egzystencjalistach. Oczy miała szeroko otwarte i błękitne jak świeżo rozkwitłe niezapominajki wyrastające ze szczelin w chodniku.

Rodney i ja usiedliśmy na kanapie. Opowiedział mi całą swoją historię: o barze, który kiedyś prowadził (teraz w tym miejscu stoi supermarket), i o modelkach, które złamały mu serce. W pewnym momencie przerwał historię, zwinął banknot pięciofuntowy, żeby wciągnąć kreskę kokainy, którą rozsypał sobie na stoliku kawowym, i oparł się o kanapę. Popatrzył na mnie.

– Wisz co, to śmiszne, ale przipominasz mi bardzo taką kobietę, którą spotkałem kilka razi w latach siedemdzisiątych. Długie blond włosi i oczi taki same jak ti. Przez jakiś czas chodziła z moim kolegą.

– Tak? – Zapaliłam papierosa. – Jak się nazywała?

– Barby. Chyba nazywała się Barby.

Z trudem przełknęłam ślinę. Przypomniała mi się pewna historia, którą opowiedziała mi mama o sympatycznym, lecz mimo to nielubianym przez nią przezwisku z młodości.

– Barbara – odparłam. – Barbara Levey.

– Tak! – zachłysnął się. – Znasz ją?

– To moja mama.

Pomyślałam, że śpi właśnie w swoim łóżku gdzieś na przedmieściach, i wyobraziłam sobie, jak by zareagowała, gdyby zobaczyła, jak jej córka ćpa z siedemdziesięciopięcioletnim Cypryjczykiem, którego ona poznała w latach siedemdziesiątych.

Poszłam do drugiego pokoju, przerwałam posiedzenie jednoosobowego salonu literackiego, który Hicks prowadziła przed jednocześnie zachwyconą i obojętną publicznością, i oznajmiłam, że musimy natychmiast wychodzić. Odparła, że czeka nas jeszcze świetne „afterparty" w knajpie, którą jeden z naszych nowych znajomych prowadził na Edgware Road. Powiedziałam, że już jesteśmy na afterparty. Zastanawiałam się, czy nie wpadłam przypadkiem do mrocznego zakątka after-afterparty i po prostu nie utknęłam w nim na zawsze. Może potrzebowałam już drabiny, żeby wydostać się z tego miejsca.

Nie mogę jednak powiedzieć, że to było tragiczne, bo nie było. Razem z koleżankami wierzyłyśmy, że wszystko, co robimy, stanowi wspaniały akt emancypacji i kobiecej siły. Mama często mi powtarzała, że to źle rozumiany feminizm, a naśladowanie najgorszych męskich zachowań wcale nie jest oznaką równości, ja jednak nadal uważam, że niektóre chwile podczas tych lat imprezowania można było uznać za wyraz triumfu, sprzeciwu, siły; odmawiałam korzystania ze swojego ciała tak, jak tego ode mnie oczekiwano. Sporo z tego po prostu sprowadzało się do dobrej zabawy na naszych zasadach – pamiętam wiele sytuacji, kiedy razem z koleżanką opuszczałyśmy imprezę, na której się nudziłyśmy albo nie czułyśmy się dobrze, wolałyśmy zwyczajnie pobyć razem. Byłam wygłodzona doświadczeń i zaspokajałam tę potrzebę z pomocą sobie podobnych powsinogów. Właśnie w ten sposób wykształciłyśmy w sobie mentalność gangu, której żadna z nas już nigdy nie zdołała z siebie do końca wykorzenić.

Niektóre wspomnienia są radosne, inne smutne – taka była rzeczywistość. Czasami tańczyłam z szerokim uśmiechem na twarzy aż po świt, otoczona najbliższymi przyjaciółkami, innym razem przewracałam się w deszczu, kiedy biegłam na nocny autobus, i leżałam na mokrym chodniku o wiele dłużej, niż powinnam. Zdarzało mi się przywalić twarzą w latarnię i chodzić potem z fioletową brodą, ale bywało i tak, że budziłam się w plątaninie ciał kochanych, skacowanych dziewczyn, przepełniona wyłącznie szczęściem i ciepłem. Czasami spotykam ludzi z tamtych nieco zamglonych lat, którzy twierdzą, że przez cały wieczór pili ze mną

w kącie na jakiejś domówce, a mnie ogarnia panika, bo nic z tego nie pamiętam. Jakiś rok temu wzdrygnęłam się ze wstydu, gdy kierowca czarnej londyńskiej taksówki spytał, czy mam na imię Donny, bo jest prawie pewien, że zgarnął mnie w dwa tysiące dziewiątym roku z ulicy, kiedy szłam dokądś „nieźle narąbana" i bez butów.

Moje przeżycia z tamtego okresu w dużej mierze sprowadzały się jednak do wspaniałej, beztroskiej zabawy. Mam na koncie wiele przygód w różnych miastach i hrabstwach, mnóstwo historii i spotkań, a wszystko to w towarzystwie drużyny poszukiwaczek wrażeń w neonowych rajstopach i ze zbyt dużą ilością eyelinera na powiekach.

I wreszcie, myślałam, wreszcie udowodniłam wszystkim, że jestem dorosła. Przynajmniej mogłam być traktowana poważnie.

1 Margaret Atwood, *Grace i Grace*, przeł. Aldona Możdżyńska (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Przepis: makaron z serem w sam raz na kaca *(porcja na cztery osoby)*

Aby w pełni docenić tę potrawę, należy jeść ją w piżamie, oglądając *Pokojówkę na Manhattanie* albo film dokumentalny o jakimś seryjnym mordercy.

– 350 g makaronu, najlepiej penne
– 35 g masła
– 35 g mąki
– 500 ml pełnotłustego mleka
– 200 g tartego cheddara
– 100 g tartego sera red leicester lub gruyère
– 100 g tartego parmezanu
– 1 łyżeczka musztardy dijon
– posiekany szczypiorek
– kilka kropel sosu worcestershire
– 1 mała kulka mozzarelli, porwana na kawałki
– sól i pieprz do smaku
– oliwa z oliwek do skropienia

Wrzucić makaron do dużego garnka z wrzącą wodą i gotować 8 minut (po wyjęciu powinien być jeszcze nieco twardy, dojdzie w piekarniku). Odsączyć, polać oliwą i wymieszać, żeby się nie posklejał.

W drugim dużym garnku stopić masło. Dodać mąkę i smażyć kilka minut, cały czas mieszając. Dodawać po trochu mleka, roztrzepując płyn, i gotować na małym ogniu 10 do 15 minut. Cały czas mieszać, aż sos stanie się gładki i zacznie stopniowo gęstnieć.

Zdjąć garnek z ognia, dodać około trzech czwartych tartego cheddaru, red leicestera i parmezanu do sosu, następnie musztardę, sól, pieprz, posiekany szczypiorek i sos worcestershire, wciąż mieszając, aż wszystko się rozpuści.

Nagrzać piekarnik do 200°C. Wrzucić makaron do sosu, wymieszać i przełożyć do naczynia żaroodpornego, następnie dodać mozzarellę i posypać całość pozostałym tartym serem. Zapiekać 15 minut, aż wierzch nieco zbrązowieje, a sos zacznie lekko bulgotać.

Kronika kiepskich randek: hotel przy głównej ulicy w Ealing

Moje pierwsze Boże Narodzenie od rozpoczęcia studiów. Mam pracę na pełny etat jako ekspedientka w L.K. Bennetcie przy Bond Street. Debbie, stylowa studentka mody i designu, która zawsze zgarnia największe premie, maluje mi w przymierzalni wargi czerwoną szminką w stylu Vivien Leigh, ponieważ mam przed sobą wielką randkę.

Facet nazywa się Graysen. Poznałam go na Uniwersytecie w Yorku, kiedy w zeszłym miesiącu pojechałam tam w odwiedziny do koleżanki. Czekałam w kolejce w studenckim barze, żeby zamówić dwie wódki z dietetyczną colą, kiedy ktoś nagle złapał mnie za rękę. Graysen – szczupły, blady, interesujący, z oczami jak Elvis maźniętymi czarnym eyelinerem – odwrócił moją dłoń wnętrzem do góry.

– Troje dzieci. Umrzesz w wieku dziewięćdziesięciu lat. – Spojrzał mi w oczy. – Już tu kiedyś byłaś – dodał dramatycznym szeptem.

Jest pierwszą znaną mi osobą w moim wieku, która nie ma konta na Facebooku. Wydaje mi się, że jest Sartre'em.

Spotykamy się pod wielką choinką. On zabiera mnie do baru na martini, bo pamięta, jak powiedziałam, że to mój ulubiony drink (tak naprawdę na tym etapie dopiero uczę się go lubić, mam więc lekkie obawy, że zauważy, jak się krzywię po pierwszym łyku, ale na szczęście udaje mi się to zamaskować). Następnie idziemy do najstarszego pubu w Londynie, gdzie piję truskawkowe piwo. Graysen pokazuje mi pęk kluczy – jego szef załatwił mu na noc pokój w hotelu. Nie wyjaśnia dlaczego.

Trzy autobusy później – ten czas zajmuje mu wytłumaczenie, dlaczego „Londyn był dla niego rodzicem bardziej niż matka i ojciec” – docieramy do zapuszczonego hotelu urządzonego w podmiejskim domu przy głównej ulicy w Ealing.

Nie chcę iść z nim do łóżka, bo wolałabym go lepiej poznać, przez całą noc leżymy zatem w pościeli, gapimy się na brudnobiały sufit i rozmawiamy o naszym osiemnastoletnim życiu. On jest synem bardzo starego, bardzo eleganckiego i bogatego człowieka, który był „ostatnim kolonizatorem”, podczas swoich wypraw odkrył rzadki gatunek ryby, napisał o tym książkę i od tamtego czasu żyje z zysków, jakie mu to przyniosło. Jestem oniemiała z zachwytu. Zasypiamy o piątej.

Graysen wcześnie rano musi jechać do pracy. Całuje mnie, żegna się i zostawia mi na szafce nocnej ciastko francuskie z brzoskwiniami. Już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Kolejne pięć lat spędzę na ciągłych rozmyślaniach, czy Graysen nie był tylko aktorem poszukującym naiwnej publiczności, by choć na jedną noc uciec od samego siebie. Czy to nie zwykłe oszustwo: czytanie z dłoni, hotel, ryba, eyeliner.

Wiele lat później zakocham się w doktorancie biologii, który zostanie miłością mojego życia. Pewnego niedzielnego wieczora będę leżeć na jego łóżku, ubrana w jego bluzę, a on przed pójściem spać ściągnie z półki książkę o facecie, który odkrył jakąś rybę. Wyrwę mu ją z ręki i zobaczę na wewnętrznej stronie okładki zdjęcie mężczyzny o takiej samej twarzy i tym samym nazwisku, co Graysen. Chłopak spyta, dlaczego się śmieję.

– Bo to wszystko była prawda – odpowiem. – I to takie absurdalne.

Kronika kiepskich imprez: Cobham, Nowy Rok 2007

Ale coś musi się gdzieś dziać – mówię do Farly, gdy zaczynamy oglądać trzynasty z rzędu odcinek *Przyjaciół*, rozwalone na kanapie w domu mojej mamy o siedemnastej w wigilię Nowego Roku. – Mamy dziewiętnaście lat. Niemożliwe, żebyśmy nie mogły znaleźć gdzieś jakiejś imprezy.

Wysyłam pozornie spersonalizowaną wiadomość do wszystkich kontaktów w telefonie. Nasz kolega Dan sugeruje rave w opuszczonym magazynie w Hackney, ale Farly boi się dużych grupowych imprez, na których ludzie biorą narkotyki, poza tym nigdy nie była we wschodnim Londynie dalej niż na Liverpool Street.

Już tracimy nadzieję, kiedy nagle ktoś łapie przynętę. Felix – znajomy ze szkoły z klasy niżej. Zawsze strasznie się w nim kochałam. Mówi coś o „wielkim ravie na Cobham" i dodaje, że nie chcemy tego przegapić. Radzi, żebym przyprowadziła koleżanki. Farly zgadza się dołączyć, bo to nasza jedyna opcja, a poza tym wie, jak bardzo podoba mi się Felix. Robi to dla nas, zapewnia mi wsparcie – idzie na imprezę dla wyższego dobra, jakim jest szczęście mojej waginy. Ten system od dawna działa uczciwie, skutecznie i na zasadzie wzajemności – czasami poświęcam wieczór, żeby pomóc jej wyrwać chłopaka, i uznaję to za znak dobrej woli, za który mogę oczekiwać zapłaty w takiej samej walucie w przyszłości. To seksualna demokracja. Koniec końców obie wychodzimy na zero.

Docieramy do dużego wolnostojącego domu w Surrey, gdzie nie zastajemy żadnego rave'u, tylko posiadówkę z mrożoną pizzą – w sumie dziesięć obejmujących się par i jeden barczysty gość w koszulce rugby, który bawi się z labradorem.

– Cześć! – odzywam się niepewnie. – Jest tu Felix?

– Poszedł po wódkę – wyjaśnia obojętnie rugbysta, nie odrywając wzroku od psa.

– Czy ty w szkole nie byłaś w klasie nad nami? – pyta dziewczyna o sztywnych loczkach i końskiej twarzy.

– No – przyznaję, niepewnie sięgając po kawałek pizzy z pepperoni.

– Nikt z waszych znajomych nie był dziś wolny?

W drzwiach pojawia się Felix. Niesie pobrzękującą siatkę.

– Hej! – krzyczy, rozpościerając ramiona.

– Cześć! – odpowiadam i obejmuję go na powitanie. – To jest Farly. Wszyscy tutaj są w parach? – mamroczę kątem warg.

– No – przyznaje Felix. – Spodziewaliśmy się bardziej zróżnicowanego towarzystwa, ale mnóstwo ludzi zapowiedziało się i nie przyszło.

– Okej.

– Ale i tak będziemy się świetnie bawić! – oznajmia, obejmując każdą z nas ramieniem. – Jak trzech muszkieterów.

Godziny upływają z łatwością, w przyjemnej, pijanej atmosferze. Uznaję, że może warto było się tłuc aż do Cobham. Felix, Farly i ja idziemy na przeszklone patio i gramy w alkoholowe gry, rozmawiamy i żartujemy. W pewnej chwili on znów zarzuca nam obu ręce na ramiona. Wymieniam z przyjaciółką ukradkowe spojrzenie i uśmiech – wszystko w ułamku sekundy, ale to wystarcza, żeby powiedziała, że musi iść na górę zadzwonić. Zostawia nas samych. Nie mogłabym jej bardziej kochać.

– Mógłbym z tobą pogadać w jakimś cichym miejscu?

– Jasne – przytakuję z uśmiechem. Felix bierze mnie za rękę i prowadzi do ogrodu. Siadam na plastikowym krześle.

– To trochę niezręczna sytuacja – mówi, przestępując z nogi na nogi.

– Dlaczego? Powiedz to.

– Strasznie mi się podoba twoja kumpela, Farly. Ma kogoś?

W ciągu nanosekundy muszę ocenić, jak dobrym jestem człowiekiem.

– Tak – odpowiadam, uznając, że mam jeszcze w życiu mnóstwo czasu na rozwój. – Tak, ma kogoś.

– Szlag! Jest w związku?

– Owszem. Bardzo poważnym – zapewniam, kiwając głową. – Z takim chłopakiem, nazywa się Dave.

– Ale przed chwilą zachowywała się tak, jakby była sama.

– No, nie są już oficjalnie razem – improwizuję. – Ale dalej im na sobie zależy. Bardzo poważnie. Właśnie poszła do niego zadzwonić. Wiesz, jak to jest w Nowy Rok – człowiek myśli o wszystkim, czego żałuje, o niedopowiedzianych rzeczach i tak dalej. Tak czy inaczej, ona stanowczo nie jest gotowa na nikogo innego.

Farly radośnie wraca do stolika, niosąc butelkę wina. Sflaczały Felix idzie do łazienki.

– Lizaliście się? – pyta podekscytowana. – Przerwałam wam?

– Nie, ty mu się podobasz. Spytał, czy jesteś wolna, a ja powiedziałam, że nie, bo jestem złym człowiekiem i nie chcę, żebyś go zaliczyła. Wyjaśniłam, że masz skomplikowaną sytuację z takim gościem, który nazywa się Dave, bardzo to przeżywasz i nie jesteś gotowa na nikogo nowego.

– Okej.

– Nie masz do mnie pretensji?

– Jasne, że nie. I tak nie jest w moim typie.

Słyszymy zbliżające się kroki Feliksa.

– Powiedziałam, że właśnie gadałaś z Dave'em przez telefon – mamroczę szeptem.

– Spoko.

Kiedy Felix znów siada przy stole, Farly zaczyna mówić głośniej.

– No tak, właśnie rozmawiałam z Dave'em – oznajmia sztywno jak robot, wykazując się zniuansowanym talentem aktorskim, jakiego nie powstydziłyby się kukiełki z *Ulicy Sezamkowej*. – Znowu dzwonił!

– I co powiedział?

– To samo co zwykle. Chce, żebym do niego wróciła, mówi, że tym razem będzie inaczej. Na co ja do niego: „Dave, już to przerabialiśmy". Ale i tak coś poczułam, mimo że nie jesteśmy już razem. To tylko udowadnia, że nie jestem jeszcze gotowa na nikogo nowego – powtarza moje instrukcje jak papuga.

Felix wściekle przygryza wargę i dopija wino.

– Już prawie północ – oznajmia i wraca do środka.

Gdy zaczyna się odliczanie, stoję w nieciekawym, kremowym salonie na przedmieściach należącym do rodziny chłopaka, którego nigdy dotąd nie widziałam na oczy, i przysięgam sobie, że już nigdy, przenigdy nie zaplanuję sobie tak wieczoru w nadziei na potencjalny podbój. Oglądamy BBC. Na ekranie migają twarze pijanych ludzi o czerwonych policzkach wystających znad szalików. Stoją nad Tamizą, a ja marzę, by do nich dołączyć. Big Ben wybija północ. Rozlegają się pierwsze dźwięki *Auld Lang Syne*[2]. Nagle, z jakiegoś powodu – chyba nigdy w życiu nie zdołam pojąć z jakiego – wszyscy zaczynają tańczyć wolno w parach, jakby to była ostatnia piosenka na dyskotece. Z wyjątkiem Feliksa, który siedzi naburmuszony po przeciwnej stronie pokoju i gra w coś na telefonie. Przekręcam mosiężną gałkę antycznego mahoniowego barku i sięgam po butelkę whisky. Zerkam na Farly – trzyma akurat labradora za przednie łapy i tańczy z nim do pogrzebowego zawodzenia *Auld Lang Syne*.

Przegapiłyśmy pociąg do Londynu, stoję więc przed domem i zaczynam wydzwaniać do lokalnych firm taksówkarskich, ale wszystkie są za drogie. Zostałyśmy uziemione co najmniej na osiem godzin w domu pełnym zakochanych par i z gościem, któremu się nie podobam – a wszyscy byli rok niżej ode mnie w szkole. Wracam do siódmego kręgu podmiejskich piekieł i widzę, że Farly ociera się intensywnie o rugbystę przy lodówce, po czym oboje znikają w schowku do suszenia prania. Wracam do ogrodu, żeby w samotności wypalić resztę papierosów.

– Gdzie jest Farly? – pyta Felix, który wpadł na ten sam pomysł, co ja.

Nie chce mi się już bawić w zmyślone historyjki.

– W schowku na pranie z tym rugbystą – wyjaśniam obojętnie i pociągam łyk whisky prosto z butelki.

– Co? A co z Dave'em?

– Nie wiem. – Zapalam papierosa i wypuszczam dym w zimne, nieruchome nocne powietrze. – To bardzo skomplikowany związek. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej. Raz jest dobrze, raz źle, w jednej chwili są razem, w następnej nie chcą się znać.

– Ale godzinę temu mówiła, że są razem – protestuje Felix z oburzeniem.

– No, pewnie zadzwonił jeszcze raz, znowu się pokłócili, a ona uznała, że to jednak koniec.

– Super – mamrocze, siadając na plastikowym krześle obok mnie. Sięga po papierosa. – To najgorszy sylwester na świecie.

– No – przytakuję. Przez chwilę w milczeniu obserwujemy ostatnie fajerwerki nad Surrey. – Najgorszy.

2 *Auld Lang Syne* – utwór, którym Brytyjczycy i Szkoci tradycyjnie witają nowy rok.

10 listopada

Drodzy wszyscy, których kiedykolwiek poznałam, i ci, których nie miałam okazji spotkać,
wybaczcie mi ten grupowy e-mail – nie jest mi ani odrobinę głupio, bo przecież bezwstydna autopromocja nie jest dla mnie powodem do żenady. Piszę do Was, by poinformować o projekcie, nad którym od całych dwóch tygodni pracuję wyłącznie dla własnej przyjemności, i uważam, że w związku z tym wszyscy jesteście mi winni swój czas, pieniądze i uwagę.
Organizuję wieczór muzyki, poezji i filmu w ramach wydarzenia o nazwie Salon Literacki Lany, odbywający się na opuszczonym parkingu w Leytonstone. Ma on na celu powrót do najlepszych tradycji intelektualnej przygody w duchu oksfordzkich kół naukowych, w atmosferze klubu komediowego.
Otworzymy go recytacją poezji napisanej i wygłaszanej przez Indię Towler-Baggs na temat jej zmieniającej życie niedawnej wizyty u fryzjera, trudnych decyzji dotyczących wyboru domyślnej przeglądarki internetowej i poszukiwania drogi powrotnej do własnego ja za pomocą ceremonii ayahuasca oraz treningów zumby. Autorka będzie recytować wszystkie swoje dzieła z lekkim jamajskim akcentem, choć w rzeczywistości jest absolwentką prywatnej żeńskiej szkoły w Cheltenham.
Jak większość z Was zapewne już wie – za sprawą regularnego spamu otrzymywanego na Facebooku – Ollie założył partię polityczną Młodzi Zagubieni Liberałowie i w związku z tym odczyta na scenie manifest, po którym nastąpi panel dyskusyjny z dziennikarką Foxy James (T4, MTV News) o trzech głównych założeniach partii: pomocy w zakupie pierwszej nieruchomości, redukcji opłat za studia na publicznych uczelniach

i ponownym otwarciu klubu nocnego Fabric. Możliwość zapisania się do partii na miejscu.

Następnie gwóźdź programu: mój film krótkometrażowy *Nikomu nie przeszkadza, że Ulrika Jonsson jest imigrantką*. Zgłębia on problemy tożsamości kulturowej, obywatelstwa i suwerenności w sztafażu dystopijnej przyszłości. Po zakończeniu projekcji trzyminutowego filmu Foxy przeprowadzi ze mną dwugodzinną dyskusję – porozmawiamy o filmie i jego twórcach (w większości członkach mojej rodziny), tak jakby to było znane i cenione dzieło. Panel będzie przebiegać w irytującej showbiznesowej atmosferze prywatnych żartów i znanych tylko nam anegdotek, tak jakbym była Martinem Scorsese dzielącym się komentarzem reżyserskim do *Chłopców z ferajny*.

W ramach poczęstunku zapewniamy kraftowe piwo warzone przez moją współlokatorkę na balkonie w bloku w Penge. Śmierć Hackney smakuje jak gazowane ciasto drożdżowe, pachnie jak infekcja dróg moczowych i kosztuje jedyne trzynaście funtów za butelkę. Smacznego.

W trakcie wydarzenia wśród gości będzie krążyć wiadro, do którego możecie wrzucić tak dużo lub mało, jak tylko chcecie, by wesprzeć naprawdę wartościowy cel: mnie. Sequel *Ulriki* jest obecnie w fazie przedprodukcji i chciałabym zrobić go tak szybko, jak to tylko możliwe, ale nie mam ochoty oddawać się jakiejś nudnej pracy (podobnie jak Kerouac po prostu nie jestem stworzona do wczesnego wstawania).

Dziękuję Wam z całego serca za wsparcie. Będę zachwycona na widok dosłownie każdego z Was – z wyjątkiem tych, których nie znam zbyt dobrze, powitam ich zatem z chłodnym dystansem, a potem wyszepczę do znajomych: „Boże, co on tu robi? Nie widziałam go od podstawówki, chyba mnie stalkuje”.

Niech moc sztuki będzie z Wami!

Lana

Trochę gruba, trochę chuda

Kochasz mnie jeszcze? – spytałam.

– Nie – odparł. – Nie, chyba już cię nie kocham.

– A podobam ci się chociaż?

Zapadła cisza.

– Też nie.

(Od tamtej pory zawsze mówię ludziom, że lepiej nie mówić prawdy, kiedy się kogoś rzuca. „Odkochanie" jest przykre, ale „już mi się nie podobasz" to cios prosto w serce).

Dopiero co obchodziłam dwudzieste pierwsze urodziny, miesiąc wcześniej skończyłam studia, a mój pierwszy prawdziwy chłopak właśnie rzucił mnie przez telefon.

Harry i ja byliśmy ze sobą przez niewiele ponad rok, mimo że zupełnie, ale to zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Miał konserwatywne poglądy i obsesję na punkcie sportu – robił co wieczór sto pompek przed snem i był sekretarzem uniwersyteckiego klubu lacrosse na Exeter, poza tym bez ironii nosił koszulkę z napisem „Piwo to moje paliwo". Nie tolerował nadmiernego okazywania emocji, wysokich kobiet w szpilkach i zbyt głośnego zachowania, czyli właściwie wszystkiego, co wtedy sobą reprezentowałam. Uważał, że jestem chodzącą katastrofą. Ja jego miałam za nudziarza.

Cały związek upłynął nam na kłótniach – między innymi dlatego, że nigdy nie spędzaliśmy czasu osobno. Praktycznie wprowadził się do mieszkania, które dzieliłam na ostatnim roku studiów z Lacey, A.J. i Farly, a kiedy latem przyjechał do Londynu na praktyki, zamieszkał w domu moich rodziców.

Jeden z naszych najgorszych okresów miał miejsce pod koniec tego długiego, gorącego, wprawiającego w rozdrażnienie sierpnia bez chwili odpoczynku od siebie, kiedy kupiliśmy bilety na pociąg do Oksfordu, by pojechać na imprezę z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Lacey. Po głównym daniu wymknęłam się od stołu i natknęłam się na basen, który bardzo mi się spodobał. Zdjęłam całe ubranie i wskoczyłam na pływanko, a kiedy kilkoro znajomych wyszło, żeby mnie poszukać, zachęciłam ich, żeby zrobili to samo. Wieczór zmienił się w jedną wielką imprezę w wodzie, a ja zostałam nagą basenową mistrzynią ceremonii. Harry się wściekł. Następnego ranka Farly i A.J. schowały się za drzewem i zgięte wpół w ataku niekontrolowanego chichotu podsłuchiwały, jak wrzeszczy na mnie: „OSTATNI RAZ MNIE TAK WYSTAWIŁAŚ!". Wstydu dopełniał fakt, że w wodzie było za dużo chloru i moje tlenione blond włosy zmieniły kolor na soczystą butelkową zieleń.

Nie mieliśmy ze sobą absolutnie nic wspólnego, ale Harry chciał być moim pierwszym prawdziwym chłopakiem, a ja w wieku dziewiętnastu lat uważałam to za dość dobry powód, żeby z kimś chodzić.

Kiedy do mnie zadzwonił, miałam lokum na czas nieokreślony u koleżanki, bo zaczęłam magisterkę z dziennikarstwa i chciałam uniknąć długich dojazdów ze Stanmore. Godzinę później, o pierwszej w nocy, Farly przyjechała do mnie od swojej mamy i oznajmiła, że zabiera mnie do domu.

Przez całą drogę byłam niepocieszona. Próbowałam streścić przyjaciółce naszą rozmowę, ale nie pamiętałam prawie żadnych szczegółów. Zadzwonił mój telefon – to był on. Powiedziałam Farly, że nie jestem w stanie z nim rozmawiać. Zaparkowała, odebrała i przyłożyła komórkę do ucha.

– Harry, dlaczego to zrobiłeś? – warknęła. Nie słyszałam, co on na to odpowiada. – W porządku, ale dlaczego zrobiłeś jej to przez telefon? Nie mogłeś się z nią spotkać i załatwić sprawy twarzą w twarz? – Znów rozległy się jakieś niezrozumiałe wyjaśnienia po drugiej stronie. – TAA? TERAZ TO CHUJ CI W DUPĘ! – krzyknęła, rozłączyła się i rzuciła telefon na tylne siedzenie.

– Co ci powiedział?

– Nic konkretnego.

Tej nocy spała ze mną w łóżku. I następnej też. Została ze mną w domu moich rodziców przez dwa tygodnie; nie wróciłam do mieszkania koleżanki. Pierwszy raz miałam złamane serce. Nie spodziewałam się, że ogarnie mnie tak dojmujące poczucie zagubienia, jakbym już nigdy nie mogła nikomu zaufać. Nie rozumiałam, co się właściwie stało i dlaczego. Wiedziałam tylko jedno: nie byłam dość dobra.

Nie mogłam jeść. Słyszałam już o tej korzyści płynącej z rozstania, ale nigdy nie przypuszczałam, że mnie też się to przytrafi. Od zawsze byłam bardzo głodną dziewczyną. Może nawet najgłodniejszą ze wszystkich. Nigdy nie zdołałam wytrzymać na żadnej diecie dłużej niż dwa dni. Cała moja rodzina uwielbiała jeść, Farly i ja też. Mama, urodzona kucharka wychowana przez włoskich dziadków, zaczęła uczyć mnie gotowania, kiedy miałam pięć lat. Stawałam obok niej na krześle, żeby pomóc wyrabiać ciasto albo ubijać jajka przy kuchennym blacie. Gotowałam sobie jako nastolatka, a na studiach stałam się karmicielką wszystkich znajomych. Mój pierwszy w życiu wpis do pamiętnika – miałam wtedy sześć lat – obejmował sporządzoną z entuzjazmem listę wszystkiego, co jadłam tamtego dnia. Wspominałam fazy swojego życia przez pryzmat tego, co akurat znajdowało się na talerzu: chrupiące pieczone ziemniaki podczas nadmorskich wakacji w Devonie, kolorowe, lepkie tartaletki z dżemem na dziesiąte urodziny, pieczony, topiący lęki przed poniedziałkiem kurczak w gęstym, aromatycznym sosie w każdą niedzielę. Nieważne, jak okropne stawało się życie, nieważne, jak wielki ból mnie dopadał, zawsze miałam miejsce na dokładkę.

Nigdy nie postrzegałam siebie jako osoby z nadwagą, ale moją figurę często opisywano dość mglistym określeniem „dorodna dziewczyna”. Pochodzę z sięgającej daleko w przeszłość dynastii olbrzymów. Mój braciszek już jako nastolatek miał dwa metry i musiał kupować ubrania w sklepach o takich nazwach jak Magnus albo Jego Wysokość. W wieku czternastu lat dobiłam do metra siedemdziesięciu. Przed osiemnastką miałam już metr osiemdziesiąt dwa. Nie byłam jednak uroczą, szczupłą nastolatką, która trochę przypomina dziewczynę, a trochę jelonka. Byłam konkretnie

zbudowana, miałam duże cycki i biodra. Absolutne przeciwieństwo dziewczyn z okładek *Pamiętnika księżniczki* i *Klubu wędrujących dżinsów*. Nie tylko moja osobowość nie nadawała się do nastoletniego życia – fizycznie też do niego nie pasowałam.

Z powodu wzrostu trudno było mi się poruszać w nastoletniej rzeczywistości – nigdy nie wiedziałam, ile powinnam ważyć, bo wszystkie dziewczyny były ode mnie o połowę niższe i mówiły, że są grube, gdy osiągały wagę, jakiej ja nie miałam od dzieciństwa, co zaszczepiło we mnie ogromne poczucie wstydu. Ponieważ oprócz tego nie zdążyłam się jeszcze wyciągnąć i często zajadałam nudę, przed szesnastym rokiem życia kupowałam ciuchy w rozmiarze czterdzieści cztery. Zdawałam sobie sprawę z tego, że jestem większa od rówieśniczek, i czasami słyszałam o sobie „gruba", ale zawsze byłam przekonana, że moje kształty nie będą takie dziwne, kiedy stanę się dorosła. Jedyny prawdziwie mrożący krew w żyłach moment przeżyłam, kiedy miałam piętnaście lat. Moi rodzice organizowali grilla, na którym ich przyjaciółka – bardzo pijana i spektakularnie otyła Tilly – chwyciła mnie za boczki, jakby to było koło sterowe na statku, i oznajmiła wszystkim zebranym, że „my, duże dziewczyny, musimy trzymać się razem". Następnie bez ogródek powiedziała mi, że „mężczyźni lubią mieć za co złapać", a jej mąż – też rozmiarów opla zafiry – konspiracyjnie puścił do mnie oko.

Trochę kilogramów spadło ze mnie w szkole z internatem, a kiedy zaczęłam studia, wchodziłam już bez trudu w rozmiar czterdzieści dwa, ale nie przeszkadzało mi, że nie jestem bardzo szczupła. Dalej mogłam całować chłopaków, którzy mi się podobali. Ubierałam się w Topshopie. Kochałam jeść i gotować. Rozumiałam, że taka jest cena tej przyjemności.

A teraz proszę: wreszcie nie byłam w stanie nic przełknąć. Od stóp do głów wypełniało mnie obrzydliwe żółte obrzydzenie, a mój apetyt – najbardziej imponująca cecha, jaką posiadałam – zniknął. Miałam wrażenie, że jelita mi się skleiły. Bez przerwy miałam gulę w gardle. Mama stawiała przede mną wieczorem zupę, mówiąc, że łatwo będzie mi ją przełknąć, ale wciskałam w siebie tylko kilka łyżek, a resztę wylewałam do zlewu, gdy nie patrzyła.

Po dwóch tygodniach stanęłam na wadze. Straciłam sześć kilogramów. Obejrzałam się naga w lustrze i po raz pierwszy w życiu ujrzałam zaczątki tego, co według społeczeństwa, w którym żyłam, było prawdziwym wyznacznikiem kobiecości: węższa talia, zarys kości biodrowych i łopatek. W tym nowym świecie, którego nie pojmowałam – w którym mieszkający ze mną od roku chłopak nagle zaczął czuć do mnie obrzydzenie – coś wreszcie stało się zrozumiałe. Przestałam jeść, więc moje ciało zaczęło się zmieniać. To podziałało. W całym tym bałaganie znalazłam prostą formułę, nad którą miałam władzę. Kontrolowałam coś, co prowadziło mnie do nowego miejsca, gdzie mogłam stać się kimś innym. W swoim odbiciu zobaczyłam odpowiedź: przestań jeść.

*

Uczyniłam z tego nową misję: ważyłam się codziennie, liczyłam kroki i kalorie, rano i wieczorem robiłam w pokoju przysiady. Raz w tygodniu zapisywałam swoje wymiary. Żyłam na dietetycznej coli i surowych marchewkach. Kiedy miałam ochotę coś zjeść, szłam spać albo brałam gorącą kąpiel. Nadal traciłam na wadze. Z dnia na dzień zrzucałam kilogramy; nie miałam żadnych przestojów. Wypełniła mnie energia, która z początku zastąpiła jedzenie; miałam wrażenie, że jestem jak pociąg ekspresowy, który jakimś cudem pruje bez paliwa.

Minął kolejny miesiąc, a ja straciłam następne sześć kilogramów. Nie pojawił mi się okres – to jednocześnie mnie przeraziło i zachęciło do działania. Przynajmniej widziałam, że coś zmienia się we mnie zarówno na zewnątrz, jak i w środku; zbliżałam się do przemiany w kogoś nowego.

W tamtym czasie wychodziłam tylko na wykłady. Przez resztę czasu siedziałam w domu, bo nadal lizałam rany po zerwaniu i nie miałam ochoty na spotkania towarzyskie. Pierwszą osobą, która zauważyła, że coś jest nie tak, była siostra Harry'ego, Alex, z którą zaprzyjaźniłam się podczas naszego związku. Alex na szczęście nie zerwała ze mną kontaktów po naszym rozstaniu. Niedawno przeprowadziła się do Nowego Jorku i codziennie rozmawiałyśmy na

Skypie. Któregoś dnia w trakcie rozmowy wstałam, a ona po raz pierwszy od miesięcy zobaczyła całe moje ciało na ekranie.

– Gdzie się podziały twoje cycki? – spytała, otwierając szeroko oczy. Pochyliła się nad komputerem i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Nigdzie, są tutaj.

– Wcale nie. I masz brzuch jak deska. Dolls, co się stało?

– Nic, po prostu trochę straciłam na wadze.

– Och, kochanie. – Alex zmarszczyła brwi. – Przecież widzę, że przestałaś jeść.

Inni nie byli równie spostrzegawczy. Zaczęłam więcej wychodzić i spotykać się ze znajomymi ze studiów. Mówili, że słyszeli o Harrym i że strasznie im przykro. Słyszałam, że ma nową dziewczynę. Wszyscy powtarzali, że świetnie wyglądam, a każdy komplement sycił lepiej niż obiad.

Bez przerwy imprezowałam i piłam, żeby odwrócić uwagę od smutku i głodu. Coraz bardziej zaniepokojona mama zostawiała mi jedzenie na kuchennym blacie, trafnie licząc na to, że wtedy chętniej coś zjem. Nauczyłam się, żeby po powrocie iść prosto do łóżka.

Do grudnia straciłam osiemnaście kilogramów. W trzy miesiące. Wtedy już trudniej było mi przywoływać myśli i surowe rytuały, dzięki którym trzymałam się z daleka od jedzenia. Byłam wyczerpana, przerzedziły mi się włosy i bez przerwy trzęsłam się z zimna, które przeszywało mnie do kości. Przesiadywałam pod prysznicem, próbując się rozgrzać wodą tak gorącą, że parzyła plecy i zostawiała ślady na skórze. Bez przerwy okłamywałam zmartwionych rodziców i opowiadałam zmyślone historyjki o tym, ile dziś zjadłam albo kiedy zamierzam zjeść kolejny posiłek. Śniło mi się, że pożeram całe hałdy jedzenia, i budziłam się we łzach ze złości, że jak głupia przerwałam zaklęcie, które sama na siebie rzuciłam.

Hicks miała przed sobą jeszcze jeden rok na uczelni, podczas gdy cała reszta naszej paczki skończyła już studia. W któryś weekend Sophie, Farly i ja postanowiłyśmy odwiedzić ją na starych śmieciach, a to oznaczało, że zobaczę Harry'ego, który był tam na ostatnim roku. Pomyślałam, że łatwiej mi będzie zamknąć ten rozdział życia.

Powiedziałam mu, że powinniśmy oddać sobie swoje rzeczy; zgodził się na spotkanie.

Dziewczyny podwiozły mnie do jego domu w sobotę wczesnym wieczorem i zaparkowały na zewnątrz.

– STARA, BĘDZIEMY TU CZEKAĆ! – ryknęła Hicks, przerzucając stopy i dłoń z papierosem przez okno samochodu. Podeszłam do drzwi wejściowych i nacisnęłam guzik dzwonka.

– Boże – wyrwało mu się, kiedy otworzył drzwi. – Wyglądasz…

– Cześć, Harry – powiedziałam i poszłam na górę. Ruszył za mną. Stanęliśmy na przeciwnych końcach jego pokoju i popatrzyliśmy na siebie.

– Wyglądasz fantastycznie.

– Dzięki. Dasz mi moje rzeczy?

– Tak, tak, jasne – odparł zamroczony. Podał mi plastikową siatkę z moimi ciuchami i książkami. Ja wyciągnęłam z torby jego zwinięte bluzy i rzuciłam na łóżko.

– To wszystko, co znalazłam u siebie.

– Okej, dzięki. Do kiedy tu jesteś?

– Przyjechałam tylko na weekend. Zatrzymałam się u Hicks, razem z Farly i Soph.

– O, super. – Mówił w dziwnie słodki sposób. – No, przekaż im pozdrowienia. Chociaż pewnie nie są zainteresowane. – Zapadła krótka cisza. Nadal się sobie przypatrywaliśmy. – Przepraszam za…

– Nie musisz – uciełam.

– Muszę. Przepraszam, że tak to rozegrałem.

– Serio, nie musisz. Wyświadczyłeś mi wielką przysługę – trajkotałam. – Zobacz, nawet zapuściłam paznokcie, już ich nie obgryzam, i byłam pierwszy raz w życiu na manikiurze, wyobrażasz sobie? Kosztował tylko pięć funtów – dodałam, agresywnie wyciągając dłonie w jego stronę. Usłyszałam trąbienie samochodu. Sophie i Hicks piły piwo i obie waliły w klakson, a spanikowana Farly próbowała je powstrzymać.

– Muszę lecieć – oznajmiłam.

– Jasne.

W milczeniu zeszliśmy na dół. Otworzył mi drzwi.

– Wszystko w porządku? Jesteś bardzo…

– Szczupła?

– No.

– Nic mi nie jest, Harry – zapewniłam, obejmując go sztywno. – Na razie.

Dziewczyny zabrały mnie na curry, by uczcić wydarzenie uznane przez nie za wielki finał mojej przykrej historii. Ja tylko dłubałam w ryżu i piłam piwo za piwem. Czułam się jeszcze bardziej poruszona, upokorzona, zła i pozbawiona kontroli niż kiedykolwiek wcześniej. Nie wiedziałam, co chciałam osiągnąć, spotykając się z Harrym, ale i tak mi się to nie udało. Nic się nie zmieniło.

*

Rzuciłam się w odchudzanie z jeszcze większą zawziętością. Napędzała mnie złość. Waga stanęła w miejscu – to był znak, że trybiki mojego metabolizmu zgłupiały i zwolniły – jadłam więc jeszcze mniej. Przyjaciele zaczęli zwracać mi uwagę; Farly powiedziała, że wpadłam w obsesję. Próbowała pomóc mi się otworzyć, ale zbyłam jej pytania żartami. Uświadomiłam sobie, że aby zamknąć ludziom usta, wystarczy ciągle żartować z tego, jak mało jem. Poruszałam ten temat, zanim ktokolwiek inny zdążył to zrobić, by pokazać wszystkim, że to nie problem, tylko dieta. A poza tym, mówiłam ciągle, przecież zeszłam tylko do rozmiaru trzydzieści osiem. Wcale nie miałam niedowagi, po prostu zaczęłam z wysokiego pułapu.

Kontynuowałam odchudzanie, bo to była jedyna rzecz, nad którą miałam kontrolę. Ciągnęłam to dlatego, że chciałam być szczęśliwa, a każdy wie, że człowiek jest szczęśliwszy, gdy staje się szczuplejszy. Społeczeństwo na każdym kroku nagradzało mnie za tę torturę, którą sama sobie zadawałam. Słyszałam komplementy i różne propozycje, czułam się bardziej akceptowana przez nieznajomych, prawie wszystkie ubrania świetnie na mnie leżały. Miałam wrażenie, że wreszcie zapracowałam sobie na to, by traktowano mnie poważnie jako kobietę; wszystko, co miało miejsce wcześniej, było bez znaczenia. Uznałam, że byłam głupia, jeśli wierzyłam, że zasługiwałam kiedyś na uczucia. Utożsamiłam miłość z chudością

i ku swojemu przerażeniu odkryłam, że wszystko wokół potwierdza tę tezę. Moje zdrowie leciało w dół, ale wartość szybowała w górę.

Kłopot w tym, że kobieta nigdy nie jest dość szczupła. Wieczny głód, wykluczenie całej grupy żywieniowej i spędzanie czterech wieczorów w tygodniu na siłowni są uważane za niewygórowaną cenę. Żeby być atrakcyjnym młodym mężczyzną, wystarczy mieć miły uśmiech, przeciętną budowę ciała (plus minus pięć kilogramów), trochę włosów i przyzwoity sweter. Aby stać się godną pożądania kobietą, lista wymagań nie ma końca: należy depilować każdą część ciała, co tydzień chodzić na paznokcie, codziennie nosić szpilki, wyglądać jak aniołek Victoria's Secret mimo pracy w biurze. Nie wystarczy być kobietą o przeciętnej budowie ciała, z fajnymi włosami i w przyzwoitym swetrze. To za mało. Wmawia się nam, że musimy wyglądać jak kobiety, które swoim wyglądem zarabiają na życie.

Im zacieklej dążyłam ku doskonałości, tym więcej wad w sobie znajdowałam. O wiele pewniej czułam się w rozmiarze czterdzieści dwa, niż kiedy spadłam oczko niżej. Gdy rozbierałam się przed nowym partnerem, miałam ochotę przepraszać za to, co mam mu do zaoferowania, i wymienić całą listę elementów, które zamierzam w sobie zmienić – jak gospodyni domowa z klasy średniej, która mówi gościom: „Och, nie patrzcie na dywan, wiem, że jest koszmarny. Niedługo go wymienimy".

Niepokój części znajomych zaczął przeradzać się w irytację. Przychodziłam na imprezy na wpół ubrana, przegłodzona i snułam się jak w transie, ledwie zdolna do sklejenia kilku zdań. Sabrina i A.J. wybierały się razem w podróż, a ja spóźniłam się na ich imprezę pożegnalną, byłam za słaba, żeby z kimkolwiek porozmawiać, a po półgodzinie zmyśliłam jakąś wymówkę i pojechałam do domu. Widziałam, że odpycham od siebie życie kosztem absolutnie złudnego poczucia kontroli.

A potem pierwszy raz się zakochałam.

*

Poznałam Leo na nieciekawej domówce w okolicach stacji Elephant and Castle. Nigdy dotąd nie spotkałam równie wspaniałego mężczyzny. Był wysoki, szczupły, o ciemnych włosach opadających na czoło. Miał mocno zarysowaną szczękę, wesołe iskierki w oczach, lekko zadarty nos i wąsik rodem z lat siedemdziesiątych. Przypominał krzyżówkę Josha Brolina z Jamesem Taylorem i – co najlepsze – nie miał zielonego pojęcia, jaki jest piękny. Był doktorantem i hipisem; miał monomanię i monobrew.

Wkrótce po tamtej imprezie zaczęliśmy się spotykać. Wiedziałam, że to coś poważnego, bo przez całe dwa miesiące nie poszłam z nim do łóżka. Rozpaczliwie pragnęłam zrobić to właściwie, delektować się każdą spędzoną wspólnie chwilą – z niczym się nie spieszyć. Mieszkał w Camden i pod koniec naszych wspólnych nocy, zazwyczaj około czwartej nad ranem, odprowadzał mnie na przystanek autobusowy przy Chalk Farm, gdzie czekałam na N5, który miał mnie zabrać szesnaście kilometrów na północ do Edgware. Następnie czekał mnie czterdziestopięciominutowy spacer na zachód do Stanmore, przez opuszczone ulice zastawione volkswagenami. Patrzyłam, jak słońce wschodzi nad szeregowcami z czerwonej cegły, i czułam się szczęśliwsza, niż kiedykolwiek wydawało mi się to możliwe.

Pewnej nocy, kiedy pokonywaliśmy znajomą trasę przez Camden, Leo zatrzymał się, by mnie pocałować, i przeczesując palcami moje włosy, zatrzymał się na klipsach z pasmami sztucznych włosów. Odgarnął ciężki kosmyk z mojej twarzy i przytrzymał mi za głową.

– Świetnie by ci było z krótkimi włosami – powiedział.

– Nie ma mowy – zaprotestowałam. – Miałam boba w liceum i wyglądałam jak braciszek zakonny.

– Mam na myśli bardzo krótkie. Powinnaś spróbować.

– E, nie. Nie mam dobrej twarzy do takiej fryzury.

– Właśnie że masz! Nie bój się tak, to tylko włosy.

Leo nie miał pojęcia, że „tylko włosy” to było według mnie wszystko, co miało jakąś wartość. Tylko włosy, tylko obojczyki, tylko brzuszki i przysiady.

Przez niemal rok całą swoją energię ładowałam w „tylko” takie rzeczy i uważałam, że to jedyne, za co można mnie cenić.

Miesiąc później poszłam do fryzjera ze zdjęciem Twiggy, wypiłam kieliszek wódki i pozbyłam się niemal czterdziestu centymetrów włosów, a razem z nimi części obsesji na punkcie swojego wyglądu. Tak po prostu oderwała się i spadła na podłogę.

Leo nie wiedział, co ukrywam, bo nie chciałam, żeby miał mnie za wariatkę, ale po kilku miesiącach randek dodał dwa do dwóch. Unikałam wszelkich sytuacji, kiedy musiałabym coś zjeść; kiedy żegnaliśmy się nad ranem, zawsze zapewniałam, że zjem śniadanie później. Wreszcie ktoś ze znajomych powiedział mu, że chyba jestem chora.

– Czy masz jakiś problem? – zapytał.

– Nic mi nie jest – zapewniłam przerażona, że za chwilę stracę najwspanialszą osobę, jaką w życiu poznałam.

– Mogę ci pomóc. Wspierać cię w tym. Ale nie mogę się w tobie zakochać, jeśli się przede mną nie otworzysz.

– Okej, mam problem – przyznałam. – Ale to się zmieni, daję słowo.

Zrobiłabym wszystko, żeby zatrzymać tego faceta w swoim życiu. Miłość, jaką do niego czułam, była agresywna i gorączkowa – kochałam go panicznie, z pasją. Nie zakochałam się, to zakochanie nagle na mnie spadło. Jak tona cegieł z nieba. Nie miałam wyjścia, musiałam wyzwolić się z obsesji, która prowadziła ku zniszczeniu wszystkiego, co dla mnie cenne.

I rzeczywiście. Przeczytałam wszystkie potrzebne książki, poszłam do lekarza. Powoli wróciło mi pierwsze pięć kilogramów. Dzień po dniu uczyłam się ponownie, jak normalnie jeść. Odzyskałam zdrowie. Spróbowałam nawet spotkań grupy wsparcia w lokalnej świetlicy – wyobraźcie sobie, że pierwsze, co na nich robią, to stawiają na środku półmisek z ciastkami i dyskutują, czyja kolej, by przynieść przekąski za tydzień. Według mnie to było równie przydatne, co stawianie butelki jacka daniel'sa na zebraniu anonimowych alkoholików.

Znów zakochałam się w gotowaniu. Zakochałam się w jedzeniu. Co weekend robiłam jedno i drugie z Leo. Razem z mamą oglądałam stare odcinki Nigelli i Fanny Cradock. Wszyscy mówili, że „zdrowo wyglądam", a ja starałam się ignorować myśl, że znów jestem gruba.

Wojna dobiegła końca; rozpoczęłam rekonwalescencję. Odzyskałam swoje życie.

Mój doktorant i hipis w jednej osobie uwolnił mnie z niewoli doskonałości. Któregoś dnia upiliśmy się i jeszcze bardziej ścięliśmy moje włosy. Leo odkrawał wielkie kępki kuchennymi nożycami, a ja siedziałam na stole i wyciskałam limonki do piwa. W końcu zupełnie je sobie zgoliłam po bokach, pozostawiając tylko nastroszonego irokeza na czubku. Chodziłam w tenisówkach i swetrach Leo, spędzałam z nim całe dnie, nawet nie ruszając kosmetyczki i maszynki do golenia – pierwszy raz w życiu. Jeździliśmy na weekendy na plażę i myliśmy twarze, ciała i naczynia w morzu. Kiedy nam się nudziło, w niedzielne wieczory rozstawialiśmy namiot w jego pokoju. To była czysta wolność.

W głębi duszy wiedziałam jednak, że nadal zmieniam się na potrzeby męskiego spojrzenia; po prostu przeszłam na drugi koniec spektrum. Leo nie znosił, kiedy za mocno się malowałam, więc w autobusie z imprezy do jego mieszkania zmywałam makijaż chusteczkami. Zmieniałam szpilki na trampki.

Waga, którą odzyskałam, nie była czymś, czego sama bym dla siebie chciała. Przypuszczam, że gdybym nie poznała Leo, nadal traciłabym kilogramy, ale zrządzeniem losu poprowadził mnie ku pełnej rekonwalescencji. Z wiekiem na szczęście coraz lepiej rozumiem, jak cennym darem jest działające, zdrowe ciało. Ze wstydem i zdumieniem wspominam czasy, kiedy tak źle je traktowałam. Kłamstwem byłoby jednak mówić, że kiedykolwiek zupełnie uwolnię się od tego, co się wtedy wydarzyło. To fakt, który wszyscy trzymają w tajemnicy: możesz odzyskać zdrowie fizyczne, możesz wypracować sobie racjonalne, zrównoważone i troskliwe podejście do wagi, a także dobre nawyki żywieniowe, ale nigdy nie zapomnisz, ile kalorii jest w jajku na miękko ani ile kroków należy zrobić, by je spalić. Nie zapomnisz, ile dokładnie ważyłaś w każdym tygodniu każdego miesiąca przez ten czas. Możesz się starać to wymazać, ale czasami, gdy będziesz mieć bardzo trudny dzień, pomyślisz, że nigdy nie poczujesz już takiej euforii jak wtedy, kiedy miałaś dziesięć lat i zlizywałaś jaskrawoczerwony dżem z lepkich palców. Nigdy więcej.

Wszystko, co wiedziałam o miłości w wieku dwudziestu jeden lat

Mężczyźni uwielbiają dzikie, nieprzyzwoite kobiety. Przeleć go na pierwszej randce, nie daj zasnąć całą noc, nad ranem zapal z nim hasz w łóżku, nie oddzwaniaj, powiedz, że go nienawidzisz, zjawiaj się na progu w przebraniu seksownej pielęgniarki i rób wszystko, żeby wymykać się konwencjom. To podtrzymuje ich zainteresowanie.

Jeśli dość długo będziesz ignorować chłopaków najlepszych przyjaciółek, w końcu sobie pójdą. Traktuj ich jak przeziębienie albo łagodną infekcję pochwy.

Żadne rozstanie nigdy nie będzie tak trudne jak pierwsze. Będziesz miesiącami snuć się bez celu zagubiona jak dziecko, podważać wszystko, co wydawało ci się prawdą, i myśleć, ilu rzeczy musisz nauczyć się od nowa.

Zawsze to ty chodź na noc do faceta. Dzięki temu rano będziesz mogła się pożegnać, kiedy tylko zechcesz.

Idealny mężczyzna ma oliwkową skórę, brązowe lub zielone oczy, mocno zarysowany nos, gęstą brodę i ciemne kręcone włosy. Może się pochwalić nieżenującymi tatuażami, a w szafie trzyma pięć par lewisów z kolekcji vintage.

Kiedy nie uprawiasz seksu, możesz mieć krzaka rozrośniętego jak żywopłot w opuszczonym domu. Nie ma sensu marnować czasu, pieniędzy i energii na kremy depilujące, skoro i tak nie ma komu podziwiać rezultatów.

Jeśli będziesz dość chuda, zaczniesz się sobie podobać i wreszcie zasłużysz na miłość.

Nie wychodź z kimś, kto nie pozwala ci się upijać i flirtować z innymi. Jeśli taka właśnie jesteś, on powinien to w pełni akceptować.

Orgazmy łatwo udawać. To prosty gest, dzięki któremu obie strony czują się lepiej. Zrób ten dobry uczynek już dziś.

Kiedy zakochasz się we właściwym mężczyźnie, poczujesz się spokojna, szczęśliwa i na właściwym miejscu.

Bycie porzuconą to najgorsze uczucie na świecie. Mężczyznom nie wolno ufać.

Najlepsza część związku rozgrywa się w pierwszych trzech miesiącach.

Dobra przyjaciółka zawsze będzie przedkładać ciebie nad faceta.

Kiedy nie możesz zasnąć, snuj marzenia o wszystkich romansach z mężczyznami o oliwkowej skórze i kręconych włosach, które czekają cię w przyszłości.

Diabli nadali, czyli jak zostałam piątym kołem u wozu

Zaczęło się od podróży pociągiem. Zawsze spodziewałam się, że w pociągu przytrafi mi się coś wspaniałego. Ten przejściowy stan pomiędzy jednym miejscem a drugim wydawał się najbardziej romantyczną i magiczną przestrzenią, w jakiej człowiek może się znaleźć; trwałam zamknięta w przytulnej skorupce swoich myśli, zawieszona w powietrzu, przepływająca przez plik cichych, pustych stronic między jednym rozdziałem a drugim. To miejsce, w którym telefony budzą się i gasną, a ja jestem zmuszona zastanawiać się, co jeszcze powinnam zmienić i uporządkować. W pociągach wymarzyłam sobie sporo wielkich rzeczy. Kiedy śmigałam przez bliżej niezidentyfikowane angielskie krajobrazy, doświadczałam chwil najczystszego olśnienia – wpatrywałam się w złote pola rzepaku i rozmyślałam o tym, co zostawiam za sobą i co dopiero mnie czeka.

W dwa tysiące ósmym roku wsiadłam do pociągu na stacji Paddington, nie wiedząc, że ta wyprawa na zawsze zmieni moje życie, ale nie tak, jak mogłabym się tego spodziewać. Nic nie rozegrało się jak w *Pół żartem, pół serio*, *Przed wschodem słońca* czy w *Morderstwie w Orient Expressie*. Nie zakochałam się ani nie zaśpiewałam brawurowo *Runnin´ Wild* po pijaku, przygrywając sobie na ukulele, nie wplątałam się w żadne tajemnicze morderstwo. Zamiast tego puściłam w ruch łańcuch wydarzeń, który miał się powoli rozwijać przez kolejne pięć lat, aż wreszcie ta historia tak bardzo się ode mnie oddaliła, że nie mogłam już choćby jej dotknąć, a co dopiero odczynić to, co sama zaczęłam. Tak się składa, że sama niemal nie brałam w tym wszystkim udziału.

Była najmroźniejsza zima, jaką pamiętam (prawdopodobnie za sprawą mojego ówczesnego upodobania do obcisłych bandażowych

sukienek). Jechałam właśnie ostatnim niedzielnym pociągiem z Londynu z powrotem do Exeteru, kiedy zaczął padać śnieg. Pod Bristolem pociąg utknął na dobre. Inni pasażerowie narzekali, wzdychali i łazili sfrustrowani tam i z powrotem, ale ja nie wyobrażałam sobie nic bardziej romantycznego. Kupiłam w wagonie restauracyjnym butelkę taniego czerwonego wina i wróciłam na miejsce, po czym zapatrzyłam się w atramentowoczarny, cichy wiejski krajobraz, gładko pociągnięty warstwą śniegu jak lukrowane świąteczne ciasto.

Naprzeciwko mnie siedział chłopak mniej więcej w moim wieku, o najpiękniejszej twarzy, jaką w życiu widziałam. Próbował ściągnąć na siebie moje spojrzenie, podczas gdy ja byłam zajęta patrzeniem przez okno i marzeniami o mężczyźnie, który nagle spojrzałby mi w oczy w tym zepsutym pociągu. Wreszcie mu się udało. Przedstawił się jako Hector i zapytał, czy mógłby się przyłączyć.

Roztaczał wokół siebie aurę niewzruszonej pewności siebie, ewidentnie kultywowaną przez lata w prywatnej szkole. Tego rodzaju przekonanie o własnej wartości kiełkuje zazwyczaj w wieku trzynastu lat, kiedy otrzymuje się przekazywaną od pokoleń marynarkę – barwy nowej szkoły z internatem, głupie przezwisko i motto, które można zaintonować nawet po pięciu piwach. Bezczelna wiara w siebie umacnia się podczas występów w klubie debaty, a następnie każe rozpychać się w drodze na szczyt politycznej drabiny, bo niesie ze sobą przekonanie, że masz coś do powiedzenia i absolutne prawo znajdować się tu, gdzie jesteś. Hector mógł sobie pozwolić na taką arogancję, miał bowiem rysy cherubina: lśniące oczy o tęczówkach jak bławatki i zadarty nos przywodzący na myśl chłopców z reklam mydła z lat pięćdziesiątych. Kręcone jasne włosy młodego Hugh Granta opadały mu miękko na czoło, a w głębokim głosie pobrzmiewały bogate, pogodne nuty. Pociąg nie ruszył się z miejsca przez dwie godziny, a my w tym czasie śmialiśmy się, piliśmy i jedliśmy babeczki, które mama zapakowała mi na drogę.

Tak, wiem, co sobie myślicie: bardziej cukierkowo już się nie dało? Cóż, w moim dziewiętnastoletnim mózgu też pojawiła się taka myśl. Zainspirowana dziesiątkami komedii romantycznych oglądanych w niedzielne wieczory w naziemnej telewizji, uznałam, że

powinniśmy zostawić sprawę przeznaczeniu i nie wymieniać się numerami w nadziei, że przypadek znów nas kiedyś połączy. Hector odszedł więc w zimną bristolską noc, zostawiając mnie z dostatecznym bogactwem materiału co najmniej na trzy nieskładne wpisy na moim anonimowym blogu o „przygodach singielki".

Dokładnie dwa lata później, kilka miesięcy po tym, jak Harry ze mną zerwał, stałam przy barze w pubie na Portobello Road w Londynie, kiedy on wszedł do środka. Mimo że minęło tak niewiele czasu, jego anielska twarz zdążyła już nabrać seksownie ironicznych rysów podkreślonych przez dorosły garnitur i nieco krótsze włosy.

– Ze wszystkich pubów na świecie musiałem wejść akurat do tego – powiedział, całując mnie na powitanie w oba policzki.

Jak nakazywała tradycja, spędziliśmy wieczór, pijąc tanie czerwone wino i patrząc na śnieg padający za oknem, a kiedy nadeszła godzina zamknięcia, znów byliśmy uwięzieni w środku. Napadało zbyt wiele śniegu, bym mogła złapać autobus do domu, i byłam za bardzo pijana, żeby udawać trudną do zdobycia. Widząc, że nie daję sobie rady na rozchwianych tanich szpilkach, przerzucił mnie sobie przez ramię jak perski dywan i zabrał do swojego mieszkania.

O czwartej nad ranem nadal nie spaliśmy. Leżeliśmy nago na podłodze, paliliśmy american spirit jednego za drugim i strzepywaliśmy popiół do filiżanki, którą ustawiłam sobie na brzuchu. Hector wyjął mi z torebki eyeliner i zapisał nim na ścianie dwa wersy z wiersza Teda Hughesa („Jej oczy nie chciały niczego puścić/ Spojrzenia jej przygważdżały jego dłonie nadgarstki łokcie"[3]). Te słowa zawisły, niewyraźne i rozmyte, obok niezliczonych szkiców węglem przedstawiających nagą kobietę. („Ja to narysowałem. To moja była", przechwalał się, a ja leżałam obok – jego obecny projekt – wpatrzona w tę ścianę pełną pamiątek po dawnych podbojach. „Cudna dziewczyna, szkoda tylko, że mężatka"). Obok łóżka leżała oprawiona w czarną skórę książka adresowa z trzema złotymi słowami wytłoczonymi na okładce: *BLONDYNKI, BRUNETKI, RUDE*. Trzeba było mu przyznać, że może i był playboyem, ale przynajmniej miał wyobraźnię.

Hector był szelmą, hulaką, uroczym zawadiaką, bezczelnym rozrabiaką; kimś w rodzaju Franka Sinatry w połączeniu z Carym

Grantem. Nigdy wcześniej nie poznałam nikogo takiego jak on. Wszystko w jego życiu pochodziło z przeszłości: rodzina miała tytuł szlachecki, on sam ubierał się w wilcze futro do ziemi przywiezione z Rosji przez dziadka, a koszule miały metki ze szkoły z internatem. Przedmioty i meble w jego pokoju było zużyte albo pożyczone. Nawet karierę miał z drugiej ręki: jego szef, dawny kochanek matki, niegdyś gwiazdy śmietanki towarzyskiej, dał jej niewydarzonemu synkowi pracę w City na znak uwielbienia dla niej. Wychodziłam od Hectora nad ranem i zastanawiałam się, co on takiego robi w pracy poza tym, że biega w mojej bieliźnie, którą wkłada pod niewyprasowane spodnie, i całymi dniami wysyła mi nieprzyzwoite maile ze służbowego konta.

Nasz związek funkcjonował wyłącznie w nocy, bo sam Hector funkcjonował wyłącznie w nocy, jak jakaś mityczna bestia, jak ten wilk, którego obdarto ze skóry, by służył kolejnym pokoleniom za okrycie. Chodziliśmy na miasto i upijaliśmy się w mrocznych barach, zaczynaliśmy randki o północy. Kiedyś pojawiłam się w jego domu zupełnie naga, okryta jedynie długim prochowcem. Miałam dwadzieścia jeden lat i żyłam jak bohaterka powieści Jackie Collins, a on był moim wyrośniętym, napalonym Piotrusiem Panem.

Nigdy nie poznał żadnych moich znajomych i nie przedstawił mnie swoim – w niczym nam to nie przeszkadzało. Nawet nie wiedziałam, że mieszka ze współlokatorem, dopóki pewnego razu nie wpadłam po pijaku do kuchni o szóstej rano, zupełnie naga, gdzie zobaczyłam przy stole mężczyznę w garniturze. Jadł płatki i czytał gazetę przed wyjściem do pracy. Miał na imię Scott. Hector uznał tę historię za szalenie zabawną – więcej, stwierdził nawet, że to bardzo seksowne. Wtedy pierwszy raz się pokłóciliśmy.

Kilka dni później robiłam jajecznicę w kuchni Hectora, kiedy Scott pojawił się w szlafroku w drzwiach. Uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

– Cześć – powiedział, machając do mnie niezręcznie.

– Hej – odparłam. – Strasznie cię przepraszam za tamtą sytuację. Hector powiedział mi, że nikogo nie ma w domu. Byłam na niego wściekła.

– Nic się nie stało, naprawdę.

– Wcale nie, to okropne. Bardzo przepraszam. To ostatnia rzecz, jaką ktoś chciałby zobaczyć przed wyjściem do pracy.

– To była… eee… całkiem miła niespodzianka – zapewnił.

Zaoferowałam mu gałązkę oliwną w postaci jajecznicy i tostów. Usiedliśmy przy stole i zaczęliśmy uprzejmą rozmowę, która po chwili zeszła na temat randek. Czy on się z kimś spotykał? Nie? A może ja miałam jakieś miłe koleżanki, z którymi mogłabym go umówić? Owszem, znałam idealną kandydatkę. Moją najlepszą przyjaciółkę Farly.

– Ale jestem pewna, że ona nie szuka teraz nikogo na stałe, jest szczęśliwą singielką, więc to by było raczej coś tylko na chwilę – ostrzegłam.

– Brzmi doskonale.

– Super! Dam ci jej numer. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

Wpisałam jej numer do jego telefonu, bo dlaczego nie? Wydawał się sympatyczny – atrakcyjny, uprzejmy. Pewnie miał ochotę na romans. Powiedziałam o tym Farly i zapomniałam o sprawie.

*

Chyba powinnam na chwilę przerwać i wyjaśnić, dlaczego pcham się w resztę tej historii z całą energią białej singielki z klasy średniej.

Moja przyjaźń z Farly nie zawiązała się natychmiast – ona spędziła pierwszy rok uczepiona kurczowo grupki szkolnych księżniczek. Stanowiły wyjątkowy gatunek dziewcząt z przedmieść północnego Londynu i trzęsły całą szkołą. Wszystkie miały blond pasemka, biżuterię od Tiffany'ego, sypały anegdotkami z Brady, klubu sportowego w Edgware dla nastolatek z bogatych żydowskich rodzin, odpowiednika najgorętszego nocnego klubu dla podmiejskiej klasy średniej. Ja w weekendy ubierałam się na czarno, a większość czasu w szkole spędzałam na opracowywaniu sztuk dla kółka teatralnego, gdzie próbowałam zilustrować traumę katastrofy lotniczej wyłącznie za pomocą drewnianej kostki. Trafiłyśmy do tej samej klasy na francuskim i matematyce i prędko odkryłyśmy, że łączy nas podobne poczucie humoru, a także miłość do filmu *Dźwięki muzyki* i do arbuzowej pomadki do ust.

Nasza przyjaźń po godzinach zaczęła się ostrożnie, po kilku miesiącach dzielenia ławki na lekcjach. Ja pierwsza zaprosiłam ją do domu. Mama przygotowała pieczonego kurczaka, a tata postąpił tak samo, jak postępuje w kontaktach ze wszystkimi moimi znajomymi – w poszukiwaniu wspólnego języka chwyta się jednej informacji na ich temat i nawiązuje do niej w co drugim zdaniu. Z Farly takim tematem okazał się judaizm i wszystko, co ma jakikolwiek związek z Żydami, tak więc przez kolejne dziesięć lat tata przy każdej okazji mówił coś w rodzaju: „Słyszałaś, że sir Alan Sugar musiał zredukować zatrudnienie w Amstradzie? Strasznie przykra sytuacja" albo: „Widziałem ostatnio reklamę tanich lotów do Tel Awiwu. Tam musi być wspaniale o tej porze roku, tak ciepło".

Po dość powolnym starcie szybko jednak stałyśmy się nierozłączne. Spędzałyśmy razem każdą wolną chwilę w szkole, a po powrocie do domu pożerałyśmy obiad w dziesięć minut i dzwoniłyśmy do siebie, żeby omówić wszystkie sprawy, które zapomniałyśmy przedyskutować podczas krótszych bądź dłuższych spotkań w ciągu dnia. Ten rytuał tak się we mnie zapisał, że do dziś pamiętam jej numer domowy z lat dwa tysiące – dwa tysiące sześć lepiej niż PIN do własnej karty kredytowej.

Nie znosiłam szkoły i często pakowałam się w tarapaty. W wieku dwunastu lat zaliczyłam szlaban i zawieszenie w prawach ucznia po starciu z zastępcą dyrektora, a po powrocie wylądowałam prosto na lekcji geografii z nauczycielką, która mnie nie cierpiała. Kazała nam wyjąć zeszyty ćwiczeń – ja swojego zapomniałam, jak wszystkiego w dzieciństwie. (Co roku na przyjęciu świątecznym w mojej szkole wręczano nam worek na śmieci podpisany „Nagroda za dezorganizację imienia Dolly Alderton". Wybrana uczennica musiała przejść się po szkole i pozbierać wszystkie swoje rzeczy rozrzucone po całym budynku. Nie znosiłam tego).

– Gdzie twoje ćwiczenia? – spytała nauczycielka, patrząc mi przez ramię. Poczułam jej kwaśny oddech zalatujący mieszanką nescafé i papierosów.

– Zapomniałam – bąknęłam pod nosem.

– A to ci niespodzianka – odparła, podnosząc głos, jakby zamierzała wygłosić publiczne oświadczenie, i zaczęła krążyć po

klasie. – Zapomniała. Czy chociaż raz w życiu zdarzyło ci się czegoś nie zapomnieć? Jedna książka. To nie powinno być takie trudne – dodała, waląc gumowym wycierakiem do tablicy o biurko.

Twarz mi poczerwieniała. Poczułam mdłości, gorące łzy wezbrały mi w gardle. Farly dwa razy ścisnęła mnie za rękę pod stołem, szybko i mocno. Wiedziałam, co to znaczy; uniwersalny, milczący kod Morse'a: Jestem tutaj, kocham cię. W tej jednej chwili pojęłam, że wszystko się zmieniło: przeszłyśmy na drugą stronę. Wybrałyśmy się nawzajem. Stałyśmy się rodziną.

Farly i ja zawsze we wszystkim sobie towarzyszyłyśmy, każdego dnia. Przychodziłyśmy razem na każdy rodzinny obiad, jeździłyśmy razem na wakacje, zabierałyśmy się jako plus jeden na imprezy. Nigdy się tak naprawdę nie kłóciłyśmy, z wyjątkiem pijackich sprzeczek w klubach. Nigdy się nie okłamałyśmy. Przez ponad piętnaście lat ani razu nie zdarzyło się, żebym nie myślała o niej dłużej niż przez kilka godzin. Moje istnienie ma sens tylko wtedy, kiedy odbija się w niej i na odwrót. Bez miłości Farly zmieniam się w stertę porwanych, niedokończonych myśli, jestem tylko bytem z krwi, mięśni, skóry, kości, nieosiągalnych marzeń i stosu gównianych nastoletnich wierszy pod łóżkiem. Mój chaos nabiera formy dopiero wtedy, gdy staje przy mnie ten znajomy, ulubiony element mojego życia.

Znamy imiona wszystkich naszych dziadków i zabawek z dzieciństwa. Wiemy, jakie słowa należy ułożyć, w jakim porządku, żeby ta druga zaczęła się śmiać, płakać albo krzyczeć. Na całej plaży mojej historii nie ma ani jednego kamyczka, którego nie dotknęła jej dłoń. Farly wie, gdzie kryje się każda moja myśl i uczucie, a ja poznałam krajobraz jej duszy równie dobrze. Krótko mówiąc – to moja najlepsza przyjaciółka.

*

Walentynki dwa tysiące dziesiątego roku. Właśnie ten dzień Scott i Farly wybrali na swoją pierwszą randkę. Błagam, kto robi coś takiego?! Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle zawracali sobie

głowę randką; sądziłam, że wyjście na drinka to jedynie formalność, skoro i tak spotykają się tylko na jednorazową przygodę.

– Wiem, że to dziwnie brzmi – wyjaśniła Farly. – Ale od jakiegoś czasu do siebie piszemy i to jedyny dzień, który nam obojgu pasuje.

– Dokąd idziecie?

– Nie wiem. Powiedział, że odbierze mnie z pracy i zawiezie na kolację do jakiejś fajnej restauracji w Notting Hill.

– Na KOLACJĘ? – ryknęłam. – A po cholerę z nim idziesz na KOLACJĘ? Myślałam, że chcesz go tylko przelecieć?

– Doll, przecież nie mogę iść z nim prosto do domu. Musimy najpierw przynajmniej porozmawiać.

– Dobra, ale dlaczego kolacja, przecież nie mamy czterdziestu lat. Co za strata pieniędzy! I dlaczego akurat w walentynki?

– Już ci mówiłam, inaczej musielibyśmy strasznie długo czekać, oboje jesteśmy bardzo zajęci.

– „Jesteśmy bardzo zajęci" – przedrzeźniałam ją. – Zachowujecie się jak małżeństwo.

– Daj spokój.

– Nie sądzisz, że to będzie trochę dziwne, kiedy on, facet, którego W ŻYCIU nie widziałaś na oczy, przyjedzie po ciebie do pracy i zabierze cię na KOLACJĘ w WALENTYNKI z całą masą ZAKOCHANYCH PAR? Może to trochę zaburzy twoją ocenę tego, czy rzeczywiście ci się spodobał, czy nie?

– Nie. Będzie bardzo niezobowiązująco.

Kolacja poszła dobrze. I nie była ani trochę niezobowiązująca. Scott odebrał ją z Harrodsa, gdzie pracowała na stoisku z biżuterią, w deszczu (w deszczu! – jakby i bez tego nie dość się postarał); pojechali taksówką do Notting Hill, poszli do restauracji i zaliczyli najlepszą randkę w życiu Farly. Wiedziałam, że tak było, bo nie ćwierkała jak zawsze bez końca o tym, że to była najlepsza randka w jej życiu. Kiedy zapytałam ją o Scotta, była powściągliwa. Wyważona. Brzmiała niemal jak dorosła.

Właśnie ta irytująca dorosłość romansu Farly i Scotta uświadomiła mi, jak żenująca stała się moja znajomość z Hectorem. Wszystkie jego cechy skwaśniały po kolei jak stare mleko – szybko okazał się samolubny, bucowaty, koszmarny. Było z nim za dużo kłopotów,

a jego popisy przestały mnie bawić. Nie miałam już ochoty pić na śniadanie butelki białego wina, walić go klapkiem po głowie w udawanej kłótni ani udawać niegrzecznej wróżki, by dopasować się do kapryśnej, nadmiernie skomplikowanej fabuły jego seksualnych fantazji. W ciągu zaledwie jednego tygodnia dwa razy urwał mu się film po pijaku, a ja zostałam przed jego domem w deszczu. Godna pozazdroszczenia pewność siebie szkolnego księcia miała swoją cenę – potrzebował wychowawczyni. Nie byłam zainteresowana taką rolą.

– Błagam, Dolly – prosiła mnie Farly w piątkowy wieczór. – Proszę, spotkaj się z nim jeszcze raz. Proszę.

– Nie – zaprotestowałam stanowczo. – Nie chcę się już z nim spotykać.

– Ale ja i Scott nie jesteśmy jeszcze na tym etapie, żebym mogła sama przyjść do jego mieszkania. Pomyśli, że mam obsesję.

– Nigdy dotąd ci to nie przeszkadzało – odparłam. (Farly dała kiedyś facetowi dwadzieścia funtów na telefon i kazała obiecać, że się do niej odezwie. Nigdy tego nie zrobił).

– Tak, ale z nim chciałabym mieć coś normalnego – powiedziała otwarcie. – Z nim jest normalnie, to wspaniałe. Proszę, napisz do Hectora. Mogłybyśmy pójść do niego razem, wtedy nie będę się czuła tak dziwnie.

Zaczęłam się nad tym zastanawiać.

– No weź, ja robiłam dla ciebie takie rzeczy.

Szlag by ją trafił. Miała rację.

Napisałam do Hectora i powiedziałam, że przyjadę z Farly. Wsiadłyśmy do nocnego autobusu do Notting Hill.

Zgodnie z moimi przewidywaniami usiedliśmy we czwórkę na drinka w salonie. Hector zaczął bredzić o historii szczypców na sutki z wkurzającą pijacką manierą w głosie, a Farly w tym czasie posyłała Scottowi nieśmiałe, kokieteryjne uśmiechy i nawijała włosy na palec, aż w końcu sobie poszli. Hector zabrał mnie do swojego pokoju, bo „chciał mi coś pokazać". Był zaskakująco czuły i domagał się więcej uwagi niż zwykle – mężczyźni tacy jak on zazwyczaj zachowują się w ten sposób, kiedy wyczuwają, że kobieta zaczyna się od nich oddalać (od dwóch tygodni nie odpowiedziałam na żaden z jego

pornograficznych limeryków, które wysyłał mi w mailach). Usiadłam na jego łóżku i zaczęłam pić ciepłe białe wino prosto z butelki.

– O co chodzi? – spytałam sucho.

Podniósł gitarę. O nie. Tylko nie to. Sypialnia, o której przez ostatnie miesiące marzyłam codziennie przed zaśnięciem, szybko zmieniła się w jaskinię koszmarów. Nagle różowe okulary spadły mi z nosa i zobaczyłam ją w całej bałaganiarskiej okazałości: brudne skarpety na podłodze, mdły zapaszek pleśni i grzyba, jak w pawilonie na boisku do krykieta w deszczowy dzień, kołdra z dziurami od półprzytomnego palenia w łóżku. Piękne szkice węglem nagich kobiet przeobraziły się w szkaradne gargulce, wpatrzone we mnie z wszechwiedzącą niechęcią w oczach. Skoro my musiałyśmy przez to przechodzić, ty też nie uciekniesz, syczały bezgłośnie.

– Chsiałem sisoś zagraś – wybełkotał i uderzył agresywnie w struny, próbując nastroić instrument między jednym akordem a drugim.

– O rany… Nie, nie musisz, serio.

– Dolly Alderton – oznajmił, jakby występował w jakimś barze. – Barrzo miśpodoasz. Napisaem tę piossenkę dlassiebie.

Zaczął wybijać w kółko te same trzy akordy, które słyszałam za każdym razem, kiedy sięgał po gitarę.

– W pociągu ją zobaszyłem – zaczął, zawodząc jak amerykański bard. – I od razu się zauroszyłem. A gdy spędziłem z nią pierwszą noc…

– Hector – przerwałam mu ponuro, czując, jak wino uderza mi do głowy z pełną siłą. – Myślę, że powinniśmy przestać się spotykać.

Następnego dnia rano wyszłam z Farly i na tym się skończyło; już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Farly i Scott zapewniali jednak, że naprawdę złamałam mu serce, i przez dobre trzy tygodnie po tamtej nocy nie widzieli na kuchennym stole kosmetyczki żadnej innej dziewczyny.

(Przypis: Hector jest teraz bardzo cenionym przedsiębiorcą i mężem aktorki z Hollywood. Dowiedziałam się o tym z artykułu na Daily Mail Online, kiedy siedziałam akurat w piżamie i zajadałam w pojedynkę całe ciasto czekoladowe. Kto by pomyślał?).

3 Ted Hughes, *Pieśń miłosna*, przeł. Robert Stiller.

Rzeczy, których się boję

– Śmierć
– Śmierć najbliższych
– Że ludzie, których nienawidzę, umrą i będę miała poczucie winy z powodu tych wszystkich sytuacji, kiedy ich obgadywałam
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, że jestem wysoka
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, że jestem gruba
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, że jestem seksowna
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, że jestem brzydka
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, żebym się rozchmurzyła
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, że chętnie by mnie przelecieli
– Pijani mężczyźni na ulicy mówiący mi, że nigdy by mnie nie przelecieli
– Pijani ludzie, którzy „przymierzają” (kradną) mój kapelusz na imprezach
– Że zgubię biżuterię
– Że wypadnę z okna
– Że przypadkiem zabiję niemowlę
– Gry towarzyskie
– Rozmowy o amerykańskiej polityce
– Rozniecanie ognia
– Niezrozumiałe instrukcje na pralce
– Rak
– Choroby weneryczne
– Przypadkowe ugryzienie drewnianego patyczka od loda
– Katastrofy lotnicze
– Jedzenie w samolocie

– Praca biurowa
– Pytania, czy wierzę w Boga (trochę wierzę)
– Pytania, czy wierzę w horoskopy (trochę wierzę)
– Pytania, dlaczego wierzę w te rzeczy
– Niespodziewany debet na koncie
– Że nigdy nie będę miała psa

Wiecznie Björn Again

Kiedy przestałam spotykać się z Hectorem, sądziłam, że to tylko kwestia czasu, aż Farly i Scott się sobą znudzą. Sklejałam ich razem, a gdy opuściłam bury blok mieszkalny w Notting Hill, byłam pewna, że nie zostanie im zbyt wiele wspólnych tematów. Po kilku tygodniach Farly napomknęła jednak w rozmowie, że jadą na weekend do Cambridge. Zazdrość wezbrała mi w żyłach jak ocet. To ja zawsze miałam faceta na horyzoncie, a tym razem to ona chodziła z prawdziwym, starszym od siebie chłopakiem. Nie takim, który wkładał jej majtki do pracy, kazał nosić kabaretkowy kostium, nie znał jej nazwiska i pisał do niej raz w tygodniu. Farly miała chłopaka, który spędzał z nią więcej czasu na trzeźwo niż po pijaku, zabierał ją na weekendowe wyjazdy i dzwonił, zamiast pisać, żeby naprawdę z nią porozmawiać.

– Co w ogóle jest w Cambridge? – wzburzyłam się podczas rozmowy z A.J. – McDonald? No, powodzenia. Miłej zabawy!

– Jaki on jest? – spytała przyjaciółka.

Prawda była taka, że właściwie sama nie wiedziałam.

– Niewłaściwy. Za stary, za poważny dla niej.

A potem, niemal dokładnie trzy miesiące później, powiedział, że ją kocha. Oznajmiła to podczas kolacji. Wzniosłyśmy toast, piszcząc z radości; kiedy wsiadłam do nocnego z powrotem do domu, napisałam o tym żałobny rapsod w notatkach na iPhonie.

Wprawdzie nie mogłam patrzeć, jak Farly przez lata była źle traktowana przez głupich nastoletnich chłopaków, którzy ją oszukiwali, ignorowali i rzucali, ale teraz uświadomiłam sobie, że było w tym pewne bezpieczeństwo. Dopóki faceci nie interesowali się nią na poważnie, nadal miałam ją całą tylko dla siebie, a teraz

pojawił się dorosły facet z działającym mózgiem i zwrócił na nią uwagę – miałam przejebane. Jak mógłby się w niej nie zakochać? Była piękna, zabawna. Nie znałam drugiej tak dobrej osoby – przez lata pożyczała mi pieniądze, żeby wyciągnąć mnie z najróżniejszych kłopotów, i przyjeżdżała po mnie samochodem o trzeciej nad ranem, kiedy nie zdążyłam na nocny. Miała zadatki na partnerkę idealną: najpierw myślała o innych, a dopiero potem o sobie, potrafiła słuchać, pamiętała o wszystkim. Zostawiała mi karteczki w pudełku z lunchem i wysyłała pocztówki z gratulacjami, żebym wiedziała, jaka jest ze mnie dumna.

Ja zawsze wzbudzałam zainteresowanie chłopaków tanimi sztuczkami, przesadą i brawurą, ciężkim makijażem i ciężkim pijaństwem. Farly nie bawiła się w performance i kłamstwa – jeśli chłopak się w niej zakochiwał, to kochał każdą komórkę jej istnienia od pierwszej randki, czy o tym wiedział, czy nie. Farly była moim najcenniejszym sekretem, a teraz wszystko się wydało.

Rok później, na przyjęciu świątecznym w domu naszej koleżanki Diany, miałyśmy pierwszą kłótnię od dzieciństwa. Przyszłam z Leo. Ona dotarła później ze Scottem; nie widziałam jej od miesiąca. Nawet nie próbowałam się z nią przywitać, ale obserwowałam ich kątem oka. Zanosiłam się głośnym śmiechem w odpowiedzi na bardzo nieśmieszne uwagi rozmówców, żeby zademonstrować, jak świetnie się bawię bez niej.

Kiedy wreszcie do mnie podeszła, rozmowa była sztywna i chłodna.

– Dlaczego mnie dziś ignorujesz? – spytała w końcu.

– A dlaczego ty ignorujesz mnie od roku? – odgryzłam się.

– O czym ty mówisz? Przecież pisałam do ciebie wczoraj.

– Ach, tak, pisałaś. W pisaniu jesteś świetna. To twoja najlepsza wymówka, żeby nie widywać się ze mną miesiącami i codziennie łazić do Scotta, a kiedy ktoś cię o to zapyta, możesz powiedzieć: „Przecież do niej piszę. Codziennie”.

– Możemy to załatwić na górze? – syknęła Farly.

Napełniłam plastikowy kubeczek wódką z kroplą coli i poszłam za nią, obrażona, do sypialni Diany. Wrzeszczałyśmy na siebie przez dwie godziny. Zaczęłyśmy głośno, a potem stopniowo cichłyśmy, aż wreszcie byłyśmy zbyt pijane i zmęczone, żeby kontynuować, i się

pogodziłyśmy. Powiedziałam jej, że mnie opuściła. Skonstruowałam nawet skomplikowaną metaforę, wedle której Farly zawsze uważała mnie za Björn Again.

– CO TO W OGÓLE ZNACZY?! – krzyknęła.

– Björn Again. Byli supportem na koncercie Spice Girls, na który poszłyśmy kiedyś razem. Ich występ był do dupy i nie mogłyśmy się doczekać, kiedy skończą. Właśnie do mnie dotarło, że przez jedenaście lat byłam twoim supportem, aż wreszcie pojawiła się gwiazda programu. Tylko że ty NIGDY nie byłaś moim supportem, zawsze byłaś dla mnie Spice Girls i żałuję, że nie wiedziałam tego wcześniej, bo wtedy sama mogłabym cię zredukować do BJÖRN AGAIN!

Farly oznajmiła, że dramatyzuję i że ma prawo mieć pierwszego chłopaka. Odparłam, że oczywiście ma do tego prawo, ale nie sądziłam, że stanie się dla niej ważniejszy od całego świata. Wynurzyłyśmy się z sypialni Diany z mokrymi twarzami, umazanymi tak, jakby w artystycznym eksperymencie Jackson Pollock wylał na nie wiadra wody z tuszem do rzęs. Scott i Leo stali potulnie przy schodach. Na pierwszy rzut oka było oczywiste, że już dawno wyczerpali temat piłki nożnej i najnowszych wydarzeń z wiadomości. Złapałyśmy swoich facetów i płaszcze i wyszłyśmy z domówki osobno. Wiele lat później Diana zdradziła mi, że goście na dole przyciszyli muzykę, żeby wszyscy mogli podsłuchiwać naszą kłótnię.

– To jej partner – oznajmił mój irytująco racjonalny chłopak doktorant, kiedy pokonywaliśmy długą drogę do jego mieszkania w Stockwell, popijając piwo z puszki. – Są zakochani, ona się zmieniła. To normalne, na tym polega dojrzewanie.

– Ty jesteś moim chłopakiem – odcięłam się. – Też jestem zakochana. Tylko że jakoś się nie zmieniłam. Ona nadal jest najważniejszą osobą w moim życiu. To na niej najbardziej mi zależy. Nie przedkładam związku nad przyjaźń.

Leo napił się piwa.

– I może właśnie to nie jest normalne – stwierdził.

*

Po dwóch latach Leo i ja się rozstaliśmy. Ze wszystkich sił starałam się, żeby nam wyszło, ale dużo się zmieniło, odkąd poznaliśmy się w studenckich czasach na domówce przy Elephant and Castle. Oboje dorośliśmy i przeistoczyliśmy się w zupełnie innych ludzi.

Przez dziewięć długich miesięcy od odebrania dyplomu studiów dziennikarskich dryfowałam od magazynu do magazynu, od gazety do gazety jako darmowy zapychacz przestrzeni biurowej pod przykrywką praktyk zawodowych. Nie dostałam się na staż w „Tatlerze", nie przyjęli mnie na stanowisko sekretarza redakcji w magazynie „Weight Watchers" ani jako kelnerki w miejscowym oddziale Pizza Express. Wróciłam do starej pracy dziewczyny od promocji, żeby jakoś się utrzymać, i chodziłam po Old Brompton Road z bezrobotnymi tancerkami z West Endu i hostessami, rozdając ulotki restauracji podającej żeberka. Rzuciłam tę robotę w dniu, kiedy kazano mi się przebrać za świnię i zostałam zaatakowana przed Harrodsem przez aktywistów protestujących przeciwko naturalnym futrom.

Byłam zdesperowana. Potrzebowałam pracy. O niczym innym nie myślałam od otwarcia oczu do zaśnięcia w swojej dziecinnej sypialni. W wieku dwudziestu kilku lat marzyłam o zatrudnieniu z takim samym głodem, z jakim jako nastolatka pragnęłam pierwszego chłopaka – bez przerwy myślałam o wszystkich znajomych, którzy ją mieli, i wypytywałam o szczegóły, jak udało im się ją zdobyć. Noc w noc przewracałam się z boku na bok i zastanawiałam się, ile lat jeszcze to potrwa.

Aż wreszcie pewnego wczesnego wieczoru, kiedy stałam na peronie i czekałam na pociąg, nagle ktoś zadzwonił do mnie z nieznanego numeru. Okazało się, że to Tim, autor scenariusza do nowego reality show stacji E4, *Ekipa z Chelsea*. Napisałam cały komplet recenzji online do odcinków pierwszej serii (za to też zapłacono mi w walucie „doświadczenie" – tym razem jednak podziałało), a zespół przeczytał moje teksty i uznał je za zabawne. Tim zaprosił mnie do biura we wschodnim Londynie, żeby omówić warunki potencjalnej współpracy nad programem.

Miałam rozmowę kwalifikacyjną z nim i Dilly, trzydziestoparoletnią, drobniutką producentką, która zdążyła już wygrać nagrodę BAFTA.

Wyjaśniła mi, że czytali moją recenzję ostatniego odcinka, w której zawarłam listę żartobliwych uwag do producentów, co mogliby poprawić w następnej serii. Właściciel firmy, Dan (osiągnął sławę w latach dziewięćdziesiątych jako producent i współprowadzący szalenie popularnego wieczornego talk-show), przeczesał wszystkie recenzje w internecie. Kiedy natrafił na moją, wydrukował po egzemplarzu dla każdego producenta. Przeczytali ją w drodze na spotkanie zarządu stacji i – o dziwo – zgodzili się ze wszystkimi moimi uwagami.

Po półgodzinnej rozmowie z Dilly i Timem odczuwałam spokój na myśl o tym, że prawdopodobnie już nigdy więcej do mnie nie zadzwonią. Nie miałam pojęcia, czego właściwie potrzebują. Większość spotkania upłynęła nam na analizowaniu zwyczajów bogatych ludzi i psychoanalizie członków programu. Nikt nie wspominał o moich kwalifikacjach, historii zatrudnienia ani wymaganiach na proponowane stanowisko. Nie miałam wtedy jeszcze pojęcia, że to właśnie trafna psychoanaliza w dziewięćdziesięciu procentach odpowiada za sukces programów reality. Nie spodziewałam się też, że przydadzą mi się na coś lata obserwowania zwyczajów ludzi z wyższych klas, podczas gdy sama czułam się w ich świecie outsiderką – stałam przed kioskami w szkole z internatem i w palarniach przed klubami przy King's Road i podsłuchiwałam ich ukradkiem, a teraz okazało się, że ten nawyk zmienił się w kwalifikacje zawodowe.

Producent programu zadzwonił do mnie trzy dni później; byłam akurat na festiwalu muzycznym z Leo. Zostaliśmy oficjalnymi dyspozytorami brokatu na naszym kempingu i wzięliśmy na siebie tę rolę z wielkim zaangażowaniem. Jakiś chłopak na kwasie usłyszał dzwonienie dobiegające z mojego namiotu i pomyślał, że to Kraftwerk organizuje koncert niespodziankę. Tak naprawdę to była Dilly. Oznajmiła, że mam pracę, a producent scenariusza chce, żebym przyjechała nazajutrz na pierwsze spotkanie.

Dotarłam do biura prosto z festiwalu. Od czterech dni nie brałam prysznica, złaziła mi skóra z nosa, krótkie włosy, tlenione na platynowy blond, zlepiły mi się w irokeza. Leo czekał na mnie w recepcji z naszymi plecakami i namiotem, a ja poszłam na

pierwsze w moim życiu zebranie scenarzystów. Skończyły mi się czyste ubrania, włożyłam więc na siebie za dużą koszulkę mojego faceta zamiast sukienki. Stroju dopełniała jego dżinsowa kurtka, porwane rajstopy i baletki. Ten zestaw bardzo dobrze nadawał się do przejścia z ostatniego dnia dzieciństwa do pierwszych chwil dorosłego życia.

Zakochałam się w procesie twórczym, w energii i przyjemnej atmosferze nowej pracy, w nowych współpracownikach i szefach niemal tak samo gorąco jak kiedyś w Leo. Kiedy akurat nie byłam w biurze albo na wyjazdach służbowych, zajmowałam się dziennikarstwem jako wolny strzelec. Pisałam wieczorami i w weekendy i nie zostawało mi wiele czasu na cokolwiek innego – ku frustracji mojego chłopaka. Czuł się trochę oszukany. Zakochał się w dziewczynie bez korzeni, która nie pragnęła nic poza tym, by spakować do plecaka trampki i dżinsy i wyruszyć z nim na poszukiwanie przygód; która wyszywała jego inicjały na swetrach i spędzała z nim imprezy zamknięta w łazience, żeby siedzieć razem w suchej wannie i wpatrywać się w jego twarz oczami wielkimi jak spodeczki. A teraz został z kobietą o dojrzałej tożsamości, nagle zajętą swoją pracą.

Nasz związek był jednym z najbardziej wzbogacających doświadczeń w moim życiu. Wiedziałam, że Leo zawsze będzie stanowił ogromną część tej osoby, którą się stałam, ale wyrośliśmy z siebie. Musiałam pozwolić mu odejść, żeby znalazł sobie kogoś, kto naprawdę będzie chciał być z nim z całą miłością i zaangażowaniem, na jakie zasługiwał.

*

Farly, A.J. i ja wreszcie wyprowadziłyśmy się z podmiejskich domów naszych rodziców do pierwszego wspólnego mieszkania w Londynie. A.J. też niedawno została singielką. Farly nadal spotykała się ze Scottem.

W głębi duszy miałam nadzieję, że mieszkając z dwiema singielkami, Farly zrozumie, co traci w tak młodym wieku, i zerwie ze swoim facetem, w rzeczywistości jednak przebywanie ze mną

i A.J. tylko pogłębiło jej przywiązanie do niego. Pewnego razu patrzyła, jak biegam po mieszkaniu, szykując się do pierwszej randki. Przycięłam nowe sztuczne rzęsy, przykleiłam do powiek i wrzasnęłam z bólu, bo zbyt późno uświadomiłam sobie, że użyłam tych samych nożyczek, którymi poprzedniego wieczoru poszatkowałam papryczki chili na pizzę. Wyłowiła z zamrażarki paczkę mrożonych ziemniaków w kształcie uśmiechniętych buziek i przyłożyła mi dwa plasterki do oczu, a ja napisałam do faceta, żeby odwołać spotkanie.

– O rany, wcale za tym nie tęsknię – westchnęła.

Któregoś wieczoru, kiedy Scott wyjechał w podróż służbową, Farly, A.J. i ja tańczyłyśmy w naszym ulubionym barze w Camden. Wróciłyśmy do domu i otworzyłyśmy butelkę przeterminowanej tii marii. Wkrótce zeszło na zwierzenia, jak to się często zdarza po imprezie.

– Tęsknię za Scottem – wyznała Farly, dopijając drinka.

– Jak to? – wyrwało mi się. A.J. popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. – Przecież… Wyjechał tylko na kilka dni.

– Wiem, ale i tak mi go brakuje, kiedy się nie widzimy. I zawsze się cieszę, kiedy go widzę. Nawet jeśli idzie do sklepu i zaraz wraca, czekam, aż usłyszę jego klucz w drzwiach. – Zauważyła, że marszczę brwi z dezaprobatą. – Wiem, jak to brzmi, ale to prawda.

– Ona chyba naprawdę go kocha – powiedziałam następnego dnia.

– Oczywiście, że go kocha – odparła A.J. Leżała na kanapie i przeżuwała kanapkę z bekonem. – A jak myślisz, dlaczego jest z nim od trzech lat?

– Nie wiem. Sądziłam, że może chce się przekonać, jak to jest mieć chłopaka.

A.J. pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Daj spokój, dziewczyno.

Po tej sytuacji wreszcie zaczęłam dostrzegać wszędzie wokół drobne sygnały. Rodzice Scotta poznali rodziców Farly. Ona coraz częściej spędzała weekendy z jego dorosłymi znajomymi na różnych dorosłych rozrywkach, takich jak „weekend w Cotswolds z okazji trzydziestych urodzin” czy degustacja win. Scott często nas odwiedzał, a ja tego nie znosiłam. Równie mocno nie znosiłam tych

chwil, kiedy się nie pojawiał. Nie mógł wygrać. Nie chciałam, by wygrał. Nie potrafiłam się na to zgodzić.

Najbardziej irytujące rzeczy, jakie mówią ludzie

– „Nie zamawiam przystawki, a ty?”
– „Jestem typem kobiety, która lepiej dogaduje się z facetami”
– „Jestem urodzonym sprzedawcą”
– „Zaręczyłam się!”
– „Zawsze się spóźniasz”
– „Strasznie się wczoraj upiłaś”
– „Już kiedyś opowiadałaś tę historię”
– „On jest po prostu bezpośredni”
– „To bardzo przystojna kobieta”
– „Chyba powinnaś napić się wody”
– „Mam straszne OCD”
– „Jesteśmy w bardzo skomplikowanym związku”
– „Podpiszesz się na kartce z życzeniami dla Alison?”
– „Chodźmy wszyscy razem”
– „Powinniśmy się spotkać”
– „Zapoznałaś się z tym?”
– „Marilyn Monroe nosiła rozmiar czterdzieści cztery”
– „Już czas na wizytę u dentysty”
– „Kiedy ostatni raz robiłaś kopię danych?”
– „Jak znajdujesz czas na pisanie tych wszystkich tweetów?”
– „Przepraszam, miałam urwanie głowy”
– „Piąteczek, piątunio”

Niefajne dziewczyny z niefajnego Camden

W pierwszym roku mieszkania w Londynie z Farly i A.J. – miałam wtedy dwadzieścia cztery lata – wyszłam we wtorek po pracy na drinka z koleżanką. Pomimo namów, by została w pubie aż do zamknięcia, o ósmej trzydzieści opuściła mnie, bo następnego dnia rano miała spotkanie. Napisałam do wszystkich znajomych, którzy mogli znajdować się w okolicy i chcieliby ewentualnie kontynuować ze mną wieczór, ale każdy był zajęty, w łóżku albo zmęczony. Spuściłam nos na kwintę i wsiadłam do dwudziestkiczwórki – mojego wiernego rumaka, który w dwadzieścia minut wiózł mnie z centrum Londynu pod same drzwi mieszkania – czując rozczarowanie i niedosyt, że nie mogłam zostać jeszcze na godzinkę i jeszcze jeden kieliszek wina. Przyzwyczaiłam się już do tego poczucia, tej paniki wzbierającej w gardle na samą myśl, że cały Londyn, poza mną, świetnie się bawi; że na każdej ulicy kryją się nowe przeżycia, cenne jak garnuszek złota, a ja go nie znajdę; że pewnego dnia umrę, więc dlaczego miałabym pozwalać, by potencjalnie doskonały i cudowny dzień przedwcześnie się skończył?

Wyrwałam się z ponurego zamyślenia, kiedy autobus zatrzymał się przy pubie na końcu mojej ulicy. „Pub” to za duże słowo, przybytek bardziej przypominał szopę. Dawniej był znany z popularnych koncertów, z czasem jednak zmienił się w ponurą pijalnię dla porannych alkoholików z Camden. Wysiadłam z autobusu i ruszyłam w tamtą stronę. Weszłam do środka po raz pierwszy od dnia, kiedy się wprowadziłyśmy, i usłyszałyśmy od barmana, że nikt poza Farly w całej historii tej knajpy nie zamówił kawy. Właściciel przeszedł na drugą stronę ulicy do spożywczaka, kupił mleko i nescafé gold blend, po czym skasował ją na dwadzieścia sześć pensów.

Zamówiłam piwo i wdałam się w rozmowę z barmanem, ani trochę niezaskoczonym, że obsługuje kolejną osobę pijącą solo. Siedzący obok mnie facet pod siedemdziesiątkę, o białej brodzie niczym yeti, spytał, jak mi minął dzień. Zwierzyłam mu się z żalem, że nie mam z kim się napić. Odparł, że trafiłam na właściwego człowieka. Opowiedział mi wszystko o swoim dorastaniu w tej dzielnicy: o szkole, z której zrywał się na wagary, o tym, jak tu się pozmieniało i ile knajp zdążyło się pozamykać. Wspomniał o koncercie Johna Martyna, na którym był w Camden przed moimi narodzinami (od lat z fanatycznym uwielbieniem słuchałam nagrań jego występów na żywo). O północy zapisałam jego numer na kartonowej podkładce do piwa i wyszłam po złożeniu sobie wzajemnej obietnicy, że spędzimy razem popołudnie na słuchaniu płyt, choć doskonale wiedziałam, że już nigdy się nie zobaczymy. On był dla mnie tylko „jednym wieczorem", a ja chciałam mieć ich jak najwięcej. Doświadczeniem, anegdotą, nową twarzą, wspomnieniem. Był dobrą radą, plotkarską historyjką, ciekawostką wetkniętą w zakamarek mojej odurzonej podświadomości, którą być może pewnego dnia wyciągnę i wykorzystam. „Gdzie to usłyszałaś?", zapyta mnie ktoś kiedyś. „Nie mam zielonego pojęcia", odpowiem.

Kiedy następnego wieczoru wróciłam do domu z nieznośnym kacem, zastałam Farly i A.J. zwinięte na kanapie. Opowiedziałam im, jak poprzedniej nocy wylądowałam w obskurnym pubie na rogu.

– Po co zrobiłaś coś takiego? – spytała A.J. ze zdumieniem.

– Bo był wtorek wieczór – odparłam. – I mogłam.

*

Jestem sobie bardzo wdzięczna za to, że tak zawzięcie fetyszyzowałam każdy okruszek dorosłego życia jako nastolatka, bo gdy wreszcie z ulgą dotarłam do tego etapu w życiu, niewiele mi przeszkadzało. Uwielbiałam płacić czynsz. Z radością sama sobie codziennie gotowałam. Nawet siedzenie w poczekalni u lekarza sprawiało mi przyjemność, bo wiedziałam, że sama zarejestrowałam się w przychodni i przyszłam na wizytę bez niczyjej pomocy. W pierwszym roku płacenia rachunków niemal miękły mi kolana

ze wzruszenia na widok listów z wodociągów zaadresowanych na moje nazwisko. Z radością wzięłam na siebie odpowiedzialność, jaką niosła ze sobą dorosłość, w zamian za to, że zawsze mogłam iść sama do pubu w środku tygodnia i zaprzyjaźnić się z jakimś dziadkiem.

Do dziś nie przeszła mi ekscytacja na myśl, że nie muszę już nigdy w życiu pić ginu z butelki po szamponie i że nie muszę przestrzegać ciszy nocnej; mogę oglądać filmy albo pisać do czwartej nad ranem w środku tygodnia, jeśli będę miała na to ochotę. Czuję ulgę, radość i strzał energii za każdym razem, kiedy przypominam sobie, że wolno mi jeść płatki śniadaniowe na kolację, puszczać muzykę na pełny regulator i palić papierosy przez okno. Nadal nie mogę uwierzyć we własne szczęście. W wieku dwudziestu kilku lat całe moje życie wyglądało jak fabuła *Kevina samego w Nowym Jorku*, kiedy Macaulay Culkin ląduje sam w wielkim hotelu, zamawia górę lodów do pokoju i ogląda filmy o gangsterach. Uważam, że całą winę za taki stan rzeczy ponosi moje surowe wychowanie. Prawie każda spotkana przeze mnie absolwentka szkoły z internatem nie może uwierzyć, że teraz wolno jej tak po prostu pójść we wtorek wieczorem do pubu dla starych dziadów w Kentish Town i nie dostać szlabanu, zsyłki do oślej ławki czy czego tam bądź. Jeśli czasy studenckie stanowiły dla mnie plac zabaw do wypróbowywania dorosłych fantazji, to własny dom i wypłata w Londynie pomogły mi osiągnąć prawdziwą nirwanę.

Szukałyśmy przez trzy miesiące, aż wreszcie znalazłyśmy nasz pierwszy dorosły dom w Londynie. Miałyśmy skromny budżet, a dom z trzema sypialniami niełatwo było znaleźć. Trafiłyśmy na nieruchomość na Finsbury Park, sprytnie sfotografowaną tak, by przypominała dawną kamienicę stajenno-mieszkalną w Notting Hill, ale po przybyciu odkryłyśmy, że w rzeczywistości bardziej przypominała skrzydło więzienia Pentonville („Siedziałybyśmy tu całymi dniami, oglądając *X Factor*, i żarłybyśmy makaron Tesco Value", skomentowała A.J.). Pamiętam też fatalny przebieg oglądania mieszkania na osiedlu w Brixton – Farly i A.J. zastały na miejscu kolejkę pełnych nadziei milenialsów, dłuższą niż przed Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud. Agent nieruchomości zapomniał

kluczy i wszyscy musieli czekać pół godziny, a kiedy wreszcie odhaczyli trzyminutowe zwiedzanie tej zatęchłej nory i wyszli, całe towarzystwo musiało paść na ziemię, bo policja ścigała akurat przestępcę zbiegłego z bronią w ręku. Wreszcie kiedy już traciłyśmy nadzieję, Farly natknęła się na Gumtree na prywatne ogłoszenie dotyczące domu z trzema sypialniami i salonem – w dodatku w sam raz na naszą kieszeń.

Posiadłość znajdowała się tuż na skraju owianej złą sławą okolicy łączącej dwie części dzielnicy Camden Town: Chalk Farm z jednej strony i Kentish Town z drugiej. Dwa razy w tygodniu rozstawiał się tam prawdziwy staromodny bazar, na którym można było kupić kapcie za pięć funtów i pościel w postacie z kreskówek. Codziennie pojawiały się stoiska z owocami i warzywami, a obok stał niezależny supermarket przyjmujący tylko gotówkę, w którym oprócz kanapek sprzedawano też spod lady trawę. Wszystko to było strasznie krzykliwe, niezgrabne i wspaniałe.

Dom był cudowną ruderą. Stał w rzędzie kamienic z lat siedemdziesiątych zbudowanych z cegieł żółtych jak klocki Lego. Miał dziwaczny rozkład i zachwiane proporcje okien i drzwi, przez co wyglądał, jakby zbudował go w pośpiechu nastolatek grający w *Simsy*. W ogródku przed domem rosły zapuszczone krzewy, co oznaczało, że latem nie było szans na przejście przez butwiejącą drewnianą furtkę bez energicznego odgarniania liści i gałęzi. Na kuchennych kafelkach widniały namalowane bukoliczne scenki. Ogród na tyłach był zachwaszczony na amen. Na ścianach w korytarzu dało się dostrzec tu i tam wyblakłe smugi – po długim dochodzeniu uznałyśmy, że to najprawdopodobniej szczyny. Wszystko pachniało wilgocią. Mieszkanie nad nami zajmowali skłotersi.

Właściciel, Gordon, był przystojnym mężczyzną po czterdziestce w kwadratowej skórzanej kurtce typowej dla kryzysu wieku średniego i o podejrzanie ciemnych, przydługich włosach. Pracował jako prezenter wiadomości BBC i bardzo chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli: mówił głośno i pretensjonalnie, a jego zachowanie było dziwacznie obcesowe i nieformalne zarazem.

– No więc tu jest przedpokój – ryknął Gordon. – Jak widać, sporo tu miejsca na przechowywanie rzeczy.

Otworzyłyśmy jedną z dużych, przykurzonych białych szafek. Na jednej z pustych półek stało czarne pudełko z napisem „TRUTKA NA SZCZURY", nadrukowanym wielkimi żółtymi literami.

– Och, nie zwracajcie na to uwagi – powiedział właściciel, zabierając skrzyneczkę. – Już po sprawie.

Popatrzyłyśmy po sobie.

– Wiecie co? – odezwał się, marszcząc lekko nos. – Chyba najlepiej będzie, jak zejdę wam z drogi i pozwolę, żebyście same się rozejrzały. Dajcie znać, kiedy wszystko obejrzycie.

Dom był krzywy, rozchybotany i ekscentryczny, ale my od razu wiedziałyśmy, że to doskonałe miejsce nie tylko dla nas, ale i dla całej masy znajomych, których zamierzałyśmy zapraszać co weekend. Zeszłyśmy na dół, by powiedzieć Gordonowi, że się zdecydowałyśmy, ale on właśnie rozmawiał przez telefon.

– Aha… aha… Okej. No to w najgorszym wypadku – powiedział, machając na nas lekceważąco ręką. – Aha. Na ten moment może po prostu spróbujmy nie iść z tym do sądu. Nie mam ochoty ZNOWU tam wracać. – Zerknął na nas i przewrócił oczami. – Świetnie, wpadnę jutro o dziesiątej obejrzeć dach. Okej. Aha. Okej. Tak, tak. Okej. Na razie. Przeklęci lokatorzy – rzucił w naszą stronę, chowając telefon do tylnej kieszeni dżinsów. – To jak, chcecie czy nie?

Każdy odłożony grosz wydałyśmy na kaucję, pierwszy miesiąc upłynął nam więc na wykańczającym, gorączkowym, podekscytowanym oszczędzaniu. Nie miałyśmy prawie nic do domu, zatem Farly kupiła plik karteczek samoprzylepnych i zostawiała w różnych miejscach informacje: „TUTAJ BĘDZIE TELEWIZOR" albo: „TU BĘDZIE TOSTER". Co wieczór jadłyśmy na kolację kanapki z marmite'em i ogórkiem. Na drugi dzień po przeprowadzce zastałam obie dziewczyny biegające po salonie w kaloszach – próbowały złapać pierwszą dostrzeżoną mysz i nie chciały na nią nadepnąć bosą stopą. Farly kupiła kostkę cheddara ze spożywczaka na rogu, włożyła do opróżnionego kuferka na kosmetyki i szurała nim po dywanie, próbując zanęcić tym mysz, żeby mogła ją bezpiecznie wypuścić.

Wkrótce zaznajomiłyśmy się z kierownikiem pobliskiego sklepu – facetem w średnim wieku o imieniu Ivan, zbudowanym jak weteran marynarki wojennej. Przy okazji pierwszych zakupów oznajmił złowróżbnie, że jeśli „wpakujemy się w jakieś kłopoty z którymś z gangów", to mamy natychmiast mu powiedzieć i „to się załatwi". Farly miała wtedy na szyi sznureczek pereł. Czułam się jednak dziwnie bezpiecznie z myślą, że Ivan jest dziesięć sekund od naszych drzwi wejściowych, a kiedy problem z myszami stawał się bardziej palący, zawsze przybywał nam na ratunek. Nieraz wybiegałam z domu boso i w piżamie, wpadałam do jego sklepu i krzyczałam: „ZNOWU SĄ, IVAN! ZNOWU SĄ!", rozhisteryzowana niczym Blanche DuBois.

– Okej, skahbie, okej – mówił. – Już idę. Mam zabhać pistolet?

Mówiłam, że wystarczy latarka, a on przychodził i zaglądał pod każde łóżko, lodówkę i kanapę, próbując znaleźć intruza.

W końcu Gordon ogarnął deratyzację. Przyszedł do nas jakiś koleś z East Endu o ironicznie adekwatnym nazwisku Mouser. Kiedy porozkładał pułapki, spytałam, czy nie ma jakiegoś bardziej humanitarnego sposobu na załatwienie problemu.

– Nie – odparł z pogardą, splatając ręce na piersi.

– Okej, po prostu jestem wegetarianką.

– To może ich pani nie jeść.

*

Camden wydawało się dla nas doskonałym miejscem – było w centrum, blisko najładniejszych parków, a co najlepsze, okazało się tragicznie, beznadziejnie niefajne. Nikt z naszych znajomych tu nie mieszkał; w ogóle nie było tu nikogo w naszym wieku. Kiedy wychodziłyśmy na główną ulicę, oczom ukazywały się tabuny hiszpańskich nastolatków na szkolnych wycieczkach i czterdziestoparoletnich facetów z fryzurami na Bon Jovi i w butach za kostkę z ostrymi nosami, którzy ewidentnie czekali, aż do dzielnicy wrócą dni chwały britpopu. A.J. mówiła na nich „przypałowe patrole". W sobotnie wieczory chodziłyśmy po High Street, a ona bełkotała mi do ucha: „Przypał, przypał, przypał", wskazując palcem

na przechodniów. Przez kilka pierwszych miesięcy mieszkania w naszym żółtym domku miałam fascynującego, lecz tragicznie skoncentrowanego na sobie chłopaka, muzyka, który mieszkał we wschodnim Londynie i odmawiał przyjeżdżania do mnie, bo Camden „przestało być cool w dwa tysiące siódmym roku".

Od czasu do czasu podczas lat mieszkania w tej dzielnicy wybierałyśmy się na imprezy albo domówki do wschodniego Londynu, gdzie ze wszystkich stron otaczali nas młodzi, piękni ludzie, a my zastanawiałyśmy się, czy naprawdę powinnyśmy w tym wieku mieszkać w tak stetryczałej części miasta. Kiedy jednak nadchodził czas powrotu do domu, zawsze czułyśmy się zmęczone i cieszyłyśmy się, że mieszkamy w miejscu, w którym nie musimy udawać fajniejszych niż w rzeczywistości (a w rzeczywistości wcale nie byłyśmy zbyt cool). Chodziłyśmy do sklepu bez stanika, w bluzie i legginsach, nie przejmując się, że wpadniemy na kogoś znajomego. Mogłyśmy przejąć cały parkiet i zaprezentować komicznego pijackiego kankana, a mimo to nadal byłyśmy najfajniejszymi gośćmi w całej knajpie. Mogłyśmy wyjść na miasto i spędzić cały wieczór zajęte tylko sobą, bez konieczności robienia wrażenia na kimkolwiek. W Camden po prostu nie było komu imponować.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie kupiłam do domu, był ogromny garnek, w którym spokojnie dałoby się ugotować zupę dla całej stołówki. Nasi znajomi uwielbiali jeść, a ja byłam zachwycona, że mam całą kuchnię dla siebie. W pierwszych latach wspólnego mieszkania trzy razy w tygodniu zapraszałyśmy znajomych na obiad. Wymyślałam tanie potrawy – w kółko robiłam dhal i parmigianę. Latem organizowałyśmy kolacje przy świecach w naszym absurdalnie zachwaszczonym ogródku za domem. Któregoś dnia jedno z drzewek zajęło się ogniem niczym biblijny krzew gorejący i wszystkie po pijaku zaczęłyśmy je polewać wodą z garnków i podejrzanym sauvignon blanc za piątaka, które kupowałyśmy u Ivana.

Nasz dom był zbyt rozwalony, żeby dało się go wyremontować, a my znajdowałyśmy w tym pewną wolność. Gordon też podchodził do sprawy na luzie – pozwolił nam pomalować wszystkie ściany na jaskrawe kolory i nigdy nie komentował, gdy kolor po prostu urywał się krzywo na klatce schodowej w miejscu, gdzie skończył nam

się dulux. To oznaczało, że znalazłyśmy dom, w którym naprawdę dało się żyć; nie musiałyśmy się o niego specjalnie troszczyć.

Mogłyśmy w sobotę urządzić pobojowisko, a w niedzielę wystarczyło dziesięć minut, żeby znów przywrócić go do akceptowalnego stanu. Mogłyśmy puszczać muzykę na pełen regulator i tańczyć do szóstej nad ranem, a sąsiedzi nigdy nie narzekali – daję słowo, te domy z lat siedemdziesiątych zostały zbudowane z myślą o discoszczelnych ścianach, bo przez wszystkie lata, kiedy tam mieszkałyśmy, ani razu nikt nie poskarżył się na hałas. Kiedyś nawet zagadnęłam o to sąsiadkę, a ona odparła, że nic nie słyszała. Właśnie dlatego nasz dom stał się też miejscem, do którego wszyscy mogli przychodzić, żeby się naćpać.

*

W pierwszych latach mieszkania w Londynie zupełnie wypstrykałam się z ciekawości wobec narkotykowych eksperymentów. Najpierw nawiązałam przyjazne stosunki z sympatycznym dilerem o imieniu Fergus. Nie był jednym z tych, co to siedzą nadąsani w samochodzie i podają człowiekowi torebkę pod deską rozdzielczą. O nie, Fergus odwiedzał mnie w późne piątkowe wieczory, kiedy zapraszałam znajomych na kolację, kręcił jointy przy stole i opowiadał zawiłe żarty, pochłaniając jednocześnie resztki po posiłku, aż wreszcie pakowałam mu porcję carbonary do plastikowego pudełka i odsyłałam go tam, skąd przyszedł. Farly, która zawsze wykazywała się o wiele większym rozsądkiem ode mnie i na ogół chodziła spać przed północą, nigdy nie miała okazji poznać Fergusa, ale nie kryła zdumienia, że mówię o nim tak, jakby to był „kuzyn albo przyjaciel rodziny". Pewnej nocy obudziła się o czwartej rano, kiedy oprowadzałam go po domu, by mógł mi doradzić, jak zaplanować feng shui w każdym pomieszczeniu.

Następnego dnia weszła do mojego pokoju zaniepokojona dziwnymi odgłosami dobiegającymi zza drzwi. Zobaczyła, jak zasapana przesuwam łóżko pod przeciwległą ścianę.

– Co ty wyprawiasz?

– Przestawiam łóżko. Fergus mówi, że teraz nie jest dobrze usytuowane.

– Dlaczego?

– Bo wezgłowie jest za blisko kaloryfera. Nadmiar ciepła szkodzi głowie, a zwłaszcza zatokom.

– Aha. Dolly, ten koleś sprzedaje ci twarde narkotyki. To raczej nie kwalifikuje go do udzielania porad zdrowotnych.

Fergus nagle zerwał kontakt – słyszałam, że to częste zjawisko w tym zawodzie. Zostałam skierowana do C.J.-a, który okazał się chodzącą katastrofą. C.J. cieszył się wątpliwą sławą najgorszego dilera narkotyków w Londynie. Był skandalicznie niepunktualny i regularnie „mieszało mu się w zamówieniach", więc godzinę później znów pukał do naszych drzwi, domagając się zwrotu towaru. Wiecznie miał rozładowany telefon. Ciągle nawalała mu nawigacja. Doszło do tego, że kiedy pewnego razu musiałam czekać na niego półtorej godziny, oznajmiłam mu niczym sfrustrowana nauczycielka, że „sam jest swoim najgorszym wrogiem". Kropla przelała czarę w pewien czwartek, kiedy wyjeżdżałam z Londynu na festiwal i zadzwoniłam z pytaniem, czy nie sprzedałby mi trochę MDMA.

– A co to jest? – zapytał.

– MDMA – powtórzyłam. – Metka.

– Jaka metka?

– Ecstasy. No weź, MDMA.

– W życiu o tym nie słyszałem – odparł.

Nieważne, jak i od kogo kupowałam narkotyki, ich zdobywanie prawie zawsze było najbardziej ekscytującym elementem całego procesu. Wszystkie te rozmowy, gdzie je załatwić, dzwonienie pod podany numer, organizowanie kasy; potem ktoś czekał w mieszkaniu, a kto inny wychodził poszukać samochodu i wracał z maleńkim plastikowym woreczkiem z ziołami albo proszkiem. To właśnie zapowiedź tego, co miało nadejść, sprawiała, że serce biło mi najszybciej. Farly była kiedyś świadkiem kupowania, dzielenia i brania kokainy. Widząc, ile to kosztuje wysiłku, nie mogła uwierzyć, że chce nam się poświęcać na to tyle czasu. „Więcej zawracania głowy niż z zapiekanką pasterską", skomentowała. Ale to właśnie te hocki-klocki z układaniem kresek i zwijaniem jointów stanowią

największą rozkosz dla kogoś, kto pragnie, by noc nigdy się nie skończyła – takie czynności odwracają uwagę, gwarantują przedłużenie imprezy. Zagłuszają racjonalne myśli w rodzaju: „Idź spać przed północą, obgadaliśmy już wszystkie możliwe tematy", a w ich miejsce wciskają sztucznie wytworzone pragnienie, by impreza trwała w nieskończoność. Kokaina była dla mnie wyłącznie sposobem na kontynuowanie zabawy i picie na długo po tym, jak przekroczyłam próg zmęczenia; nigdy nie zależało mi na tych szalonych odczuciach, które wywoływała.

*

Wydawało mi się, że aby zostać pisarką, muszę być kolekcjonerką doświadczeń. Sądziłam też, że każde doświadczenie warte przeżycia i każdy człowiek wart poznania istnieją jedynie po zapadnięciu zmroku. Zapadło mi w pamięć coś, co usłyszałam kiedyś od Hicks, kiedy leżałyśmy razem w łóżku w świetle lampek choinkowych rozpiętych wokół okna jej studenckiego pokoju.

– Dolly, pewnego dnia wylądujemy w domu starców. Będziemy siedzieć wynudzone na śmierć i gapić się w kocyk na kolanach. Jedyne, co nam wtedy pozostanie, to uśmiechać się do tych wspomnień.

Takie noce powtarzały się jednak z coraz większą częstotliwością, a to oznaczało, że zaczynały mnie definiować, przestałam być po prostu wytrawną kolekcjonerką. Przesiadywanie w knajpach do świtu nie stanowiło już wyjątku; każdy mój wieczór oznaczał hedonistyczną całonocną imprezę, a co najgorsze – oczekiwali tego ode mnie wszyscy wokół. Wieczór ze mną równał się gigantowi następnego dnia. Znajomi spodziewali się po mnie takiego poziomu rozpusty zawsze i wszędzie, nawet gdy spotykaliśmy się w czwartkowy wieczór na pad thai. Mój poziom energii, stan konta i zdrowie psychiczne przestały za tym nadążać. Nie chciałam też tworzyć własnej mitologii i pompować samej siebie do poziomu jakiejś tragicznej postaci wiejskiej pijaczki, z którą każdy boi się umówić na kawę, bo prawdopodobnie skończy się to następnego ranka w jakimś całonocnym kasynie przy Leicester Square.

– Uwielbiam te historie – powiedziała kiedyś Helen po imprezie, na której skupiłam wokół siebie grupkę ludzi, by pozanudzać ich najlepszymi wspominkami z szalonych nocy. – Ale wiesz co, Doll, sporo ich już nazbierałaś.

Jest jeszcze coś, czego nikt nie mówi o piciu. Nie chodzi o to, że kac staje się coraz trudniejszy do zniesienia, lecz o stany dotkliwego lęku i paranoi następnego dnia na trzeźwo, które zaczęły mnie dręczyć już po dwudziestce. W sobotę wieczorem ściągasz na siebie uwagę całego pubu, krzycząc arogancko, że siedzą w tobie co najmniej trzy scenariusze na kasowy sitcom. W niedzielę po południu myślisz o śmierci i zamartwiasz się, czy listonosz cię lubi. Przepaść między tymi dwiema osobami staje się z czasem zbyt głęboka. Dorastanie wymusza samoświadomość, a samoświadomość prowadzi prosto ku tragicznej śmierci ducha samozwańczej imprezowiczki.

W pewnym momencie miałam dwie prace – jednocześnie pracowałam w telewizji i byłam dziennikarką freelancerką. To wymagało ode mnie coraz więcej czasu i skupienia, a regularne picie na umór i mordercze kace nie wspomagały produktywności ani procesu twórczego.

– Próbujesz prowadzić dwa różne życia – powiedziała mi kiedyś koleżanka, widząc, jak chwieję się na skraju wyczerpania. – Musisz wybrać, kim wolisz zostać: dziewczyną, która imprezuje najostrzej ze wszystkich, czy kobietą, która pracuje tak ciężko jak nikt inny.

Postanowiłam dążyć ku temu drugiemu celowi. Życie za dnia stawało się z czasem coraz pełniejsze i nie miałam już takiej potrzeby, by uciekać w noc. Potrzebowałam jednak jeszcze trochę czasu, by zrozumieć, że droga do przygody nie prowadzi wyłącznie przez imprezy do rana, gorące bary, zimne wino, obce mieszkania i zaparkowane na światłach samochody, w których rosną maleńkie torebeczki z białym proszkiem. Zawsze uważałam alkohol za wehikuł przygód, ale z biegiem lat zrozumiałam, że picie może przytępiać doświadczenia równie skutecznie, jak je podkręca. Owszem, ludzie o źrenicach jak spodki chętniej dzielą się soczystymi wyznaniami w toalecie; staruszkowie opowiadają historie, których inaczej nigdy bym nie usłyszała; można odkrywać nowe miejsca, całować nowych ludzi, wkrótce jednak przekonałam się, że kac oznacza też

niewykonaną na czas pracę. Pijąc na umór, wywiera się złe wrażenie na potencjalnych nowych znajomych, bo człowiek jest tak nawalony, że ledwo może mówić. Uświadomiłam sobie, ile rozmów utraciłam bezpowrotnie – spotkań, podczas których ktoś mówi coś bardzo, bardzo ważnego, ale nic po tym nie zostaje, bo następnego ranka żadne z nas nic nie pamięta. Pojęłam, ile kosztują mnie te nieprzespane godziny, kiedy pocę się z panicznego niepokoju o piątej rano, gdy leżę w łóżku i gapię się w sufit, serce wali mi jak młotem, a ja rozpaczliwie próbuję zasnąć. Tyle czasu straciłam w mrocznych zakamarkach swojej własnej głowy, torturując się myślami o tych wszystkich durnych rzeczach, które powiedziałam i zrobiłam, i nienawidziłam się za to przez kilka kolejnych dni.

Lata później odkryłam, że ciągłe zachowywanie się w sposób pociągający za sobą wstyd sprawia, że po prostu nie można dłużej traktować się poważnie i samoocena leci na łeb na szyję. O ironio, nastoletnia misja osiągnięcia progu dorosłości poprzez nadmierne picie powodowała – jak nic innego w moim życiu – że czułam się jak dziecko. Przez długi czas chodziłam po świecie z poczuciem, że w każdej chwili mogę zostać oskarżona o coś okropnego; ktoś mógłby ot tak do mnie podejść i powiedzieć: „TO TY jesteś tą krową, która wypiła gruszkowo-frezjowy olejek do kąpieli z piwem na mojej domówce – wisisz mi czterdzieści dwa funty!” albo: „EJ! Ty zdziro! Do dziś nie mogę uwierzyć, że przelizałaś się z moim chłopakiem za Sainsbury’s na Mornington Crescent!”. A ja musiałabym tylko pokiwać głową z powagą i powiedzieć: „Nie przypominam sobie tej konkretnej sytuacji, ale wierzę ci na słowo i przepraszam”. Wyobraźcie sobie, że żyjecie w świecie, w którym ZAWSZE ktoś może was zwymyślać od najgorszych, a wy jesteście gotowi z całego serca się z nim zgodzić. Gdzie w tym dobra zabawa?

Nieważne, gdzie jestem we wtorkowy wieczór – możecie być pewni, że wolałabym znajdować się w obskurnym barze w Camden, pić piwo i rozmawiać z nieznajomym. W końcu jednak wyrosłam z tych regularnych całonocnych pijackich włóczęg, które jak tsunami zmiatały kolejne dni z mojego życiorysu, podobnie jak wyrosłam z mieszkania w rozklekotanej kamienicy z żółtej cegły, ale przez krótki czas, kiedy siedziałam w naszym zarośniętym Edenie i piłam

kwaśne sauvignon w otoczeniu ukochanych kobiet, muzyka grała na pełny regulator, a przy zlewie piętrzyły się brudne naczynia, myślałam, że mieszkam w najlepszym domu na świecie. I nadal tak uważam.

Przepis: uwodzicielska sola w maśle *(sole meunière)*

(na dwie osoby)

Przygotowałam to danie dla wspomnianego wcześniej muzyka (spotykałam się z nim, gdy miałam dwadzieścia cztery lata) na wczesnym etapie znajomości, w nadziei, że dzięki temu się we mnie zakocha. Podziałało na jakiś tydzień. Później przyrządzałam tę potrawę wielokrotnie dla innych chłopaków zasługujących na mój czas i palone masło – rezultaty były satysfakcjonujące i utrzymywały się przez dłuższy czas.

– 4 łyżki białej mąki
– 2 filety z soli
– 1 łyżka oleju rzepakowego (słonecznikowy też się nada)
– 50 g masła
– 2 łyżki ugotowanych brązowych krewetek
– sok z połówki cytryny
– 1 łyżka kaparów
– garść drobno posiekanej pietruszki
– sól i pieprz do smaku

Wymieszaj mąkę z solą i pieprzem na talerzu, a następnie równomiernie obtocz w niej filety. Strząśnij nadmiar mąki. Rozgrzej olej na dużym ogniu do bardzo wysokiej temperatury. Smaż filety przez 2 minuty z każdej strony, aż staną się złote i chrupiące.

Odłóż rybę, przykryj folią aluminiową, żeby nie wystygła.

Zmniejsz ogień pod patelnią, dodaj masło i poczekaj, aż się rozpuści i lekko zbrązowieje. Zdejmij patelnię z ognia, włóż krewetki, wymieszaj w maśle, wciśnij sok z cytryny.

Połóż filety na talerzach, polej masłem z krewetkami, na koniec posyp kaparami i posiekaną pietruszką. Dopraw solą i pieprzem.

Podawaj z sałatką lub gotowaną zieloną fasolką i pieczonymi młodymi ziemniakami (pamiętaj, by nie podawać ze swoim wielkim, otwartym sercem na talerzu).

3 lutego

Drodzy przyjaciele, z którymi zazwyczaj tylko nawalam się do nieprzytomności!
Chciałabym Was serdecznie zaprosić do uczestnictwa w mojej próbie zachowywania się jak dorosła. Niektórzy nazywają takie okazje proszonym obiadem, ale to brzmi trochę staroświecko, użyję więc bardziej mglistego określenia, żeby zasugerować luźną atmosferę, ale nie imprezę, na przykład „spotkanie", „kolacja i drinki" albo „niezobowiązujący, luźny obiad w gronie znajomych".
Najważniejsze, że to na sto procent nie będzie impreza.
Proszę o przybycie do mojego mieszkania o dziewiętnastej. Mam przez to na myśli, żebyście zaplanowali przybycie na dziewiętnastą, lecz z uwzględnieniem, że o osiemnastej możecie odebrać powodowaną paniką wiadomość ode mnie, abyście jednak przyszli o dwudziestej, bo nigdzie nie mogłam dostać kalarepy potrzebnej do przygotowania azjatyckiej sałatki Jamiego Olivera i musiałam jechać Uberem za dwadzieścia pięć funtów do Waitrose i z powrotem, przez co straciłam godzinę. Jak mówiłam, bardzo niezobowiązująco i na luzie.

Lista gości przedstawia się następująco:
1 x ostentacyjny gej (Ed), chętny do dzielenia się barwnymi opowieściami o ekscytującym życiu seksualnym. Weźmie na siebie rolę prawdomównego nadwornego błazna – coś pomiędzy Eltonem Johnem a grabarzami z *Hamleta*.
1 x niegroźny nowy chłopak należący do Eda (imię do potwierdzenia), z którym wszyscy będą się bardzo starać nawiązać kontakt aż do głównego

dania, po czym zaczniemy go ignorować, aż zamówi wczesnego Ubera do domu, ale dopiero dwie godziny później ktoś się zorientuje, że pojechał.
1 x feministka z północnej Anglii (Anna), której liberalne zachowanie i lewicowe poglądy sprawią, że Ed będzie się czuł pewniej i vice versa.
1 x singiel z mojej pracy, którego nie znam zbyt dobrze (Matthew), flirtujący ze wszystkimi obecnymi. Matthew nie jest stereotypowo atrakcyjny, ale na jego korzyść działa pokaźny wzrost i donośny głos. Liczymy na to, że im więcej wypijemy, tym bardziej będzie się wszystkim podobał, aż w końcu uświadomimy sobie, że stanowi najmniejsze zło. Trochę tak jak wszyscy myśleliśmy o Theresie May w ostatnich wyborach.
1 x zaręczona para z klasy średniej (Max i Cordelia), która doda spotkaniu przyjemnie dorosłego smaczku. Chętnie opowiedzą o szczegółach zbliżającego się wesela, by podtrzymać wieczór przy życiu, gdy wszystkim skończą się tematy do rozmowy. Uwaga: trzymać Maxa i Annę z dala od siebie, kiedy rozmowa zejdzie na zasiłki lub zmianę klimatu.
1 x puszczalska koleżanka, która za dużo pije (Leslie), byśmy mogli poczuć się, jakbyśmy nadal byli beztrosko młodzi, a zarazem nasze życie wyda się nam o wiele lepsze (dzięki, Leslie!). Będzie też odpowiedzialna za dokumentację całego wieczora na Instagramie z użyciem takich hasztagów jak „#sałatkaazjatyckapyszności", „#kolacjagrzeszników" i tym podobne.
Proszę o przyniesienie butelki wina. Zakładam, że pojawicie się z oyster bay, bo to jedyna znana nam marka, która nie smakuje jak siki, a przy tym kosztuje tylko dziesięć funtów. Jacob's creek też może być. Echo falls oczywiście mile widziane, ale cena nie umknie naszej uwadze.
Kiedy już rzucę wszystkie Wasze płaszcze na łóżko i rozdam po kieliszku ciepłego białego wina, którego połowę zdążę wypić przed przybyciem pierwszego gościa, z nerwów po wcześniejszym Biegu Spartakusa po kalarepę, zaoferuję wam cztery paczki czipsów z pieca. To w ramach przystawki.

Ponieważ wzięłam na siebie podanie ośmiu różnych potraw – w duchu szalenie zrelaksowanego wieczoru perfekcyjnej pani domu, zniknę w kuchni na pierwsze dwie godziny. Bezpieczne tematy do rozmowy dla w miarę trzeźwych gości obejmują:
– Sprawność operowania linii metra Victoria

– Porównywanie wysokości czynszu
– Niedawno zmarli celebryci
– Fryzjerzy do polecenia
– Kto będzie następnym Bondem
– Kurs wymiany funta na dolara podczas niedawnej wycieczki do Nowego Jorku
– Ile należy pić wody
– Jakakolwiek powstająca sztuka teatralna z udziałem aktorów znanych z telewizji
– Aplikacje do planowania budżetu
– Pościel

Kolacja zostanie podana o dwudziestej drugiej. Do tego czasu wszyscy będą dostatecznie pijani, by na temat posiłku rzucać uwagi z seksualnym podtekstem: „Hummus najlepiej smakuje na twardej marchewce", „W sałatce musi być dużo ogórka" itp., ale nie aż tak pijani, żeby powyciągać telefony i zacząć oglądać zabawne filmiki na YouTubie. To wydarzy się dopiero między daniem głównym a deserem.

Sugerowane filmiki:
– Pomyłki dziennikarzy w wiadomościach
– Koty zaklinowane w różnych miejscach
– Dzieci złoszczące się, że rodzice zjedli ich słodycze
– Psy zasypiające w dziwnych miejscach
– Dowolne skecze Louisa C.K.
– Cokolwiek z Céline Dion

Leslie, byłoby wspaniale, gdybyś na tym etapie znalazła jakiś sposób na urozmaicenie wieczoru narkotykami. Może być stara trawka, którą znajdziesz w torebce, albo, jeśli wolisz, napisz do swojego dilera kokainy. Jeśli padnie na to drugie, wszyscy zaczną protestować, że „w tym miesiącu są już spłukani", ewentualnie że „ostatni raz robili to w swoje urodziny dwa lata temu", ale nic się nie bój, bo kiedy przyjedzie pan od cukierków, wszyscy nagle znajdą hajs.

Jeżeli ten scenariusz dojdzie do skutku, Cordelia i Max się pokłócą, bo Max zaproponuje, że zapłaci za dodatkowy gram. To zaskoczy Cordelię – ponoć nie mają dość pieniędzy, żeby wynająć kwartet smyczkowy, który zagrałby *Signed, Sealed, Delivered*, gdy będzie szła do ołtarza, a tu nagle on ma na zbyciu sześćdziesiąt funtów na twarde narkotyki w pokoju pełnym ledwo znanych mu ludzi?
Po północy nadejdzie czas na rozrywkę znaną jako „Bezsensowne debaty na nieistotne tematy". Drużyna Wierząca w Coś Oczywistego, Co Przeczytaliśmy w „Guardianie", zmierzy się z Drużyną Wierzącą w Coś Nieco Mniej Oczywistego, Co Przeczytaliśmy na Blogu „Vice". Poruszane kwestie i wygłaszane opinie będą szeroko zakrojone, niezobowiązujące i przewidywalne, bazujące na zmyślonych statystykach i podkolorowane anegdotkami z życia osobistego, mające na celu nadanie wagi słabym argumentom.

Sugerowane tematy dyskusji:
– Czy istnieje jeszcze coś takiego jak lewica i prawica?
– Skoro kobiety chcą równości płci, to dlaczego mówią o feminizmie, a nie po prostu o równości?
– Czy to nadal jest sztuka, jeśli ja też tak potrafię?
– Dlaczego jemy świnie, a psów już nie?
– Co zostawił po sobie Tony Blair zdaniem naszych rodziców, których opinie będziemy teraz powtarzać, udając, że sami na to wpadliśmy?
– Kiedy jest już za późno na dzieci?
– Czy Margaret Thatcher była feministką?
– Czy szybujące w kosmos ceny londyńskich nieruchomości sprawią, że ludzie zaczną się naprawdę przeprowadzać do Margate?
– Czy Matthew ma prawo nosić koszulkę z logo Ramones, choć nie jest w stanie podać, jak się nazywa którykolwiek z członków zespołu ani zanucić choć jednej piosenki?
Kiedy atmosfera między Maxem i Edem stanie się zbyt napięta podczas dyskusji na temat „Homoseksualizm: natura czy wychowanie?", nadejdzie czas na kolejny punkt programu, czyli Pijackie Zwierzenia Leslie; nasza koleżanka wyjawi sekret na swój temat, wygłaszając długi, zawiły monolog przed milczącą publicznością.

Sugerowane zwierzenia dla Leslie:
– Nie lubisz żadnych Walijczyków
– Niedawne zakażenie chlamydią
– Kiedy byłaś nastolatką, wujek cię obmacywał
– Romans z żonatym mężczyzną
– Wierzysz, że potrafisz rozmawiać ze zmarłymi
– Uważasz, że głosowanie jest nudne i bez sensu
– Lęk przed bezpłodnością

Planowany czas opuszczenia lokalu:
Ed – czwarta nad ranem, po tym, jak udowodni, że zna cały układ taneczny do *Wannabe* Spice Girls i każde słowo rapu Lil' Kim w *Lady Marmalade*
Cordelia – druga nad ranem, bo następnego dnia jest umówiona na zmyślony brunch
Max – druga trzydzieści, po odczytaniu SMS-a od wściekłej Cordelii, że ma wracać do domu
Matthew i Anna – czwarta piętnaście, tym samym Uberem
Leslie – szesnasta następnego dnia

Już nie mogę się doczekać, kochani! Wreszcie luźny wieczór dla odmiany. Buziaki!!

Przepis: pizza jabłkowa z lodami, kiedy nie chce ci się ruszyć tyłka *(na cztery osoby)*

Dostałam ten przepis od mamy, żebym mogła robić wrażenie na ludziach, kiedy przychodzą do mojego badziewnego domu na badziewne kolacje. Nie wymaga absolutnie żadnych umiejętności ani nakładu pracy.

Lody
– 4 żółtka (koniecznie bardzo świeże)
– 100 g cukru pudru
– 340 g serka mascarpone
– ekstrakt waniliowy

Ucieraj żółtka z cukrem aż do uzyskania bladożółtej kremowej masy. Nadal ucierając, dodaj mascarpone i ekstrakt z wanilii. Nałóż do plastikowego pudełka. Wstaw do zamrażarki co najmniej na 3–4 godziny, a najlepiej na noc.

Pizza jabłkowa
– opakowanie ciasta francuskiego
– opakowanie marcepanu
– pół kilograma obranych, pokrojonych jabłek
– słoik dżemu morelowego

Rozwałkuj ciasto. Rozsmaruj pośrodku duże kółko z marcepanu. Połóż na wierzchu pokrojone jabłka. Piecz w piekarniku w 200°C, aż się przyrumieni. W tym czasie podgrzej dżem morelowy w garnuszku. Kiedy pizza się upiecze, polej ją ciepłym dżemem i zostaw do ostygnięcia. Podawaj z lodami.

„Nic się nie zmieni”

Jedną z najgorszych konsekwencji związku Farly ze Scottem było to, że już nie widywałam jej rodziny. Tęskniłam za jej mamą, tatą i jego żoną, bratem i siostrą. Przez wiele lat spędzałam co drugi weekend i wakacje z jej rodziną – byli dla mnie jak prawdziwi krewni, ale kiedy pojawił się Scott, zaproszenia od Farly się skończyły i widywałam ich raz albo dwa do roku. Teraz to Scott siedział na moim dawnym miejscu przy stole w jadalni podczas urodzin i niedzielnych obiadów; to on wybierał się z nimi jesienią na rześkie, przyjemne wakacje w Kornwalii, a mnie pozostawało tylko oglądanie zdjęć na Instagramie.

Kilka miesięcy po tym, jak zamieszkałyśmy w naszym nowym domu w Londynie, w pewne sobotnie popołudnie Farly zaprosiła mnie na spacer ze swoją rodziną. Zatrzymaliśmy się na lunch w pubie, a ja grzałam się w cieple znajomych rodzinnych rytuałów: przezwisk, prywatnych żartów, opowieści z czasów, kiedy Farly i ja miałyśmy po kilkanaście lat. Byłam zadowolona. Nieważne, jakie miejsce Scott zajmował tu od kilku lat – miało ono inny charakter niż moje; nic się nie zmieniło.

W drodze powrotnej zostałyśmy nieco z tyłu za resztą grupy i psem, jak za dawnych czasów, kiedy byłyśmy zbyt przejedzone, by dotrzymać tempa pozostałym.

– Scott zaproponował, żebym z nim zamieszkała – odezwała się nagle Farly.

– I co ty na to?

– Zgodziłam się – powiedziała niemal przepraszającym tonem. Jej ostrożne słowa zawisły w zimnym powietrzu. – Od razu poczułam, że to właściwa decyzja.

– Kiedy się przeprowadzasz?

– Jak tylko zaliczę z wami rok w Camden – odparła.

Co za okropny zwrot: „zaliczę rok”, jakby nasza przyjaźń była dla niej wyjazdem na narty podczas przerwy na studiach albo wyjazdem na TEFL do Japonii; czymś, co robi się tylko po to, żeby mieć na koncie interesującą anegdotkę.

– Okej – mruknęłam.

– Przykro mi, wiem, że to trudne.

– Nie, nie, cieszę się – zapewniłam. Resztę drogi pokonałyśmy w milczeniu.

*

– Chcesz upiec ciastka z czekoladą? – spytała Farly po powrocie do domu.

– Okej.

– Świetnie. Zrób listę składników, a ja skoczę do sklepu. A potem może obejrzymy ten dokument o Joni Mitchell? Od stu lat leży na półce i się kurzy.

– Pewnie.

Gdy miałam osiem lat, mama zabrała mnie do McDonalda, kiedy zdechła moja złota rybka. Teraz Farly zachowywała się dokładnie tak samo.

Rozłożyłyśmy się na kanapie ze splecionymi nogami i brzuchami wystającymi spod piżamy. Na ekranie Graham Nash opowiadał, jak Joni Mitchell obnaża duszę w słowach piosenki *Blue*.

– Znam każde słowo z tego albumu – powiedziałam. To jedyna płyta, którą zabrałyśmy na trzytygodniową wycieczkę po kraju, kiedy Farly w wieku siedemnastu lat zdała egzamin na prawo jazdy.

– Ja też. Najbardziej lubię *Carey*.

– A ja *All I Want*. – Przerwałam, żeby dokończyć ciastko, i wytarłam okruszki z kącików ust. – Pewnie już nigdy więcej nie wybierzemy się na taką wyprawę.

– Dlaczego?

– Bo przeprowadzasz się do faceta i to z nim teraz będziesz jeździć na wszystkie wakacje.

– Nie wygłupiaj się. Nic się nie zmieni.

*

Chciałabym w tym miejscu przerwać na chwilę tę opowieść. Porozmawiajmy o „nic się nie zmieni". Słyszałam to zapewnienie dziesiątki razy od bliskich mi kobiet, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat i patrzyłam, jak przeprowadzają się do swoich chłopaków, zaręczają się, wyprowadzają się za granicę, biorą ślub i zachodzą w ciążę. „Nic się nie zmieni". To zdanie doprowadza mnie do szału. Wszystko się zmieni. Wszystko. Nadal będziemy się tak samo kochać, ale format, ton, regularność spotkań i bliskość, jakie do tej pory towarzyszyły naszej przyjaźni, zmienią się na zawsze.

Pamiętacie, jak byłyście nastolatkami i patrzyłyście na mamę i jej najlepsze przyjaciółki? Wydawało się, że są sobie bliskie, ale nie tak jak wy ze swoimi koleżankami? Czuć było między nimi dziwnie oficjalną atmosferę, witały się w nieco sztywny sposób. Mama sprzątała mieszkanie przed ich wizytą, a w trakcie spotkań rozmawiały o tym, jak sobie zetną włosy i że dzieci mają kaszel. Farly powiedziała mi kiedyś:

– Obiecaj, że nigdy nie zrobimy się takie jak one. Daj mi słowo, że kiedy skończymy pięćdziesiąt lat, będziemy się traktować tak samo jak teraz. Chcę, żebyśmy siedziały na kanapie, napychały się czipsami i gadały o infekcjach pochwy. Nie możemy się zmienić w kobiety, które spotykają się raz na kilka miesięcy na targach rękodzieła.

Dałam słowo. Ale nie miałam wtedy pojęcia, ile pracy wymaga zachowanie takiej bliskości z biegiem lat – to nie dzieje się przypadkiem.

Patrzyłam raz za razem na ten sam scenariusz. Kobieta zawsze lepiej wpasowuje się w życie faceta niż na odwrót. To ona będzie spędzać większość czasu w jego mieszkaniu, to ona zaprzyjaźni się z jego znajomymi i ich dziewczynami. To ona będzie wysyłać jego matce kwiaty na urodziny. To nie znaczy, że kobiety lubią te hocki-klocki bardziej od mężczyzn – po prostu są w tym lepsze. Robią to i tyle.

To oznacza, że kiedy kobieta w moim wieku zakochuje się w mężczyźnie, jej lista priorytetów zmienia się z takiej:

Rodzina
Przyjaciele
W taką:
Rodzina
Chłopak
Rodzina chłopaka
Znajomi chłopaka
Dziewczyny znajomych chłopaka
Przyjaciele

To oznacza, że częstotliwość spotkań z przyjaciółką spadnie – od wspólnego spędzania czasu w każdy weekend do wyjścia raz na sześć tygodni. Ona staje się pałeczką, a ty jesteś na samym końcu sztafety. Możesz liczyć na spotkanie w swoje urodziny albo na jakiś brunch, ale potem musisz oddać ją z powrotem chłopakowi i grzecznie wrócić na koniec długiej, nudnej kolejki.

Kolejne nieobecności powoli, lecz nieubłaganie tworzą dziurę w przyjaźni. Miłość nadal istnieje, ale znika bliskość. Zanim się obejrzysz, nie prowadzicie już wspólnego życia. Teraz żyjecie osobno, każda ze swoim facetem, i spotykacie się na obiad raz na sześć tygodni, żeby opowiedzieć sobie, co słychać. Teraz rozumiem, dlaczego nasze matki sprzątały dom przed wizytą najlepszej przyjaciółki, a potem pytały z nieco wymuszoną wesołością: „No, to co słychać?”. Już rozumiem, jak do tego dochodzi.

Nie mów mi więc, że kiedy zamieszkasz z chłopakiem, nic się nie zmieni. Nie będzie wspólnej wycieczki, bo sztafeta obowiązuje też w wakacje. Może załapię się na wyjazd z przyjaciółką raz na sześć lat, chyba że urodzi dziecko – wtedy wyjedziemy gdzieś razem najwcześniej za osiemnaście. To zawsze tak działa. Wszystko się zmieni.

*

Farly wyprowadziła się w moje dwudzieste piąte urodziny. Znaleźli ze Scottem dwupokojowe mieszkanie z tarasem na dachu gdzieś w Kilburn. Budynek znajdował się naprzeciwko hali sportowej – powiedzieli, że to dobrze, bo ponoć lubią grać w badmintona. Farly odstawiła szopkę z pokazywaniem mi, jaką trasą jedzie bezpośredni autobus z Camden na High Road w Kilburn. Ponuro wsiadłam do niego i pojechałam do nich na parapetówkę.

Całą imprezę spędziłam na tarasie na dachu i paliłam papierosy z nastoletnią siostrą Farly, Florence, która usiadła mi na kolanach i pokazywała swoją książkę pamiątkową ze szkoły. Później, kiedy się upiłam, przyznałam jej się do cichej nadziei, że jedno z nich zaliczy skok w bok albo że Scott okaże się gejem i Farly znów będzie musiała zamieszkać u nas. Florence się roześmiała i mnie objęła.

– Nie mogę na to patrzeć. – Farly wskazała palcem na koszulkę Manchester United wiszącą w ramce w korytarzu. Materiał był pokryty autografami członków zespołu. Przyjaciółka chyba wyczuła, że muszę na coś przelać swój żal.

– No, okropna – zgodziłam się.

– Wstrętna. Mieszkanie z facetem. Uch.

– Z dziewczynami jest sto razy lepiej.

– Milion. – Uśmiechnęła się do mnie. – Podoba ci się mieszkanie?

– Jest wspaniałe. Na pewno będziesz tu bardzo szczęśliwa.

Ku własnej irytacji wreszcie w to uwierzyłam.

Pokój Farly zajęła nasza koleżanka ze studiów, Belle, razem ze swoją gitarą i zapałem do tańczenia przez cały weekend, i życie leciało po staremu. Lodówka nadal ciekła. Toaleta na parterze nadal była zepsuta. Gordon nadal wpadał do nas bez zapowiedzi w prawie każdy sobotni poranek, by wcisnąć nam jakieś okropne stare graty w „prezencie", bo nie chciało mu się ich wywozić na śmietnik. Kontynuowałyśmy tradycję „kto kupuje, ten decyduje", polegającą na tym, że kiedy któraś z nas wychodziła do sklepu, przynosiła taką tabliczkę czekolady, na jaką sama miała ochotę. Z początku widywałam się z Farly częściej, niż kiedy mieszkałyśmy razem – po prostu dlatego, że strasznie chciała mi pokazać, jak bardzo „nic się nie zmieniło" – ale z czasem spotkania stały się coraz rzadsze. Wszystko się zmieniło.

***

Trzy miesiące po tym, jak zamieszkali razem, siedziałam przy biurku w pracy, kiedy nagle zobaczyłam na ekranie telefonu wiadomość, że Scott zaprosił mnie do grupy na WhatsAppie zatytułowanej „Niespodzianka”.

Wiedziałam, co jest w środku, więc jej nie otworzyłam. Czekałam na tę chwilę od dnia, kiedy Farly oznajmiła, że zamierzają wynająć wspólne mieszkanie. Nie byłam na to gotowa. Zajęłam się pracą, jakby to był tylko oczekujący sen, niewysłane powiadomienie w skrzynce nadawczej gdzieś w eterze. Telefon przez godzinę leżał na biurku i mrugał do mnie nieodczytanym powiadomieniem.

W końcu zadzwoniła do mnie A.J. – również zaproszona do grupy – i kazała mi otworzyć wiadomość. Scott oznajmił, że się oświadcza. W walentynki. Cztery lata po pierwszej randce. Zapytał, czy mogłybyśmy zorganizować spotkanie w gronie przyjaciół w jakimś barze i zrobić jej niespodziankę, kiedy będzie już po wszystkim. Odparłam, że oczywiście; że już nie mogę się doczekać; że jestem zachwycona.

Rozpłakałam się. Wiedziałam, że przegrałam tę walkę, choć nawet nie wiedziałam, z kim i o co dokładnie walczę.

Dilly zatrzymała się przed moim biurkiem.

– Dolly, co się stało?

– Nic – wymamrotałam.

– Chodź. – Złapała mnie za rękę i zaprowadziła do sali konferencyjnej. – Mów, co się stało.

Opowiedziałam jej o oświadczynach. Dilly była na bieżąco, zdążyła już kilka razy spotkać Farly i była od lat zafascynowana naszym emocjonalnym trójkątem. Uważała, że to „świetnie zaplanowana fabuła serialu reality”.

– Wiem, że to brzmi, jakbym dramatyzowała – wyszlochałam. – Wiem, że ludzie dorastają i wszystko się zmienia, ale nie sądziłam, że dojdzie do tego, kiedy będziemy miały zaledwie dwadzieścia pięć lat.

Popatrzyła na mnie, westchnęła z powagą i pokręciła głową.

– Co? – spytałam.

– Wiedziałam, że trzeba było założyć wam kamery, jak tylko wprowadziłyście się do tego domu – oznajmiła, przewracając oczami. – Wiedziałam. Nawet powiedziałam tak Dave'owi. Rozumiem, że nie chcesz występować przed kamerą, ale to byłby taki świetny zwrot akcji.

Zebrałam wszystkich przyjaciół i powiedziałam o pomyśle Scotta. Zaplanowaliśmy godzinę i miejsce, gdzie będziemy czekać z prezentem. Kupiłam na Etsy wydruk ze słowami ich ulubionej piosenki The Smiths, *There Is A Light That Never Goes Out*, oprawiony w ramkę. A.J. powiedziała, że kupi mi taki sam z tekstem *Heaven Knows I'm Miserable Now*, ale chyba nawet ta piosenka nie oddawała tego, jak żałośnie się czułam.

Nigdy niczego takiego nie chciałam. Nie chciałam, by spędzała każdy weekend ze znajomymi Scotta i ich żonami na grillach w pieprzonym Balham. Nie chciałam spotykać się z nią raz na jakiś czas na obiad, żeby nadrobić zaległości. Nie chciałam, żeby wyprowadziła się po roku. Żeby wychodziła za mąż. A najgorsze, że to wszystko była moja wina, do kurwy nędzy. Gdybym tylko mogła cofnąć czas i nigdy ich ze sobą nie umówić. Nie spotykać się z Hectorem. Nie iść do jego mieszkania tamtej śnieżnej nocy w Notting Hill. Żałowałam, że nie mogę wrócić do przeszłości i zignorować go, kiedy zaczął mnie zagadywać w podróży. Albo w ogóle nie wsiąść do tego zasranego pociągu.

Jeśli masz w życiu taką Farly, to masz też problem, bo wydaje ci się, że jej historia należy także do ciebie. Farly nie żyła już tak, jak to sobie dla nas wymyśliłam, i przechodziłam żałobę z powodu przyszłości, która się przed nami zatrzasnęła. Przed Scottem wszystko szło zgodnie z planem: poszłyśmy na te same studia, zamieszkałyśmy w tym samym akademiku, a potem przez dwa lata mieszkałyśmy w jednym domu. Następnie skończyłyśmy studia i sądziłam, że czekają nas „nasze londyńskie lata", a nie „nasz londyński rok". Nie myślałam, że skończy się na jednym wspólnym domu. Spodziewałam się setek spędzonych razem nocy ciągnących się aż do wschodu słońca. Koncertów, podwójnych randek, wyjazdów do europejskich miast i długich tygodni spędzanych razem na plaży, tuż obok siebie. Wydawało mi się, że ta dekada życia

należy do nas i dopiero później będziemy musiały pogodzić się z nieuniknionym i z siebie zrezygnować. Miałam poczucie, że Scott okradł mnie z naszej historii. Zabrał dziesięć lat, które należały się mnie.

Na miesiąc przed oświadczynami wyszłyśmy w pewną sobotę na drinki z Farly i innymi koleżankami.

– Scott powiedział mi coś dziwnego w tym tygodniu – oznajmiła.

Popatrzyłyśmy po sobie wielkimi oczami. Zdążyłyśmy już kupić wydruk piosenki The Smiths i zarezerwować wieczór w walentynki.

– Co takiego? – spytałam ponuro.

– Że ma dla mnie niespodziankę na walentynki, małą i dużą jednocześnie. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale myślę sobie, że może chodzić o pierścionek zaręczynowy.

– Nie sądzę – wtrąciła nagle Lacey, starannie unikając naszych spojrzeń. Nanosekunda kontaktu wzrokowego wszystko by zdradziła.

– Na pewno nie, masz rację – przytaknęła pospiesznie Farly, śmiejąc się z udawanym lekceważeniem.

– No, chyba za bardzo się w to wczytujesz – zawtórowała A.J.

– Ale co może być małe i duże jednocześnie? Nie mam pojęcia, o co mu może chodzić – zamyśliła się Farly.

– Nie wiem – zaszczebiotała Lacey. – Może o bilety na samolot na wakacje?

– A może o koloratkę – wtrąciłam sucho.

– Co?

– Mała rzecz, ale duża jednocześnie. Może postanowił zostać duchownym i chce ci o tym powiedzieć w waszą rocznicę.

– Daj spokój, Dolly – westchnęła Farly.

– A może… może… – Wypiłam już litr wina, więc moje wargi przestawały nadążać za myślami. – Może chce sobie zrobić tatuaż z logo Manchester United na twarzy. Niby małe, a jednak nie, co? Kto wie, czy to nie zmieni twoich uczuć do niego – stwierdziłam. A.J. próbowała powstrzymać mnie na migi, udając, że podcina sobie gardło. – A może to kluczyki do łódki. Może kupił motorówkę, żeby pływać nią po Tamizie. To by była konkretna zmiana stylu życia, jeśli będzie chciał spędzać weekendy na wodzie. Nie wiem, ile kosztuje utrzymanie czegoś takiego, ale pewnie niemało. Może więc o to

chodzi: jest żeglarzem, tylko nigdy dotąd nie miał okazji ci o tym powiedzieć.

– Nie mam ochoty więcej zgadywać – ucięła Farly.

*

W noc przed ich zaręczynami nie mogłam zasnąć. Rozmyślałam, jak drastycznie zmieni się życie Farly, a ona nie ma o tym zielonego pojęcia. Następnego dnia rano wysłałam Scottowi SMS-a: „Powodzenia wieczorem. Wierzę w Ciebie. Mam nadzieję, że się zgodzi, a jeśli nie, to miło było Cię poznać".

„Dzięki za wsparcie, Dolly", odpisał.

Wieczorem wszystkie siedziałyśmy w barze i czekałyśmy na wiadomość od niego.

– A jeśli ona powie „nie"? – odezwała się A.J. – Co wtedy? Idziemy do domu?

– Na pewno go przyjmie. Ale jeśli jednak nie, to rozejrzałam się już po okolicy. W KOKO jest dziś disco, możemy iść tam potańczyć. Dycha za wejście.

O dwudziestej drugiej dostałam SMS-a od Scotta, że się zaręczyli. Powiedział jej, że przed powrotem do domu pójdą jeszcze na ostatniego drinka, żeby to uczcić. Zamówiłyśmy butelkę szampana, nalałyśmy do dwóch kieliszków i wypatrywałyśmy ich taksówki przez okno. Wreszcie zobaczyłyśmy, jak wchodzą do baru. A.J. dwa razy ścisnęła moją spoconą dłoń – milcząca wiadomość w uniwersalnym kodzie przyjaźni.

– GRATULACJE! – wykrzyknęłyśmy wszystkie, gdy tylko Farly pojawiła się w środku. Popatrzyła na nas zdumiona, a potem na Scotta. Uśmiechnął się do niej, a ona pobiegła mnie uściskać.

– Gratuluję – powiedziałam, podając Scottowi kieliszek z szampanem. – Dzięki tobie moja najlepsza przyjaciółka jest szczęśliwa.

– Tak się cieszę, że spotykałaś się z tym kretynem Hectorem – odparł ze śmiechem. – Kocham cię, Dolly.

Przytulił mnie ze łzami w oczach.

Zastanawiałam się, czy Scott wiedział, jak się czuję. Może od zawsze wiedział. Może właśnie dlatego chciał, żebym wzięła udział w ich zaręczynach; dał mi zadanie do wykonania, bym stała się częścią tej chwili.

Dwie godziny później Farly poprosiła, żebym została jej świadkową. Wypiłam już lwią część szampana i odczuwałam ogromną potrzebę, by wyrazić swoje uczucia na głos.

– Chsewygłosiś mowę – wybełkotałam do A.J. i chwyciłam za widelec, żeby postukać w kieliszek.

– Nie, skarbie – zaprotestowała A.J., zabierając mi widelec. Natychmiast popatrzyła wymownie na resztę dziewczyn, które pospiesznie zdjęły wszystkie sztućce ze stołu i przekazały je kelnerowi. – Obędzie się bez przemowy.

– Kuwa, jestem jej śśfiadkową.

– Wiem, kotku, ale będzie jeszcze mnóstwo czasu na przemówienia.

Kiedy A.J. poszła do łazienki, wpełzłam pod stół i wygrzebałam z jej torebki kluczyki do samochodu. Postukałam nimi w kieliszek z głośnym „dzyń, dzyń, dzyń".

– Jak się dowiedziałam, że Scott i Farly się zaręczyli, to wiadomo, że się wkurzyłam – zaczęłam.

– Boże – jęknęła Belle.

– Bo znam to małe dziwadło od ponad dwuziestupięsiulat.

– Ponad dwudziestu pięciu? – wyszeptała Lacey do Hicks.

– SICHO! – krzyknęłam, wskazując na Lacey. Rozlałam trochę wina na stół.

– CO TY ODWALASZ, JUŻ NIE JESTEŚ MOJĄ ŚWIADKOWĄ! – ryknęła pijana Farly z drugiego końca stołu.

– Ale kiedy rozglądam się wokół, widzę, że świat… – zawiesiłam głos dla efektu – jest… jess dokładnie taki, jaki ma byś. Bo moja najlepsza przyjasiółka wygrała najlepszego faceta.

– Ooo. – Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Za Scotta i Farly – ryknęłam przez łzy i usiadłam. Rozległy się słabe oklaski.

– Piękne – szepnęła mi Belle do ucha. – Chociaż wiem, że podkradłaś ten tekst z przemowy Julii Roberts z *Mój chłopak się żeni*.

– Och, nie zorientuje się – syknęłam, machając lekceważąco ręką.

Muszę przyznać, że resztę wieczoru do dziś pamiętam mgliście. Zaprosiłam Dilly i jej męża, żeby do nas dołączyli – akurat byli niedaleko, bo świętowali walentynki na mieście. Odtańczyłam kankana między stolikami, śpiewając piosenkę *One* z musicalu *Chorus Line*, przy okazji wykopując tacę pełną talerzy z rąk kelnera pod sam sufit, i tańczyłam dalej, kiedy roztrzaskały się o podłogę. Pożegnałam się ze Scottem i Farly, a potem wróciłam do mieszkania w Camden i zmusiłam wszystkich, by pili ze mną dalej aż do szóstej rano. Następnego dnia obudziłam się obok na wpół rozebranej Hicks. Ktoś napisał jej na cyckach „szęśliwych walętynek" eyelinerem.

Kolejny dzień spędziłam na śledzeniu mediów społecznościowych i relacji z „weekendu zaręczynowego" Farly (nie chcę być upierdliwa ani czepiać się szczegółów, ale naprawdę sądziłam, że jeden wieczór w zupełności wystarczy). Odbył się rodzinny grill, a potem lunch w Wolseley. Znajomi Scotta i ich żony zasypali ją takimi prezentami jak planery ślubne ze Smythsona i butelki szampana w rozmiarze magnum, przy których mój wydruk w ramce prezentował się dość smętnie. Zaczęłam się czuć jak czwarty, zapomniany król w stajence (ten, który przyniósł Dzieciątku jakieś badziewie z Etsy).

– Mam wrażenie, że trochę cię to wszystko przytłoczyło w piątek – powiedziała mi Farly przez telefon. – Wszystko w porządku?

– Jasne! Jak to „przytłoczyło"? Przecież to nie ja się zaręczyłam. Chyba ciebie to przytłacza. Widziałam na Facebooku, że Michelle kupiła ci kalendarz ślubny ze Smythsona. Miło z jej strony, nie?

– Chcesz wyjść w przyszłym tygodniu na obiad? Tylko we dwie?

– Jasne.

Napisałam do Hectora – pierwszy raz od czterech lat.

„Pamiętasz mnie jeszcze? Scott i Farly się zaręczyli. Jakie to szczęście, że wysłałeś mnie wtedy nago do kuchni".

Odezwał się. Napisał, że widział informację na Facebooku. Dowiedziałam się, że rzucił pracę w City, a teraz pracuje jako specjalista od PR-u w branży turystycznej i ma gigantyczny budżet na wydatki służbowe, więc jeśli mam ochotę, może mnie zabrać na zakrapiany lunch, żeby uczcić nasz wspólny sukces. Nie uważałam, żeby byli z nas dobrzy swaci, ale i tak się zgodziłam, bo miałam doła.

W przypływie wymuszonej nostalgii wygrzebałam nawet jego stare sprośne wierszyki z dna skrzynki mailowej. A potem i tak odwołałam lunch na dzień przed.

– Jak myślisz, dlaczego do niego napisałaś? – spytała Farly kilka dni później między jednym gryzem burgera a drugim.

– Nie wiem. Chyba po prostu chciałabym mieć chłopaka.

– Serio? – Przyjaciółka wytarła wargi serwetką. – Zawsze mówiłaś, że wolisz być singielką.

– No, ale ostatnio poczułam się jakoś inaczej.

– A co spowodowało taką zmianę?

Co spowodowało zmianę? Byłam zazdrosna. Tylko że teraz nie czułam już zawiści wobec Scotta, lecz wobec Farly.

– Twoje zaręczyny.

– Jak to?

– Nie mogę znieść tego, że masz teraz zupełnie inne życie niż ja. Zawsze robiłyśmy wszystko w tym samym czasie, a teraz to się zmieniło – westchnęłam. – Przykro mi, że nasze dzieci mogą być w różnym wieku; że niedługo kupisz wspólne mieszkanie z facetem, a ja musiałam błagać właściciela, żeby pozwolił mi w tym miesiącu spóźnić się trzy tygodnie z czynszem; że jeździsz służbowym audi Scotta, a ja dalej nie mam prawa jazdy; że jego znajomi są zupełnie inni ode mnie; boję się, że mi ciebie zabiorą, bo ich życie wygląda podobnie do twojego, a moje nie. Wiem, że to okropne. Nie chcę ci psuć tej wyjątkowej chwili i powinnam się po prostu cieszyć, że jesteś szczęśliwa, ale czuję się tak daleko w tyle za tobą, że nie wiem, czy niedługo zupełnie nie stracę cię z oczu.

– Byłoby mi strasznie ciężko, gdybyś poznała swojego męża w wieku dwudziestu dwóch lat – odparła Farly.

– Serio?

– Oczywiście! To by było okropne.

– Czasami mam wrażenie, że zwariowałam.

– Wcale nie zwariowałaś. Ja czułabym się tak samo. Ale przecież nie postanowiłam, że poznam Scotta w tym wieku. Nie szukałam męża.

– Aha – odparłam niemrawo.

– Przecież będę przy tobie, kiedy będziesz świętować różne ważne momenty w swoim życiu. Nieważne, czy to nastąpi za miesiąc, czy za dwadzieścia lat.

– Prędzej za czterdzieści – wymamrotałam. – Nadal mieszkam w domu bez firanek.

– Nie jesteśmy już w szkole. Teraz nie wszystko będzie się odbywać równolegle. Ty też niektóre rzeczy odkryjesz wcześniej niż ja.

– Niby co? MDMA?

*

Ostatecznie zawarłam rozejm ze Scottem. Pogodziłam się z tym, że nie zniknie. Zaczęłam spędzać czas z nimi obojgiem i wróciłam na znajome, ciepło przyjmowane stanowisko oficjalnego piątego koła u wozu. To trochę irytujące, że zawsze kończę w tej roli, ale dobrze mi to wychodzi. Przez wszystkie lata obecności na tym świecie tylko kilka spędziłam w związkach. Jestem obeznana i otrzaskana z rolą piątego koła; Dolly Alderton – zawsze u wozu.

Cały wiek nastoletni spędziłam w towarzystwie koleżanek i ich chłopaków. Uśmiechałam się, kiedy żartobliwie przepychali się na kanapach, albo udawałam, że gram w węża na telefonie, gdy lizali się w kącie pokoju. Potrafię świetnie udawać. W ten sposób przeżyłam większość wieczorów przez prawie całą dwudziestkę. Pozwalam im prowadzić spory na niby o to, kto ma załadować albo rozładować zmywarkę. Śmieję się z historyjek o tym, że to drugie chrapie albo się rozpycha. Milczę, gdy z przesadnym ożywieniem omawiają szczegóły z życia ludzi, których w życiu nie widziałam na oczy („NIE WIERZĘ, Priya w końcu nie kupiła tych kafelków?! NIEMOŻLIWE! Po tym wszystkim! Ojejku, przepraszam, wyjaśnij Dolly, kim jest Priya, i streść, proszę, całą historię remontu jej loftu, od początku do końca”). Jestem dowodem na to, że prowadzą interesujące życie, które w dużej mierze mnie nie dotyczy, a jednocześnie potrafię świetnie udawać, że nie wiem, dlaczego decyduję się być piątym kołem, po co się tak śmieję i słucham. Tak naprawdę doskonale jednak zdaję sobie sprawę, że jestem zaledwie afrodyzjakiem w tej grze domowego szczęścia – kiedy sobie pójdę,

zerwą z siebie ubrania, bo tak się podjarali wspólną opowieścią o wakacjach na Filipinach, zwłaszcza tą chwilą, kiedy zapytałam o ulubiony element wycieczki, a oni jednocześnie wymienili nazwę tej samej wyspy. Jestem zaledwie ich publicznością.

Mimo to siedzę i oglądam te przedstawienia, bo nie wyobrażam sobie, że mogłabym dopuścić do alternatywnego rozwiązania – utraty przyjaciół.

Po jakimś czasie ze zdumieniem zorientowałam się, że kiedy Farly i Scott nie odstawiają przede mną podobnych szopek, nieźle się z nim dogaduję. Byłam wręcz na siebie zła, że nie odkryłam tego wcześniej – mogłabym o wiele bardziej cieszyć się jego towarzystwem, gdy odwiedzał nas za czasów mojego mieszkania z Farly, zamiast tylko na niego burczeć. Był inteligentny i zabawny. Czytał gazetę i miał własne zdanie. Okazał się świetnym facetem. Gdy patrzę w przeszłość, wydaje mi się oczywiste, że przyjaciółka wybrała sobie na męża kogoś fajnego. To ja się pomyliłam.

Z entuzjazmem zaangażowałam się w pomoc Farly przy planowaniu wesela. W wolnych chwilach starałam się lepiej poznać znajomych Scotta. W przeszłości podczas wspólnych przyjęć i spotkań zawsze odstawiałam żenujący cyrk, by udowodnić, jak bardzo się od nich różnię. Kiedyś Farly zorganizowała dla nich niedzielny lunch w naszym domu. Upiłam się i zaczęłam wykładać, że „mięso to morderstwo". Innym razem w pubie zarzuciłam jednemu z kolegów Scotta mizoginię, bo skomentował mój wzrost. Gdy jednak Scott i Farly się zaręczyli, z całych sił starałam się być zrelaksowana i uprzejma, żeby naprawdę lepiej ich wszystkich poznać. W końcu to z nimi spędzała teraz większość czasu. Musieli być choć trochę interesujący.

Aż tu nagle, w pewien piątkowy wieczór w sierpniu, wszyscy przestaliśmy myśleć o weselu. Okazało się, że Florence, osiemnastoletnia siostra Farly, jest chora na białaczkę. „Życie się zatrzymało", powtarzał jej tata jak refren przez kolejne miesiące. Ich życie się zatrzymało. Wesele zostało przesunięte o rok. Florence miała być druhną i wszyscy chcieli, by do ślubu czuła się już dobrze. Przez tyle miesięcy miałam obsesję na punkcie tego wesela, a teraz zupełnie przestało mnie interesować.

Miesiąc po diagnozie moja przyjaciółka obchodziła dwudzieste siódme urodziny. Chcieliśmy świętować je razem z nią, by choć na chwilę odciągnąć jej uwagę od choroby siostry, ale była wyczerpana. Każdą wolną chwilę spędzała w szpitalu. Nie chciała pić, przebywać w większym towarzystwie ani opowiadać nikomu, jak sobie radzi. Jej rodzina przesiadywała przy łóżku Florence i nie mogła dotrzeć. Scott podjął decyzję: A.J. i ja przyjedziemy do ich nowego mieszkania i on ugotuje obiad dla naszej czwórki.

Pierwszy raz świętowałyśmy razem urodziny Farly, kiedy miała dwanaście lat. Zdmuchnęła w życiu więcej świeczek przy mnie niż beze mnie. Pamiętam to pierwsze przyjęcie, jakby było wczoraj – wtedy jeszcze była dla mnie tylko koleżanką, z którą siedziałam na matematyce. Tamtego dnia miała na sobie różową sukienkę z Miss Selfridge. Zatańczyłyśmy macarenę w salce katechetycznej w Bushey.

Te urodziny w niczym nie przypominały żadnych wcześniejszych. Nigdy nie widziałam Farly tak drobnej i szczupłej. Była krucha i delikatna jak pisklę. Nie obejmowałyśmy się głośno, nie piłyśmy na umór. Siedzieliśmy w łagodnej ciszy, a Scott starał się najbardziej ze wszystkich.

Wstał wcześnie rano, żeby pojechać na targ rybny, bo A.J. i ja przestałyśmy jeść mięso. Przyrządził przepysznego okonia morskiego z fenkułem i pomarańczami, a do tego pieczone młode ziemniaki. Ułożył wszystko na talerzach, przygryzając język z koncentracją uczestnika *MasterChefa*. Za każdym razem, gdy przechodził obok Farly, całował ją w czubek głowy. Trzymał ją za rękę pod stołem. Zobaczyłam w nim mężczyznę, w którym się zakochała.

Kiedy poszedł do kuchni, napisałam mu SMS-a, że schowałam za kanapą tacę z babeczkami zamiast tortu. Odczekaliśmy, aż Farly pójdzie do toalety, po czym A.J. zabarykadowała drzwi do łazienki krzesłem, a ja gorączkowo rozstawiłam babeczki na półmisku, podczas gdy Scott szukał zapałek.

– CO TAM SIĘ DZIEJE?! – piszczała Farly.

– JEDNĄ CHWILKĘ! – odkrzyknęłam, zapalając świeczki razem ze Scottem.

Odśpiewaliśmy jej *Sto lat* i wręczyliśmy prezenty oraz kartkę z życzeniami. Zdmuchnęła świeczki i roześmiała się głośno, kiedy cała nasza trójka objęła ją jednocześnie.

– Dlaczego to tyle trwało? – spytała. – Piekliście je, kiedy robiłam siku? Tak długo mnie tam trzymaliście, że zaczęłam robić ćwiczenia na uda.

– Jakie ćwiczenia? – zainteresowała się A.J.

– A, przeczytałam gdzieś ostatnio o czymś takim. – Zaczęła robić wykroki, na zmianę opadając i się podnosząc. Ślad dawnych barw wrócił jej na policzki. – Staram się powtarzać kilka serii co rano. Nie żebym widziała różnicę. Dalej mam nogi jak dwie szynki.

A.J. zaczęła ją naśladować sztywnymi ruchami, a Farly instruowała ją niczym na nagraniu z treningu Jane Fondy.

Scott zerknął na mnie z drugiego końca pokoju i posłał mi uśmiech. „Dzięki", powiedział bezgłośnie. Uśmiechnęłam się do niego i nagle uświadomiłam sobie, że teraz mamy własny świat. Powstał między nami niewidzialny wymiar zbudowany z przeszłości, przyszłości i miłości do tej samej osoby. Właśnie wtedy pojęłam, że wszystko się zmieniło: przeszliśmy na inny poziom relacji; on i ja nie wybraliśmy się nawzajem, ale i tak zostaliśmy rodziną.

Kronika złych randek: rachunek na trzysta funtów

Grudzień dwa tysiące trzynastego roku. Jestem na trzeciej randce z przystojnym przedsiębiorcą, którego poznałam na Tinderze. To pierwszy bogaty facet, z jakim się spotykam, i czuję się głęboko rozdarta na myśl o tym, że wydaje na mnie pieniądze. Czasami, gdy uprzejmie płaci za posiłek, jestem mile połechtana, jakby właśnie tak miały wyglądać dorosłe randki. Innym razem odczuwam jedynie frustrację, że miękną mi kolana, kiedy starszy facet z szybkim samochodem i skłonnością do alkoholizmu kupuje mi alkohol z bąbelkami. Ten konflikt manifestuje się niekontrolowaną złością pod jego adresem.

– Nie masz nade mną władzy! – krzyczę bez powodu w restauracji na Mayfair, którą wybrał. Jesteśmy już po trzech butelkach wina. – Nie jestem twoją własnością. Nie będę się stroić jak lalka tylko po to, żebyś stawiał mi homara! Sama mogę go sobie kupić!

Na co on bełkocze w odpowiedzi:

– Proszę bardzo, kotku, to sobie kup.

– Proszę bardzo! – piszczę. – A skoro tak, to sama za WSZYSTKO zapłacę.

Kelnerka przynosi mi rachunek na trzysta funtów.

Idę do łazienki, żeby poprosić moją współlokatorkę A.J., by pożyczyła mi dwieście funtów i natychmiast przelała je na moje konto.

Kronika złych imprez: mój dom w Camden, przyjęcie bożonarodzeniowe w 2014 roku

Przez dwa i pół roku od czasu, gdy zamieszkałyśmy w żółtym domu w Camden, domagałam się imprezy tematycznej, której motywem przewodnim byłby Rod Stewart. Uważam, że Stewart jest doskonałym pomostem łączącym ekstremalny kicz Bożego Narodzenia z beztroską *joie de vivre* domówki dla dwudziestokilkulatków.

Moje współlokatorki, Belle i A.J., niechętnie zgodziły się na mój pomysł, ale podkreśliły, że w żaden sposób nie chcą być odpowiedzialne za jego realizację.

Przygotowania do imprezy zrujnowały mnie psychicznie i finansowo – wdałam się w pogoń za najróżniejszymi gadżetami z motywem Roda Stewarta. Mamy plastikowe kubeczki i popielniczki z jego wizerunkiem, babeczki z cukrowymi nadrukami jego twarzy, naturalnych rozmiarów kartonową sylwetkę Roda Stewarta, znak z Rodem Stewartem wskazujący drogę do łazienki i wielki transparent z Rodem Stewartem i napisem: „WESOŁYCH ŚWIĄT, KOCHANIE!!". Sabrina, India, Farly, Lauren i Lacey przyjeżdżają wcześniej, żeby pomóc mi udekorować cały dom gadżetami z Rodem, po czym wszystkie – razem z Belle i A.J. – dochodzą do wniosku, że to okropna strata kasy.

– O rany – mówię, przyczepiając transparent do ściany; w tym czasie Sabrina przytrzymuje krzesło, na którym stoję. – Właśnie się zorientowałam, że plakaty The Faces nie dotarły na czas. Myślicie, że ktoś zauważy?

– Nie – wzdycha przyjaciółka. – Absolutnie nikt poza tobą tego nie zauważy.

Pierwsi goście pojawiają się punktualnie o dziewiętnastej: to moja czarująca, dość głośna nowa amerykańska koleżanka, którą spotkałam wcześniej tylko raz w życiu, w towarzystwie brodatego chłopaka. Na pierwszy rzut oka widać, że piją od rana. Przyprowadzili ze sobą pieska rasy cavalier king charles spaniel, ubranego w maleńki świąteczny sweterek.

Pozostali zaczynają zbierać się dopiero po dwudziestej pierwszej. Do tego czasu staramy się zająć czymś dwoje pierwszych gości, ale chłopakowi urywa się film na kanapie, a pies rozkłada mu się na brzuchu i nie schodzi stamtąd przez resztę imprezy. Ten obrazek zajmuje honorowe miejsce w pokoju. Znajomi pojawiają się powoli, pojedynczo. Jest trochę sztywno. Facet nadal leży nieprzytomny i przygnieciony psem, co kłuje w oczy już na wejściu. Jeden z gości – kolega kolegi, reżyser teledysków z towarzystwa korpobohemy z Peckham – wchodzi do domu, rozgląda się po dekoracjach, udaje, że musi iść na inną imprezę, o której właśnie sobie przypomniał, i pospiesznie się zmywa.

W połowie wieczoru chowam się w łazience, żeby uciec na chwilę od towarzystwa złożonego z dwóch różnych grup społecznych, które nie mają sobie kompletnie nic do powiedzenia. *You Wear It Well* leci w kółko w tle, a ludzie narzekają, że nie gra nic poza hitami Roda Stewarta. A.J. i Belle też są ze mną. A.J. siedzi na toalecie, Belle na skraju wanny. Rozmawiamy o tym, jak beznadziejna jest ta impreza. Zastanawiamy się, co zrobić, żeby ludzie już sobie poszli. A.J. mówi, że musi się położyć na dziesięć minut, bo jest zmęczona i ma wszystkiego dosyć. Ktoś puka do drzwi. Do łazienki wchodzi mój brat.

– Dziwne towarzystwo się tam zebrało – stwierdza.

Kiedy wracam na dół, odkrywam, że liczba gości jeszcze się zmniejszyła. Nagle widzę wysokiego skina w skórzanej bomberce, grzebiącego w naszej lodówce.

– Ee, hej! A ty kim jesteś? – pytam.

– Powiedzieli mi, żebym przyszedł – odpowiada z twardym rumuńskim akcentem, popijając piwo z puszki, którą właśnie się

poczęstował. – Z dostawą.

– Z dostawą?

– Tak – potwierdza koleś, posyłając mi konspiracyjne spojrzenie. – Z dostawą.

– Okej, czy mógłbyś… – prowadzę go do drzwi wejściowych – … poczekać tutaj? Dzięki.

Mijam Amerykankę, która ku zdumieniu pozostałych gości teraz tańczy z psem w sweterku przytulańca do dźwięków *Sailing*. Jej chłopak od dobrych trzech godzin leży nieprzytomny na kanapie.

– OKEJ, CHYBA PRZYSZEDŁ CZYJŚ DILER – oznajmiam zirytowana. – Wybaczcie, że psuję imprezę, nie żebym miała komuś za złe, że w takich okolicznościach ma potrzebę się naćpać, ale czy mogłabym prosić, żeby dilerzy czekali na zewnątrz albo przynajmniej w korytarzu?

Impreza kończy się niedługo po północy.

*

Następnego ranka Belle i ja zawiązujemy dwuosobową komisję śledczą, by ustalić, jakim cudem wszystko poszło aż tak źle.

Sugeruję, że włożyłam zbyt wiele wysiłku w przygotowania do wydarzenia, a to wyznaczyło nierealistyczny próg oczekiwań.

– Impreza z piekła Rodem – wzdycha Belle, kiwając mądrze głową.

Przez jakiś czas trzymamy kartonową sylwetkę Roda Stewarta w salonie. Ubieramy go w tematyczne akcesoria – różowy stanik, kiedy wybucha skandal z lordem Sewelem i prostytutkami, albo w kapelusz leprechauna na Dzień Świętego Patryka. Gdy osiem miesięcy później się wyprowadzamy i pakujemy swoje rzeczy, zabieramy wszystko oprócz tekturowego Roda, by przekazać w ten sposób klątwę złych imprez przyszłym lokatorom.

Przepis: kanapka na pocieszenie po tym, jak wykopali cię z klubu *(na dwie osoby)*

Swego czasu jadana regularnie z A.J., podczas gdy siedziałyśmy na kuchennym blacie, machając nogami i głośno wyrażając oburzenie na tego buca na bramce, który powiedział, że jesteśmy zbyt pijane, by wrócić do klubu, i że „zawiodłyśmy resztę grupy".

– 2 jajka
– 4 kromki chleba (najlepiej na zakwasie, biały tostowy też może być)
– majonez
– musztarda dijon
– rukola (opcjonalnie)
– oliwa z oliwek i masło do smażenia
– sól i pieprz do smaku

Usmaż jajka na oliwie z oliwek i odrobinie masła; polej żółtka tłuszczem raz lub dwa razy, żeby się trochę ścięły.

Posmaruj jedną kromkę każdej kanapki majonezem, a drugą musztardą.

Włóż do środka jajko sadzone i garść rukoli. Przypraw solą i pieprzem.

Zjedz wszystko na pięć żarłocznych gryzów. Upaćkaj się musztardą na twarzy.

Przelej jakikolwiek znaleziony w domu alkohol do dwóch czystych naczyń (zazwyczaj sięgałyśmy po starą butelkę wódki o smaku toffi, którą Farly dostała na święta w dwa tysiące dziewiątym roku i trzymała na dnie zamrażarki).

Puść płytę Marvina Gaye'a.

Kronika złych randek: jak przelizałam się z facetem na trzeźwo przed południem

Wiosna dwa tysiące czternastego roku. Po pięciu godzinach snu budzę się na dźwięk budzika. Jest sobota, dziewiąta rano. Na WhatsAppie czeka wiadomość od seksownego Amerykanina o imieniu Martin: „Hej, laleczko, kawa aktualna?". Mam wrażenie, że ktoś wywrócił mi głowę na lewą stronę niczym brudną skarpetę, ale zapewniam, że przyjdę. Trzy dni temu spiknęliśmy się na Tinderze i od tamtej pory bez przerwy wymieniamy się wiadomościami w rodzaju: „Nie wierzę, ja też właśnie ten album Springsteena lubię najbardziej!", „O, ja też wierzę w reinkarnację!", „Tak, może wszyscy jesteśmy wędrowcami" i tak dalej. W chwili, kiedy przetrząsam pokój w poszukiwaniu wczorajszych sztucznych rzęs, jestem pewna, że przed końcem tygodnia Martin zostanie moim chłopakiem, a w przyszłym miesiącu przeprowadzę się z nim do Seattle. To jedyne logiczne rozwiązanie, jakie może narodzić się w głowie skacowanej singielki, która wstydzi się, że poprzedniej nocy wypadła z autobusu „małżeństwo i emigracja".

Strój: gigantyczny wełniany sweter, który zwisa ze mnie jak sukienka, do tego dżinsowe szorty – bo wszystkie spodnie są brudne – i białe tenisówki.

– Bez kurtki? – skrzeczy moja sponiewierana współlokatorka A.J., kiedy biegiem wymijam ją na schodach.

– Nie ma potrzeby – rzucam lekko.

– Przy okazji: ŚMIERDZISZ baileysem! – woła za mną, kiedy zamykam drzwi.

Martin siedzi przy barze w Caravan King's Cross. Na szczęście wygląda identycznie jak na zdjęciach. Gdy podchodzę, pisze akurat coś w notesie. Uznaję, że to poza na zagubioną duszę i nomadę – właśnie tak się kreuje na swoim ekscentrycznym koncie na Instagramie (zdążyłam go już wyszpiegować).

– Co piszesz? – pytam, zaglądając mu przez ramię. Odwraca się i patrzy na mnie z uśmiechem.

– Nie twój interes – odpowiada i całuje mnie w oba policzki. Już ostro ze sobą flirtujemy, choć jeszcze nawet nie wypiliśmy kawy, nie mówiąc już o sześciu piwach. Może to dlatego, że jest Amerykaninem.

Martin opowiada mi historię swojego życia: jest ilustratorem z Seattle, dobija czterdziestki, zarobił mnóstwo kasy za duże zlecenie i postanowił wydać ją na rok podróży po świecie, żeby napisać w tym czasie książkę. Uprawia „tinderową turystykę", żeby poznawać ludzi. Jest w Anglii od miesiąca; zamierza spędzić jeszcze kilka tygodni w Londynie, a potem znów wyrusza w drogę.

(Uwaga na marginesie: zauważyłam, że odpowiada wymijająco, kiedy pytam, o czym będzie jego nowa książka, wyznał jedynie, że to reportaż. Nie umknęło też mojej uwadze, że zrobił kilka notatek, gdy mówiłam. Zabrał ze sobą notes do łazienki i siedział tam dość długo. Uznałam, że a) jego jelita źle zareagowały na kofeinę i potrzebuje trochę czasu sam na sam ze swoimi myślami; b) ceni sobie prywatność i wyczuł, że jestem wścibską, skacowaną panną bez cienia samokontroli i pod jego nieobecność przeczytam, co napisał; c) napisał coś żenującego, na przykład kosmiczną listę zakupów albo z iloma osobami się przespał, i nie chciał, żebym się o tym dowiedziała; d) pisze książkę o wszystkich kobietach, z którymi umawiał się w Anglii, a ja jestem kolejna. Uznałam, że na pewno chodzi o tę ostatnią opcję, i do dziś czekam, aż na półkach sieci księgarń Waterstones pojawi się książka zatytułowana *Córy Albionu. Jak poznałem angielskie kobiety* i znajdę w niej kompromitujący akapit na swój temat).

Po kawie siadamy przed wejściem na ławce i spoglądamy na fontanny tryskające wodą w pornograficznym rytmie, a on cytuje Hemingwaya, co jak dla mnie jest już trochę przegięciem, ale

podoba mi się lekka atmosfera tej randki, więc nie protestuję. Martin wyciąga kolejny notes, tym razem pełen narysowanych map krajów, które zwiedził. Swoją trasę oznaczył cukierkowymi śladami stópek. Pytam, czy ma dziewczynę w każdym porcie. Śmieje się i mówi, że „coś w tym jest", z tym swoim irytującym, uroczym akcentem.

Bierze mnie za rękę i prowadzi w dół po schodach aż do kanału przed akademią sztuk pięknych Central Saint Martins. Spacerujemy przez chwilę, aż stajemy pod najbliższym mostem, a on rozpina kurtkę, przyciąga mnie do siebie i otula jej połami. Całuje mnie w głowę, policzki, szyję i wargi. Całujemy się przez pół godziny.

Jest jedenasta rano.

Martin i ja rozstajemy się o jedenastej trzydzieści, dziękując sobie za uroczy poranek. O dwunastej trzydzieści jestem już z powrotem w łóżku i przesypiam całe popołudnie. Kiedy budzę się o czternastej, jestem pewna, że to wszystko mi się przyśniło.

Tak jak można było przewidzieć, po spotkaniu Martin znika z radaru, a gdy znów się odzywa, nie udziela jednoznacznej odpowiedzi, kiedy chciałby się spotkać na kolejną randkę. Tydzień później piszę do niego na WhatsAppie, zachęcona namowami przyjaciół i wiadrem spożytego prosecco. Wysyłam mu pełną błędów wiadomość, w której pytam, czy „mogę być z nim szczera", i proponuję nawiązanie „platonicznej relacji seksualnej" na czas jego pobytu w Londynie. Sugeruję, że mogę zostać „jego dziewczyną w londyńskim porcie". Dodaję, że „właśnie tak postąpiłby Hemingway".

Martin już nigdy więcej się do mnie nie odezwie.

Wszystko, co wiedziałam o miłości w wieku dwudziestu pięciu lat

Mężczyźni uwielbiają kobiety, które trzymają ich na dystans. Każ im czekać na seks do piątej randki, w ostateczności do trzeciej, w ten sposób utrzymasz ich zainteresowanie.

To irytujące, ale ukochani przyjaciółek nigdzie sobie nie pójdą. W dodatku większość nie będzie ani trochę przypominać facetów, z jakimi je sobie wyobrażałaś.

Pończochy i pasy do nich można znaleźć tanio i hurtem na eBayu.

Randkowanie online jest dla frajerów i siebie również umieszczam w tej kategorii. Bądź nieskończenie podejrzliwa wobec ludzi, którzy wydają pieniądze na żenujący profil na portalu randkowym.

Zapomnij, co powiedziałam wcześniej o korzystaniu z kremu do depilacji. Jeśli ogolisz się na zero, zawiedziesz całe siostrzeństwo. Musimy walczyć z patriarchalną kontrolą nad żeńską anatomią.

Nigdy nie wybieraj tak dobrego albumu jak *Blood on the Tracks* na „naszą płytę” z facetem, bo jeszcze wiele lat po zerwaniu nie będziesz w stanie tego słuchać. Nie popełniaj takiego błędu w wieku dwudziestu jeden lat.

Jeśli facet cię kocha, bo jesteś szczupła, to w ogóle nie jest mężczyzną.

Jeśli wydaje ci się, że chcesz z kimś zerwać, ale utrudniają ci to kwestie praktyczne, wykonaj prosty test: wyobraź sobie, że mogłabyś wejść do specjalnego pokoju i nacisnąć wielki czerwony guzik, który zakończy związek bez żadnych utrudnień. Zero płaczu, rozmów o rozstaniu, zabieraniu swoich rzeczy z jego domu. Zrobiłabyś to? Jeśli odpowiedziałaś „tak”, to musisz z nim zerwać.

Jeśli czterdziestopięcioletni facet od zawsze jest singlem, to z pewnością jest po temu ważny powód. Nie czekaj, aż go odkryjesz.

Nie ma gorszego uczucia niż wtedy, kiedy słyszysz, że ktoś z tobą zrywa, bo już go nie pociągasz.

Zawsze przyprowadzaj faceta na noc do siebie. W ten sposób możesz go sprytnie zatrzymać na śniadanie i przekonać, żeby się w tobie zakochał.

Przypadkowy seks rzadko bywa dobry.

Z powodu udawania orgazmów będziesz miała wyrzuty sumienia, a poza tym to nie fair wobec faceta. Nie używaj tej sztuczki zbyt często.

Niektóre kobiety mają szczęście, inne nie. Na świecie są dobrzy i źli faceci. Na kogo trafisz i jak będziesz traktowana, to tylko kwestia szczęścia.

Najlepsze przyjaciółki porzucą cię dla facetów. To będzie długie, powolne pożegnanie, ale pogódź się z tym i znajdź sobie nowych znajomych.

W długie, samotne, bezsenne noce, kiedy lęki będą ci pełzać po mózgu jak karaluchy, uciekaj w marzenia o czasach, kiedy byłaś kochana. „To było w innym życiu, harówy pełnym i krwi”[4]. Przypomnij sobie, jakie to uczucie ukryć się w czyichś ramionach. Nie trać nadziei, że jeszcze tego doświadczysz.

4 Bob Dylan, *Schronienie przed burzą* (*Shelter From The Storm*), przeł. Filip Łobodziński.

Powody, dla których warto i nie warto mieć chłopaka

Powody, żeby mieć chłopaka

– Większe szanse na prawdziwy tort urodzinowy
– Dostęp do Sky TV?
– Temat do rozmów
– Partner do rozmów
– Niedzielne popołudnia
– Więcej współczucia, kiedy naprawdę coś sknocisz w pracy
– Masz kogoś, kto złapie cię za tyłek w kolejce po popcorn
– Jednoosobowe wakacje są bardzo drogie
– I nie da się samodzielnie rozprowadzić olejku do opalania na plecach
– Czasami nie da się w pojedynkę zjeść całej dużej pizzy
– Może mieć samochód
– Przyjemnie jest zrobić kanapkę komuś poza sobą
– Przyjemnie jest pomyśleć o kimś poza sobą
– Regularny seks bez dziwnych sytuacji
– Cieplej w łóżku
– Każdy go ma
– Jeśli będziesz go miała, ludzie pomyślą, że zasługujesz na miłość
– Jeśli nie będziesz go miała, ludzie pomyślą, że jesteś płytka i dysfunkcyjna
– Ulga, że nie trzeba z nikim flirtować
– Lęk przed śmiercią w samotności, pustką itp.

Powody, żeby nie mieć chłopaka

– Wkurzają cię wszyscy poza tobą
– „Dyskusje”
– Prawdopodobnie nie będzie lubił Morrisseya
– Na pewno nie będzie lubił Joni Mitchell
– Zauważy, kiedy będziesz wyolbrzymiać jakąś historię
– Trzeba chodzić do Finsbury Park na nudne imprezy urodzinowe jego znajomych
– Trzeba słuchać, co robiłaś wczoraj wieczorem, kiedy się upiłaś
– Dzielenie się deserem
– Konieczność oglądania sportu na żywo lub w telewizji
– Konieczność spędzania czasu z dziewczynami jego kolegów i gadania z nimi o *The Voice*
– Ciągłe chodzenie od mieszkania do mieszkania z majtkami w torebce
– Trzeba szczerze mówić o uczuciach
– Trzeba ciągle mieć czysto w pokoju
– Mniej czasu na czytanie
– Trzeba ciągle mieć naładowany telefon, żeby facet nie zastanawiał się, czy żyjesz
– Prawdopodobnie będzie ci brakowało flirtowania z innymi
– Włosy wszędzie w łazience

Ulica Tottenham Court i zamawianie śmieci z Amazona

Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, pod koniec lata, które spędzałam na występach na festiwalu teatralnym w Edynburgu – wiedząc, że już za chwilę będę musiała wrócić do domu, znaleźć pracę i zacząć dorosłe życie – wyszłam z przyjaciółką, by świętować jej trzydzieste urodziny. Hannah była reżyserką skeczu komediowego, w którym występowałam. Razem z dwójką pozostałych aktorów zabraliśmy ją do eleganckiej restauracji, by uczcić tę okazję. W dniach poprzedzających urodziny Hannah rzucała mgliste uwagi o strachu przed trzydziestką, ale wszyscy uznaliśmy, że przesadza.

W połowie kolacji odłożyła sztućce i zaczęła płakać.

– Boże, Hannah, naprawdę się tak przejmujesz? – spytałam, natychmiast żałując, że wręczyłam jej kartkę z napisem „Wszystkiego najlepszego, babciu".

– Starzeję się – odparła. – Czuję to. W całym ciele. Już zaczyna wolniej działać, a z czasem będzie jeszcze gorzej.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda! – zaprotestowała kilka lat starsza od niej Margaret, ale Hannah wciąż szlochała. Nie mogła złapać tchu, łzy kapały jej na talerz. – Chcesz stąd wyjść? – zasugerowała Margaret, głaszcząc ją po plecach, a ona pokiwała głową.

Ruszyłyśmy wzdłuż Princes Street. Gadałyśmy o głupotach, starając się podtrzymać lekki ton rozmowy i odciągnąć uwagę przyjaciółki od targających nią uczuć, ale ona nagle zatrzymała się na środku chodnika i ukryła głowę w dłoniach. Jej płacz zmienił się w skowyt.

– Czy to już to? – krzyknęła do nas w ciemności. – Czy naprawdę do tego sprowadza się życie?

– Do czego się sprowadza? – spytała Margaret łagodnie, obejmując ją ramieniem.

– Kurwa… Do łażenia po Tottenham Court i kupowaniu badziewia na Amazonie – odparła Hannah.

Przez wiele lat te słowa tkwiły mi w mózgu jak samoprzylepna karteczka, której nie mogłam z siebie strząsnąć. Wisiały nade mną jak prowadzona szeptem rozmowa między rodzicami, której nie rozumiesz, ale wiesz, że jest bardzo ważna. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego akurat te dwie konkretne rzeczy – ulica Tottenham Court i Amazon – mogą wywołać w kimś taki smutek.

– Zrozumiesz, kiedy nie będziesz miała dwudziestu jeden lat – odparła Hannah, gdy kiedyś ją o to spytałam.

Po dwudziestych piątych urodzinach wreszcie pojęłam sens i podtekst tego zdania. Wtedy człowiek zaczyna się zastanawiać, czy życie rzeczywiście sprowadza się tylko do czekania na autobus przy Tottenham Court w centrum Londynu i do zamawiania na Amazonie książek, których nigdy w życiu nie przeczyta. W skrócie – nadchodzi kryzys egzystencjalny. Dociera do ciebie, jak nużące i monotonne jest życie. Wreszcie pojmujesz, że to wszystko właściwie nie ma sensu. Wyprowadzasz się z fantazji „kiedy dorosnę" i pojmujesz, że to już się dzieje i nie wygląda tak, jak się spodziewałaś. Nie jesteś tą osobą, którą sądziłaś, że będziesz.

Gdy człowiek zaczyna kopać pod sobą dołek takimi pytaniami, trudno jest traktować poważnie czynności, z których składa się codzienność. Dwudziesty piąty rok życia spędziłam w okopach z własnych myśli i pytań bez odpowiedzi. Co jakiś czas wyglądałam na chwilę z mroków egzystencjalnego niepokoju i patrzyłam, jak ludzie zabiegają o coś, na czym też dawniej mi zależało: o nowe fryzury, gazety, imprezy, kolacje, styczniowe wyprzedaże na Tottenham Court, promocje na Amazonie. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym wypełznąć ze swojej dziury i jakimś cudem znów zanurzyć się w tym wszystkim.

Na jakiś czas zrezygnowałam z alkoholu w nadziei, że to wystarczy, by złagodzić skoki nastrojów, lecz na trzeźwo jeszcze więcej

o wszystkim rozmyślałam. Próbowałam randkowania na Tinderze, ale zawierane znajomości – głównie platoniczne – sprawiały, że czułam się jeszcze bardziej zniechęcona i pusta. Dawny entuzjazm i koncentracja na pracy zaczęły się ulatniać. Moje współlokatorki, A.J. i Belle, często znajdowały mnie w pokoju zapłakaną, owiniętą ręcznikiem po prysznicu, który wzięłam trzy godziny wcześniej. Nie potrafiłam przed nikim nazwać uczuć, jakie mną targały; mnóstwo czasu spędzałam w samotności. Całe moje ciało wibrowało od obojętności, niezadowolenia i lęku – czułam w sobie niskie, rozpraszające buczenie, jakby wiecznie wirowała we mnie zepsuta pralka. Cała sytuacja sięgnęła zenitu na początku lata, gdy Dilly powiedziała mi, że powinnam zrezygnować z pracy i zająć się tylko pisaniem. Nie miałam pojęcia, jak wobec tego mam zarabiać pieniądze i co ze sobą począć. Wkrótce później A.J. oznajmiła, że wyprowadza się do swojego chłopaka – mniej niż rok po odejściu Farly. Miałam depresję, straciłam pracę i współlokatorkę.

*

Odpowiedź oczywiście czekała tuż za rogiem i była taka sama jak w życiu każdej dwudziestoparoletniej singielki ze skłonnością do dramatyzowania: czas przeprowadzić się do innego miasta. Zawsze uwielbiałam Nowy Jork i często odwiedzałam tam Alex, która pozostała moją bliską przyjaciółką nawet wiele lat po tym, jak jej brat Harry się ze mną rozstał. Kiedy się zaręczyła, poprosiła, bym została druhną na jej ślubie, który wypadał akurat tego lata, gdy doszło do kulminacji mojego życiowego niezadowolenia. Stwierdziłam, że to znak od losu. Alex i jej narzeczony powiedzieli, że Farly i ja możemy zatrzymać się za darmo w ich mieszkaniu na Lower East Side na czas ich podróży poślubnej. Kupiłyśmy bilety na samolot, zarezerwowałyśmy hotel na wesele i zaplanowałyśmy dwudniowy wypad w góry Catskill pod koniec dwutygodniowych wakacji. Nie mogłam w to uwierzyć – moje pierwsze wakacje za granicą z Farly. Uznałam, że to dobra okazja, by zrobić rekonesans w moim potencjalnie nowym domu: zapoznać się z nowojorską

codziennością i ludźmi, a także zastanowić się, jak wpisuję się w ten obraz.

Na tydzień przed wylotem u Florence wykryto białaczkę. Farly uznała, że powinna zostać w domu, by wspierać siostrę i resztę rodziny, co było zupełnie zrozumiałe. Spytałam, czy chce, żebym była przy niej, ale powiedziała, że powinnam jechać do Stanów na zasłużony odpoczynek.

Pierwsze dwa dni w Nowym Jorku porwał radosny huragan obowiązków druhny. Na wesele przyjechał cały brytyjski kontyngent Alex, a ostatnie dni poprzedzające ceremonię upłynęły na szykowaniu dekoracji z kwiatów, zdobieniu krzeseł, odbieraniu ubrań z pralni i odświeżaniu starych znajomości. Tęskniłam za Farly, ale potrzebowałam tego tętniącego życiem cudownego gwaru, który odciągał myśli od zmartwień.

Na wesele włożyłam czarną sukienkę na ramiączkach z głębokim rozcięciem na udzie (Alex zachęciła mnie do takiego stroju; wiedziała, że bardzo potrzebuję wakacyjnego romansu, a mojej uwadze nie uszedł fakt, że pierwszy raz od lat spotkam się z Harrym). Wesele odbywało się na Brooklynie, w sali przerobionej z dawnego magazynu. Na początku imprezy odczytałam wiersz *Pasterz zakochany*. Kiedy doszłam do wersu „Nie żałuję niczego, czym byłem dawniej, bo nadal żyję – szkoda mi tylko, że cię wcześniej nie kochałem", nie mogłam powstrzymać łez. Rozpłakałam się na myśl o miłości, jaka łączyła Alex z mężem, ale też dlatego, że dopiero w tamtej chwili uświadomiłam sobie, jak samotna czułam się przez ostatni rok.

Byłam jedną z dwóch singielek na imprezie, uznałam więc za wielkie szczęście fakt, że zostałam posadzona obok jedynego faceta bez pary – barczystego Walijczyka, który zarabiał na życie budowaniem mostów.

– Niezły wiersz – zwrócił się do mnie z seksownie unoszącym się i opadającym, śpiewnym akcentem. – I nieźle pomyślane z tymi łzami pod koniec.

– Nie planowałam tego! – zaprotestowałam.

– Ale sukienkę już na pewno dobrze przemyślałaś – odparł z uśmiechem.

Piliśmy jeden kieliszek negroni za drugim, zajadaliśmy się kurczakiem smażonym na głębokim oleju i makaronem z serem, a przy tym flirtowaliśmy tak, jak można to robić tylko w sytuacji, kiedy jest się jedyną parą singli na weselu. Przeprowadziliśmy drobiazgową dyskusję na temat wszystkich naszych ulubionych mostów w Wielkiej Brytanii. Podawałam mu deser swoim widelcem. On mnie dopingował, gdy wstałam, by wygłosić przemówienie, i puścił do mnie wtedy oko. Zachowywał się tak, jakby od lat był moim chłopakiem. Nasza relacja nabrała rumieńców szybciej, niż sportowe auto dobija od zera do setki (w sposób możliwy do zaakceptowania wyłącznie w sytuacji, gdy jest się jedyną parą singli na weselu).

Tuż przed pierwszym tańcem mój Walijczyk zniknął, by odebrać telefon na zewnątrz. Alex – w wianku z róż i długiej białej sukni z kimonowymi rękawami, w której wyglądała jak odziana w jedwab postać z obrazów prerafaelitów – poprowadziła męża na parkiet. Rozległy się pierwsze dźwięki najbardziej romantycznej piosenki, jaką w życiu słyszałam – *Sea of Love* Phila Phillipsa. Doskonały kawałek do prawdziwego, słodkiego jak landrynka pierwszego tańca.

Podczas refrenu wszyscy goście dołączyli do pary młodej; dziesiątki par, w tym Harry z nową dziewczyną, kołysały się i uśmiechały przy dźwiękach uroczo sentymentalnego utworu. Ja siedziałam poza tym zaczarowanym kręgiem i zaglądałam do środka. Próbowałam wyobrazić sobie, jak to jest czuć się bezpiecznie z kimś, z kim chodzi się do łóżka – ta idea wydawała mi się zupełnie obca. Wpatrywałam się w wąskie szczeliny między tańczącymi ciałami i wyobrażałam sobie wspólnie napisane historie tych osób, ich wspomnienia, język, zwyczaje, zaufanie i marzenia na przyszłość, o których rozmawiają, gdy do późna siedzą na kanapie i piją wino. Zastanawiałam się, czy kiedyś ja też doświadczę tego rodzaju poczucia wspólnoty – i czy nadaję się do pływania w morzu miłości. Czy w ogóle tego chcę. Nagle poczułam lekkie stukanie w ramię. Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam jedną z druhen, Octavię. Uśmiechnęła się i podała mi rękę. Zaprowadziła mnie na parkiet; tańczyłyśmy razem do końca piosenki.

Później jeszcze łapczywiej rzuciłam się na negroni. Gdy wyszłam na papierosa i zastałam na dworze swojego Walijczyka, byłam już na tyle ośmielona campari chlupoczącym w moich żyłach, że przyparłam go do ceglanej ściany i pocałowałam.

– Nie mogę – zaprotestował, odsuwając się ode mnie.

– Dlaczego? – nie ustępowałam.

– Nieważne – wymamrotał. – Po prostu nie mogę.

– Nie – wybełkotałam. – To… To nie może się tak skończyć. Przyjechałam na wakacje do Nowego Jorku, jestem zdołowaną druhną w zdzirowatej sukience; nawet zapłaciłam w pralni, żeby jeszcze pogłębili mi to rozcięcie na udzie. Jesteś moim wakacyjnym romansem, okej? To już postanowione.

– Nie mogę. Bardzo bym chciał, ale nie mogę.

– No to o co chodziło z tym… – Udałam, że wkładam mu ciasto do ust. – I z tym… – dodałam, z teatralną przesadą puszczając do niego oko.

– Ja tylko… flirtowałem – odparł bezradnie.

– Aha. Okej, zmarnowałeś mój czas. Zdajesz sobie sprawę, że siedziałam obok szalenie interesującej, inteligentnej aktorki? Bardzo chętnie bym z nią porozmawiała. Sprawiała wrażenie fascynującej osoby, a ja przez cały wieczór zamieniłam z nią może trzy słowa, bo byłam zbyt zajęta zabawą w twoją pannę.

– No to bardzo przepraszam, że tak zmarnowałem twój czas! – fuknął urażony Walijczyk, odchodząc z powrotem na imprezę.

*

Następnego dnia pojechałam do Chinatown, do mieszkania Alex i jej nowego męża, by pożegnać ich przed wyjazdem na miesiąc miodowy i wznieść wspólny toast na dachu budynku. Zaczęliśmy wymieniać się plotkami z wesela, które szybko wyjaśniły przyczynę sprzecznych sygnałów, jakie odbierałam od Walijczyka (oczywiście miał dziewczynę).

Alex oprowadziła mnie po mieszkaniu i dała klucze.

– Dasz sobie radę? – spytała.

– Nic mi nie będzie.

– Masz numer do Octavii? Jest w mieście do końca miesiąca, więc w razie czego nie będziesz sama.

– Spokojnie, dobrze mi zrobi nieco samotności. Zapoznam się trochę z Nowym Jorkiem. Zapowiada się świetna przygoda.

– Dzwoń, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała – dodała Alex, obejmując mnie na pożegnanie.

– Nie ma mowy! Jedź do Meksyku, pływaj nago w morzu, pij tequilę i pieprz się do nieprzytomności – nakazałam.

Następnego dnia wstałam rano, nakarmiłam dwa czarne koty, podlałam rośliny wedle instrukcji i usiadłam nad notesem, by zaplanować resztę pobytu i zrobić listę wszystkiego, co zamierzam zrobić i zobaczyć.

Był tylko jeden problem: magazyn, z którym współpracowałam, spóźniał się z zapłatą za dwa ostatnie teksty. W sumie byli mi winni prawie tysiąc funtów, które zamierzałam przeznaczyć na wydatki w Nowym Jorku. Miałam trzydzieści cztery funty na koncie i przed sobą jedenaście dni w Nowym Jorku. Taka sytuacja nie była niczym zaskakującym; odkąd pracowałam jako freelancerka, często musiałam domagać się płatności przez dobre trzy miesiące po publikacji tekstu i wystawieniu rachunku, nigdy wcześniej nie potrzebowałam jednak pieniędzy aż tak pilnie. Zadzwoniłam do redaktorki, która odesłała mnie do księgowości, a tam przerzucano mnie od jednej osoby do drugiej, by namierzyć przeterminowaną płatność. Przez godzinę leżałam na łóżku Alex z telefonem ustawionym na tryb głośnomówiący, słuchałam ryczącej z głośnika metalicznej muzyczki, a połączenie międzynarodowe z minuty na minutę nabijało mi coraz wyższy rachunek. Ostatnia osoba, z którą rozmawiałam, oznajmiła w końcu, że zapłacą mi „wkrótce".

Bez pieniędzy i znajomych Nowy Jork szybko stał się zupełnie innym miejscem niż podczas wcześniejszych wizyt, kiedy przyjeżdżałam na wakacje do Alex. To nie jest dobre miasto do życia dla kogoś, kto jest spłukany. W przeciwieństwie do Londynu nowojorskie muzea i galerie sztuki są biletowane – wstęp do większości z nich kosztuje dwadzieścia pięć dolarów, a to natychmiast pochłonęłoby resztkę moich funduszy. Był sam środek sierpnia i żar lał się z nieba, nie mogłam wiecznie spacerować ani

siedzieć w parku. Miasto, które tak uwielbiałam i w którym zawsze czułam się mile widziana, teraz próbowało się mnie pozbyć. Kiedy chodziłam po Piątej Alei i patrzyłam na drapacze chmur, miałam wrażenie, że to wielkie, przerażające potwory chcące przegonić mnie na lotnisko JFK.

Zaczęłam dostrzegać wszystkie drobne elementy, które okazały się irytujące, choć nigdy wcześniej mi nie przeszkadzały. Uświadomiłam sobie, jak nieintuicyjne i niepraktyczne jest tutejsze metro. W Londynie wszystkie linie mają wyraźne kolory, a czasem również królewsko brzmiące nazwy (Jubilee, Victoria, Piccadilly), tutaj tymczasem nadano im najbardziej mdłe, niemożliwe do rozróżnienia nazwy, jakie tylko mógł wymyślić człowiek (A, B, C, 1, 2, 3 itd.). B łatwo pomylić z D, a jedynkę z trójką. Nie da się zapamiętać, w którą literę czy cyfrę należy wsiąść – wszystko trzeba mieć zapisane. Na wielu stacjach pociągi jeżdżą raz na dziesięć minut, zatem w razie trzech przesiadek i dużego pecha należy doliczyć do czasu podróży pół godziny stania na rozgrzanych do białości peronach. Jakby to nie było jeszcze dość frustrujące, na większości peronów nie ma żadnych tablic informujących, kiedy nadjedzie kolejny pociąg.

Do tego doszli nowojorscy ludzie czołgi – te głośne, rozpychające się i nieprzyjemne indywidua w supermarketach, kawiarniach i kolejkach. Tacy ludzie albo są strasznie nieuprzejmi, albo próbują sprawić, że odkryjesz „prawdziwy Nowy Jork". Może w czasach, gdy czułam się bezpieczna i szczęśliwa, uważałam to za zabawne, teraz jednak, w chwili osamotnienia, nie mogłam znieść ich wrzasków. „EJ, SUŃ SIĘ, PANI, TĘDY LUDZIE CHODZĄ!", szczeknął na mnie kelner w Katz's Deli, kiedy stanęłam przy ladzie, żeby zamówić bajgla.

W Nowym Jorku ciągle ktoś mnie popychał. Poza tym nigdy wcześniej nie przytłaczały mnie tak bardzo wszechobecne ambicje napędzające to miejsce. Każdy tutaj ma swoją niecierpiącą zwłoki misję, nikt nie patrzy nikomu w oczy. Ludzie prą przed siebie niczym tarany, wymachując rękami jak maszerujący żołnierze, krzycząc do zestawów słuchawkowych. Nawet romanse są tu kwestią ambicji; całe jedno popołudnie spędziłam w kawiarni, podsłuchując dwie przyjaciółki trajkoczące o tym, jak zamierzają poznać nowych

facetów. W ich ustach brzmiało to jak operacja wojskowa – daty, numery, matematyczne wyliczenia, zasady.

Jezu, zasady! Nigdy dotąd nie zwracałam uwagi na to, jaką obsesję nowojorczycy mają na punkcie zasad. Któregoś dnia zostałam zbesztana za to, że wzięłam do ręki pomarańczę i powąchałam ją przed kupieniem. Innym razem ktoś skarcił mnie podczas wizyty w Apthorp (ukochanym budynku Nory Ephron, o którym napisała esej), bo stanęłam za blisko ozdobnej fontanny na podwórzu. Nie uważałam się wcześniej za jakąś szczególną anarchistkę, ale nowojorscy stróże porządku wyzwalali we mnie wszystko, co najgorsze.

Do tego dochodzą obojętni na wszystko hipsterzy. Wszyscy ci ludzie, którzy podają dobrą kawę albo pracują w modnych sklepach. Kiedy słyszeli żart, zawsze odpowiadali sucho: „To najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem" – bez cienia uśmiechu na twarzy. Mierzyli mnie wzrokiem tak długo, aż zaczynałam się czuć niekomfortowo. Zachowywali się jak ci palanci z londyńskiego Hackney, ale bez cienia autorefleksji, humoru czy cynizmu. Nowojorscy hipsterzy przed trzydziestką zaliczają się do najzimniejszych i najmniej przyjaznych ludzi, jakich w życiu poznałam.

Tydzień po rozpoczęciu wielkiej nowojorskiej przygody wreszcie pojęłam, że każde miejsce jest królestwem wspomnień i relacji międzyludzkich; krajobraz stanowi zaledwie odzwierciedlenie samopoczucia. W tym mieście ogarniała mnie jeszcze większa pustka, smutek i zmęczenie niż wtedy, gdy byłam w domu. Fantazje o przeprowadzce bladły z dnia na dzień. Dopadło mnie zdradliwe olśnienie, że „Tottenham Court i Amazon" pociągną się za mną wszędzie – na wakacjach byłam równie niespełniona, co we własnym mieszkaniu. Gdy kupowałam bilet na samolot, sądziłam, że wybieram się na urlop od własnej głowy, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Sceneria na zewnątrz się zmieniła, ale przestrzeń we mnie wyglądała dokładnie tak samo: czułam niepokój, zagubienie i niechęć do samej siebie.

Któregoś wieczora rozłożyłam się na kanapie Alex z butelką poweselnego prosecco (powiedziała, że mogę się częstować)

i spędziłam cały wieczór, próbując kogoś poznać jako „tinderowa turystka". Przesunęłam w prawo niemal każdy profil. Następnie wszystkim swoim wybrańcom wysłałam mglistą, wesołą wiadomość, w której przedstawiłam się jako „podróżniczka z Londynu", która szuka nowojorczyków chętnych „spędzić razem trochę czasu". O północy otworzyłam drugą butelkę – akurat na czas, by połączyć się na Skypie z A.J. i Indią.

– Heeeeeeeej! – wykrzyknęły unisono znad stołu w naszej kuchni.

– Cześć, dziewczyny. Jesteście pijane?

– No – przytaknęła India. – Właśnie byłyśmy w spożywczaku i kupiłyśmy trzy butelki wina.

– Super. Ja też już się narąbałam.

– Z kim jesteś? – spytała A.J., przysuwając się do kamerki. Miałam ochotę im powiedzieć, jak okropnie się czuję, ale nie chciałam ich martwić. A co ważniejsze, moja duma by na to nie pozwoliła. Na wszystkich mediach społecznościowych transmitowałam bardzo przekonujące komunikaty, że jestem na najbardziej zajebistej wycieczce w życiu.

– Z nikim. Dzisiaj trochę sobie odpoczywam.

Porozmawiałyśmy przez piętnaście minut. Cieszyłam się, że mogę zobaczyć znajome twarze i posłuchać o szczegółach z ostatnich kilku dni ich życia.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła A.J., kiedy się żegnałyśmy. – Trochę smutno wyglądasz.

– Nic mi nie jest – zapewniłam. – Tylko trochę za wami tęsknię.

– My za tobą też! – Obie posłały mi buziaki i zniknęły z ekranu. Znów zostałam sama.

W połowie drugiej butelki prosecco dostałam odpowiedź na Tinderze od Jeana, atrakcyjnego trzydziestodwuletniego maklera giełdowego z Francji. Spytał, czy mam ochotę na późnego drinka. Natychmiast postanowiłam, że to ten facet zostanie bohaterem mojego wakacyjnego romansu; właśnie takiej ekscytującej eskapady potrzebowałam, by zamienić swój wyjazd w przygodę i znów poczuć się jak dawna ja. Kłopot w tym, że Jean mieszkał w SoHo, prawie dwa kilometry ode mnie, a ja nie mogłam iść na piechotę, bo zaczynała się burza. No i nadal byłam bez grosza przy duszy.

– Mam pieniądze – napisał. – Zapłacę za taksówkę.

Postanowiłam zignorować podtekst rodem z *Pretty Woman*, zrobiłam oko, włożyłam szpilki i wyszłam na deszcz, by złapać taksówkę. Kiedy machałam na przejeżdżające auta, z powodu strug deszczu i wodospadu spożytego prosecco telefon wyślizgnął mi się z dłoni. Ekran pękł na sto kawałków, woda natychmiast wsiąkła w szczeliny i wyświetlacz zgasł. Na szczęście kiedy przyjechałam pod wskazany adres, Jean czekał przed wejściem. Zapłacił taksówkarzowi i otworzył mi drzwi.

– Dzięki, że przyjechałaś – powiedział, przyciągając moją twarz do pocałunku.

Na krótką chwilę zainteresowanie tego zupełnie nieznanego mi człowieka wypełniło mnie lekką mgiełką ekscytacji. Miałam wrażenie, że ciężar przygnębienia, które tak głęboko się we mnie zakorzeniło, na chwilę zniknął, a potem dotarło do mnie, jakie to żałosne i oczywiste; natychmiast poczułam jeszcze większy smutek. Musiałam się napić.

Jean był dość miły. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, ale rozmowa jakoś się kręciła – głównie dzięki piwu i lucky strike'om, które paliliśmy jednego po drugim na jego kanapie. Odniosłam wrażenie, że często tak postępuje. Po godzinie konwersacji i pocałunków zabrał mnie do sypialni. Moim oczom ukazało się czyste, białe pomieszczenie oświetlone dziwną neonową lampą. Na podłodze leżał materac zamiast łóżka. Próbowałam zignorować tę scenografię. Zaczęliśmy się rozbierać.

– Czekaj, czekaj – zaprotestował, gdy zaczęłam rozpinać mu spodnie. – Uprawiam tylko seks grupowy.

– Co? Jak to? – wybełkotałam.

– Mogę uprawiać seks tylko wtedy, kiedy ktoś patrzy – odparł, jakby to było najzupełniej logiczne. – Albo jeśli ktoś się przyłączy.

– Okej. To się raczej już nie wydarzy, więc…

– Mój współlokator jest w domu. Chciał przyjść. Może powiem mu, żeby się przyłączył?

– Nie, nie może się przyłączyć – ucięłam. Nagle uświadomiłam sobie, że to wcale nie jest żadna wielka przygoda. Byłam sama w mieszkaniu jakiegoś faceta, który równie dobrze mógł się okazać

Patrickiem Batemanem. – Nie chcę tego robić – dodałam z paniką w głosie. Serce dudniło mi pospiesznie w uszach. Zaczęłam się rozglądać za najbliższym oknem.

– No weź, będzie fajnie – namawiał Jean, próbując mnie pocałować. – Wydawało mi się, że lubisz dobrą zabawę.

– Nie, nie lubię, nie chcę tego robić.

– Okej, to nie zrobimy. – Wzruszył ramionami i przekręcił się na bok.

Dotarło do mnie, jak głupio i nieodpowiedzialnie się zachowałam w pogoni za czymś, co odciągnie moją uwagę od samej siebie. Byłam pijana i sama w obcym mieście. Nikt nie wiedział, dokąd poszłam. Nie miałam pieniędzy ani telefonu.

– Chyba pójdę do domu – powiedziałam, wstając z łóżka.

– W porządku – odparł. – Ale dalej pada. Możesz tu zostać, jeśli chcesz.

Popatrzyłam na budzik; była czwarta nad ranem. Mogłam się przespać, aż burza się skończy i wstanie słońce, a potem wrócić do mieszkania Alex. Zasnęłam tak daleko od niego, jak tylko mogłam, z twarzą przyciśniętą do białej ściany.

Obudziłam się o wpół do ósmej, ubrałam się i poszłam do salonu po torebkę. Na kanapie siedział rozjuszony facet w granatowym szlafroku. Wszystkie okna były otwarte, a w pokoju pojawiły się cztery wiatraki elektryczne, których w nocy na pewno tam nie widziałam. Na ścianie wisiały porozklejane kawałki papieru. Na wszystkich widniał napis *FUMER TUE*, nabazgrany czerwonym długopisem, i PALENIE ZABIJA pod spodem.

– Dzień dobry! – odezwałam się nerwowo.

– Winiocha z mojego mieśkania – odparł gość z o wiele mocniejszym francuskim akcentem niż Jean.

– Słucham?

– Mam astmę. Wieś o tym? Mam ciężką astmę. A ty psichodzisz do mojego mieśkania i paliś mi tu jakieś obrzidliwe papiehosy o tsieciej nad hanem?

– Przepraszam, Jean powiedział, że może…

– Jean niech spiehdala – fuknął Francuz.

Poszłam z powrotem do sypialni.

– Ej – powiedziałam, potrząsając go za ramię. – Ej, twój współlokator siedzi w salonie. Jest wściekły.

Jean otworzył oczy i popatrzył na budzik.

– Zaspałem do pracy! – oznajmił oskarżycielskim tonem.

– Nieźle mu już odbija – ciągnęłam. – Jest wściekły, bo paliliśmy w salonie. Wyciągnął jakieś wentylatory i porozklejał wiadomości na ścianach. Trochę jak *Rain Man*.

– Nie jest zły, że paliliśmy, tylko dlatego, że nie chciałaś uprawiać z nim seksu.

– Okej, spadam stąd. Miłego życia.

Wyszłam z mieszkania, potulnie kiwając głową w stronę wkurzonego Francuza w salonie.

– WINOŚ SIĘ. WINOŚ SIĘ. WINOCHA Z MOJEGO MIEŚKANIA, TY ZDZIHO! – krzyknął za mną.

Wypadłam na zalaną słońcem ulicę w SoHo. Miałam wrażenie, że zaraz się porzygam. Podeszłam do najbliższego bankomatu, żeby wypłacić dziesięć dolarów, ale dowiedziałam się, że nie mam dość środków na koncie. Wezbrała we mnie fala mdłości. Przypomniałam sobie, że od dwóch dni nic nie jadłam.

W poszukiwaniu drogi do domu natknęłam się na Starbucksa. Weszłam do środka w nadziei, że obok saszetek z cukrem będą stać dzbanki z mlekiem. Poprosiłam chłopaka za ladą o papierowy kubek i napełniłam go mlekiem. Usiadłam przy stoliku i zaczęłam popijać powoli.

– Wszystko w porządku, skarbie? – spytała kobieta w średnim wieku. – Wyglądasz jak… – Przyjrzała się mojemu ubraniu, oczom okolonym pyłem z wczorajszej maskary, kubkowi z mlekiem w dłoni. – Jak bezdomny kotek.

– Wszystko dobrze – zapewniłam, choć nigdy w życiu nie czułam się mniej dobrze.

Przez kilka godzin krążyłam bezradnie po okolicy, aż wreszcie zobaczyłam blok, który udało mi się rozpoznać. Weszłam do mieszkania Alex, włożyłam telefon do miski z ryżem i zwinęłam się w kłębek pod jej kołdrą w towarzystwie kotów. Miałam ochotę naciągnąć taką kołdrę na cały ten wyjazd. Nie było mnie jednak stać nawet na kanapkę, a co dopiero na wcześniejszy lot do domu.

Zresztą chyba nawet nie chciałam tam jechać – utknęłam uwięziona między dwoma miastami, w których nie czułam się dobrze. Nie mogłam prosić o pomoc Farly, bo ona potrzebowała mojego wsparcia o wiele bardziej niż ja jej. Telefon do rodziców też nie wchodził w grę – nie chciałam ich martwić, a poza tym od dobrych dziesięciu lat byłam za stara, by oczekiwać ratunku w takich sytuacjach. Ostatecznie zadzwoniłam do Octavii, która okazała mi niewiarygodną życzliwość. Zabrała mnie na dim sum, wzięła za rękę, pozwoliła się wygadać, a potem mnie przytuliła i pożyczyła trochę pieniędzy.

Następnego dnia wybrałam się w trzygodzinną podróż autokarem do małego miasteczka w górach Catskill pod Nowym Jorkiem. Farly i ja już zapłaciłyśmy za domek, uznałam więc, że równie dobrze mogę z niego skorzystać. Cieszyłam się, że mam szansę spędzić kilka dni w ciszy, pod otwartym niebem.

Przyjechałam przed południem, zostawiłam bagaże i wybrałam się na długi spacer, żeby trochę oczyścić głowę. Przez kilka godzin zachwycałam się potęgą otaczających mnie gór i rozmyślałam nad tym, jak mogę zacząć wszystko od nowa po powrocie do Londynu. Kiedy dotarłam z powrotem do domku, byłam już spokojniejsza.

Wieczorem przeszłam się do pobliskiego miasteczka i zjadłam w knajpce frytki z serem. Rozkoszowałam się ćwierkaniem świerszczy, ciepłem i rozmowami miejscowych. Gdy wróciłam, zobaczyłam za domkiem płonące ognisko. Zabrałam z pokoju koc, owinęłam się nim i usiadłam przy ogniu. Zapatrzyłam się w niebo. Odetchnęłam głęboko – chyba pierwszy raz od przyjazdu do Nowego Jorku.

Po powrocie do pokoju odkryłam, że dostałam nową wiadomość na Tinderze – ktoś zareagował na moje zaproszenie w tonie „Chodźcie wszyscy", które rozesłałam dwa dni wcześniej. Chłopak nazywał się Adam. Miał dwadzieścia sześć lat, doskonały amerykański uśmiech, brooklińską brodę i hipsterski koczek.

„Dobry wieczór", napisał. „Przepraszam, że odpowiadam dopiero teraz. Co słychać?"

„Szkoda, że nie odezwałeś się wcześniej. Mogłabym się wybrać z tobą na randkę, zamiast dać się wciągnąć w trójkąt z dwoma

Francuzami”.

„O rany. W Nowym Jorku nie zawsze jest różowo. Jak się tu czujesz?”

„Okropne miejsce. Pojechałam na jedną noc do Catskill. Miła odmiana”.

„Ile jeszcze będziesz w mieście przed powrotem do domu?”

„Trzy długie dni. Jutro wczesnym wieczorem wracam do Nowego Jorku”.

„Wyjdź gdzieś ze mną, kiedy przyjedziesz. Obiecuję, że nie będę cię wciągać w żadne trójkąty. Możemy się po prostu zaprzyjaźnić, jeśli zechcesz”.

Zaprzyjaźnić. Może rzeczywiście potrzebowałam nowego przyjaciela.

Następnego dnia wybrałam się na kolejny długi spacer, popływałam i wsiadłam do popołudniowego autokaru na Manhattan, przesiadłam się do metra na Brooklyn i dotarłam przed drzwi budynku Adama.

– Hej – przywitał się, stając w progu. W jego błękitnych oczach ukrytych za okularami w rogowej oprawie migotały wesołe iskierki. Rozłożył szeroko ramiona. – Wspaniale cię poznać. Witam z powrotem w mieście, którego tak nie znosisz.

– Dzięki – odparłam, wpadając w jego objęcia. Wciągnęłam głęboko czysty, mydlany zapach jego flanelowej koszuli.

– Sprawię, że się w nim zakochasz.

Adam oprowadził mnie po swoim mieszkaniu, a następnie otworzyliśmy butelkę wina. Rozmawialiśmy przez wiele godzin. Opowiedzieliśmy sobie wszystko o ulubionej muzyce i książkach, o rodzinie i przyjaciołach, o pracy. Był szczery, pogodny i ciekawy; właśnie kogoś takiego potrzebowałam.

Po południu już się całowaliśmy, a przed północą leżałam w jego łóżku z twarzą przyciśniętą do jego twarzy. Łagodny dotyk, szczodre serce i czułość – to wystarczyło, bym się przed nim otworzyła. Oddałam się cała, nie oczekując niczego w zamian. Opowiedziałam mu o tym, jak w wieku dwudziestu kilku lat miałam złamane serce; jak przez kolejne lata się głodziłam, by odzyskać kontrolę nad swoim życiem. O tym jednym razie, kiedy naprawdę się zakochałam; jak nie mogłam znieść tej intymności i bałam się, że stanę się

od kogoś zależna. Opowiedziałam, jak przyjaciółki zakochiwały się jedna po drugiej i zostawiały mnie w tyle. Jak od dzieciństwa dręczyły mnie katatoniczne fale stanów lękowych. Wyznałam, że nie mogę stawać przy oknie, bo zawsze mam wrażenie, że za chwilę rzucę się ku śmierci. Opowiedziałam mu o mojej najlepszej przyjaciółce z dzieciństwa i jej młodszej siostrze, która leżała teraz w szpitalu z rakiem. Zwierzyłam się z tego, jak zachwycała mnie dorosłość, a jednocześnie że nie potrafię do nikogo zadzwonić i poprosić o pomoc. Opowiedziałam, z jaką łatwością zagrzebuję swoje problemy w chaotycznych hałdach drobiazgów. Tylko w rozmowie z nieznajomym potrafiłam znaleźć właściwe słowa, by nazwać swój smutek. W innych okolicznościach nie potrafiłabym opisać tych historii inaczej niż w efemerycznej mgiełce fantazji, w której za nic nie ponoszę odpowiedzialności.

– Jesteś taka smutna – powiedział, gładząc mnie po policzku. Zamknęłam oczy, by powstrzymać łzy.

– Pogubiłam się – odparłam.

– Ale teraz się odnalazłaś – wyszeptał, przyciągając mnie do siebie.

Chciałam mu uwierzyć, więc na tę jedną chwilę sobie na to pozwoliłam.

– Chciałbym ci coś powiedzieć, ale to nie ma sensu – powiedział, całując mnie w głowę.

– Co takiego?

– Kocham cię – westchnął. – Nie myśl, że jestem niebezpieczny albo walnięty jak ten szalony Francuz. Wiem, że to niemożliwe, bo przecież znam cię od… – zerknął na zegarek – …od sześciu godzin. Ale czuję, że mógłbym cię pokochać. Kurwa, już cię kocham.

– Ja ciebie też – odparłam mimowolnie. Kiedy tylko te słowa wyrwały mi się z ust, pojęłam, jak absurdalnie to brzmi. Ale wiedziałam, że nie mówię ich do Adama, tylko do czegoś innego – do swojej wiary w nadzieję i ludzkie dobro.

Następnego dnia Adam po raz pierwszy w życiu wziął urlop na żądanie i oprowadził mnie po różnych częściach Nowego Jorku, w których nigdy wcześniej nie byłam. Spacerowaliśmy, piliśmy, całowaliśmy się. To był typowy wakacyjny romans. Trwał dwa dni,

a my nie pamiętaliśmy, jak to jest żyć bez siebie. Wiedzieliśmy jednak, że nigdy nie będziemy żyć ze sobą. Zostałam u niego na noc.

Następnego dnia oderwałam się od Adama na całe trzy godziny, by spotkać się z Octavią, która nie mogła uwierzyć w to wszystko, co mi się przytrafiło, odkąd ostatni raz mnie widziała. Wjechałyśmy na szczyt Rockefeller Plaza i zapatrzyłyśmy się na to piękne, niezmordowane, bezlitosne miasto.

– Chyba chcę jechać do domu – powiedziałam, wpatrując się w światełka tańczące na rzece Hudson.

*

Gdy wyjeżdżałam, Adam pojechał ze mną na lotnisko JFK. Po długim pocałunku na pożegnanie chwycił mnie za ramiona i spojrzał mi w oczy.

– Posłuchaj, mam pomysł.

– Jaki?

– Tylko nie myśl, że oszalałem.

– Okej.

– Zostań tutaj.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie? Jesteś tam nieszczęśliwa. Nie cierpisz Londynu. Nie masz pracy. Nie wiesz, co chcesz dalej robić. Zostań tutaj i zacznij wszystko od nowa.

– A gdzie miałabym mieszkać?

– Ze mną.

– Jak zapłacę czynsz?

– Coś wymyślimy. Znajdziesz jakąś pracę i będziesz mogła zająć się pisaniem wszystkich tych rzeczy, które zawsze chciałaś napisać. Zapewnię ci przestrzeń i czas. Pomyśl, ile miałabyś tutaj wolności.

– A co, jeśli wasz żelazny system imigracyjny będzie chciał odesłać mnie z powrotem do domu?

– To się z tobą ożenię. To chcesz usłyszeć? Zrobię to. Jutro z samego rana zabiorę cię do ratusza i ożenię się z tobą w cholerę, a wtedy będziesz mogła tu mieszkać tak długo, jak tylko zechcesz.

– Nie mogę tego zrobić. To kompletny obłęd.

– Dlaczego nie chcesz tu zostać? – spytał, przyciskając łagodnie swoją głowę do mojej. – Przecież sama powiedziałaś, że w domu nic na ciebie nie czeka.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

– Bo to ja jestem problemem. Nie miasto. Żadne okoliczności nie stanowią sedna problemu. To siebie muszę zmienić.

Zamilkliśmy i pocałowaliśmy się po raz ostatni.

– Zadzwoń, kiedy wylądujesz. I nie upijaj się w samolocie, na pewno nie rozbijecie się po drodze.

Podczas lotu zastanawiałam się nad Tottenham Court i zamawianiem różnych rzeczy z Amazona. Myślałam o śmiechu Farly, porannej krzątaninie współlokatorek szykujących się do pracy, zapachu perfum mamy we włosach, gdy ją przytulałam. Medytowałam nad cudowną zwyczajnością swojego życia i nad tym, jakim przywilejem jest je mieć.

Był dzień przed moimi dwudziestymi szóstymi urodzinami. Gdy dotarłam do domu, Belle i A.J. były jeszcze w pracy, ale czekało na mnie koślawe ciasto domowej roboty i transparent z życzeniami. Następnego wieczoru wszystkie wyszłyśmy potańczyć w Camden, a potem opowiedziałam im o mojej dziwnej dwutygodniowej wyprawie. Lauren i ja do świtu grałyśmy na gitarze. O poranku poczta kwiatowa dostarczyła mi wielki bukiet czerwonych róż od Adama.

*

Po powrocie do domu przez jakiś czas było mi trochę łatwiej. Ciężki płaszcz smutku, który od tak dawna spoczywał na moich ramionach, zaczął powoli opadać. Zaplanowałam sobie, co zamierzam dalej robić. Znów szaleńczo zakochałam się w swoim mieście. Czytałam książki Billa Brysona o Anglii i zajadałam się batonikami Toffee Crisp. Przypomniałam sobie, jakie mam szczęście, że mieszkam w tym samym miejscu, w którym się urodziłam i gdzie mam tylu przyjaciół.

Dwa miesiące po powrocie zrezygnowałam z pracy i zostałam freelancerką. Miesiąc później dostałam własną rubrykę w gazecie „Sunday Times”. Lauren i ja zrobiłyśmy krótki film o zagubionej

dwudziestopięciolatce, która nie ma pojęcia, kim jest, i szuka rozwiązania problemu wszędzie, tylko nie w sobie. A.J. się wyprowadziła; jej miejsce zajęła India, jedna z naszych fantastycznych koleżanek ze studiów. Opuściłyśmy nasz zapuszczony żółty pałac na Camden i zamieszkałyśmy trzy kilometry dalej na północ, w mieszkaniu bez myszy, z działającą toaletą i centralnym ogrzewaniem.

Moja wybawicielka Octavia wróciła do Londynu; wkrótce zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami. Adam i ja jesteśmy w kontakcie – to już się nie zmieni. Spotykamy się zawsze, kiedy on jest w Londynie albo ja w Nowym Jorku. Przypomina mi o burzliwych chwilach w moim życiu, które lubię wspominać, ale nigdy nie chciałabym do nich wrócić. To czas, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat i zupełnie nie wiedziałam, co ze sobą począć, i dlatego prawie przeprowadziłam się do innego kraju dla mężczyzny, którego nawet nie znałam. On ma swoją część historii, ja swoją. Nosimy je zawsze przy sobie jak dwie połówki tych tandetnych nastoletnich naszyjników z pękniętym sercem.

12 grudnia

Moi mili,
wesołych świąt od nas wszystkich (tak naprawdę tylko ode mnie – teraz mieszkam sama) ze skandalicznie drogiego i zaniedbanego mieszkanka przy Bracken Street 32!
Co za rok! Wszystko zaczęło się wspaniale: dostałam awans w start-upie sprzedającym organiczne soki (firma Niezły Wycisk) po czterech latach pracy jako menedżerka ds. mediów społecznościowych. Wspięłam się na kolejny szczebel kariery, osiągnęłam niedookreśloną, choć wzbudzającą szacunek pozycję kierowniczki kampanii w mediach społecznościowych; w skrócie – poza wszystkimi dotychczasowymi obowiązkami muszę jeszcze wysyłać każdego dnia cztery filmiki na Insta Stories z owocami, którym domalowaliśmy buzie i które ubraliśmy w miniaturowe, robione na drutach czapeczki; kasa ta sama co wcześniej.
(Tato, jeśli to czytasz, nie będę Ci po raz setny tłumaczyć, na czym polega moja praca! Tak, wiem, że moja edukacja kosztowała dużo pieniędzy. Wiem, że mogłam „zrobić ze swoim życiem wszystko”! Może po prostu udawaj przed kolegami z klubu golfowego, że jestem prawniczką. I tak tego nie sprawdzą, a nawet jeśli wpiszą moje imię i nazwisko do wyszukiwarki, znajdą tylko stary profil na MySpace, bo nikt nigdy nie słyszał o firmie, dla której pracuję! Ha, ha!).
Jak już wspomniałam na początku tego maila, wyprowadziłam się z przyjemniutkiego mieszkanka na Kentish Town, które dzieliłam z najlepszą przyjaciółką Katyą, bo oznajmiła, że wspólnie ze swoim chłopakiem są „gotowi na trochę prywatności” i że stać ich już na spłatę kredytu beze mnie (oboje mają prawdziwą pracę). Stworzyłam sobie zatem nowy dom w modnej londyńskiej dzielnicy Penge. Okolica jest dość liściasta

– choć może bardziej gałęziasta – i BARDZO „dobrze się zapowiada" („Metro", 2016). Pewnie dlatego muszę płacić tysiąc dwieście funtów za dużą kawalerkę z sypialnią na antresoli nad kuchenką. Całe szczęście, że jestem taką koneserką jedzenia – uwielbiam zasypiać w łóżku przesiąkniętym zapachem pieczonego łososia!

Po długich siedmiu latach szczęśliwego związku Jordan i ja w tym roku rozstaliśmy się w przyjaźni. Oboje trochę zazdrościliśmy znajomym dzień w dzień uprawiającym przypadkowy seks z nieznajomymi z Tindera. Poza tym łączył nas lęk przed śmiercią i paraliżujący strach, że omija nas wszystko, co najlepsze. Coraz dotkliwiej uświadamialiśmy sobie, że kiedy nadejdzie koniec, nie chcemy mieć łącznie trojga partnerów seksualnych na koncie. Przeczytaliśmy kilka książek o poliamorii i próbowaliśmy dać tej opcji szansę, ale przy tak napiętych grafikach nie byliśmy w stanie zsynchronizować się na tyle, by znaleźć czas zarówno dla innych, jak i dla siebie nawzajem. Doszliśmy więc do wniosku, że o wiele mniej czasochłonnym rozwiązaniem będzie podziękować sobie za współpracę. On zabrał kota.

Wreszcie odkrywam radości randkowania online! Mężczyźni nie chcą się angażować, seks zawsze jest pornograficzny i skończyło mi się już miejsce w telefonie od tych wszystkich zdjęć ogolonych penisów, które dostaję na WhatsAppie. Jestem jak Carrie Bradshaw z Penge!

(O moich seksualnych przygodach możecie przeczytać na www.theadventuresofandrea.org. *Zabawna, zdesperowana* – „Huffington Post").

W kwestii zdrowia – za sprawą nawracających stanów lękowych moja hipochondria nadal ma się świetnie. Zaledwie w ciągu ostatniego roku zdiagnozowałam u siebie pięć różnych rodzajów raka, trzy choroby weneryczne i cztery zaburzenia psychiczne. Poza tym odkąd przeczytałam o boreliozie, nie chodzę po trawie ani obszarach zalesionych (ale i tak wydaje mi się, że to mam – a co Wy o tym myślicie?).

Moja ocena na Uberze spadła do trzech i pół gwiazdki. To przykre, ale mam nadzieję, że w nowym roku stawię czoła tej sytuacji ze świeżym zapasem optymizmu i entuzjazmu.

Przechodzimy do mediów społecznościowych. To był szalony rok! W listopadzie dobiłam do dwóch tysięcy followersów na Twitterze,

osiągając tym samym zamierzony cel (jak zapewne pamiętacie z zeszłorocznego okólnika, to było moje główne postanowienie). Z jeszcze bardziej ekscytujących informacji: tylko cztery moje zdjęcia na Instagramie zebrały mniej niż siedem lajków, a ja zdołałam sobie z tym poradzić bez natychmiastowej wizyty kryzysowej u terapeuty online. Same postępy!

Moje cele na ten rok to: odstawić antydepresanty, pozbyć się debetu i znaleźć idealny odcień różu w kremie dla mojego koloru skóry. Życzcie mi szczęścia w kolejnym rozdziale tej nieprzewidywalnej, wiecznie zmiennej podróży, którą zwiemy życiem.

To wszystko – życzę Wam wesołych świąt i mnóstwo radości w nowym roku!

Andrea

Tygodniowa lista zakupów

– Papier toaletowy
– Nowe majtki
– Gazeta
– Chęć przeczytania całej gazety
– Kapsułki do ekspresu do kawy
– Marmite
– Jabłka
– Artykuły do higieny intymnej, które nie będą perfumowane zapachami Britney Spears
– Umiejętność zarządzania czasem
– Szczeniak (jamnik miniaturka)
– Beczka z mocną herbatą marki Yorkshire z dużą ilością mleka
– Lepszy toster z minutnikiem, któremu można zaufać
– Współlokatorki, które będą chciały ze mną oglądać nowy dokument o rolnictwie z BBC
– Prywatny szofer
– Worki na śmieci
– Szczeniak (norfolk terrier, miękkowłosy)
– Jarvis Cocker
– Niekończący się zapas cheddaru
– Czas na obejrzenie wszystkich odcinków *Kronik Seinfelda* trzy razy
– Prywatne kino
– Umiejętność pisania z zachowaniem poprawności gramatycznej
– Twardszy tyłek
– Większa asertywność
– Dwadzieścia par rajstop bez oczek

– Mleko

Florence

Kiedy poznałam Florence, dopiero co zostałam nastolatką, a ona miała sześć lat. Farly zabrała mnie do swojego domu. Otworzyła drzwi wejściowe, a naszym oczom natychmiast ukazała się jej młodsza siostra. Dziewczynka stała na schodku i kołysała się na boki, potrząsając włosami, z których zostało tylko kilka nastroszonych kępek.

– FLORENCE! – pisnęła Farly ze zgrozą. – COŚ TY ZROBIŁA Z WŁOSAMI?!

Mała tylko uśmiechnęła się przewrotnie.

– TATO, JAK MOGŁEŚ JEJ POZWOLIĆ, ŻEBY ZROBIŁA COŚ TAKIEGO?! – wrzasnęła Farly do taty, Richarda, który stał przy samochodzie. – PRZECIEŻ ONA WYGLĄDA JAK CHŁOPIEC!

Florence nadal uśmiechała się szeroko.

– Aniołku, błagała mnie, żebym się zgodził – odparł Richard, wzruszając ramionami. – Co miałem zrobić?

Natychmiast się nią zachwyciłam.

Gdy Florence zaczęła dojrzewać, zbliżyłyśmy się do siebie. Podobnie jak ja czuła, że od zawsze jest gotowa na dorosłość. Chciała mieć własną tożsamość, pragnęła niezależności. Nie ufała rówieśnikom. Uciekała w świat książek, filmów i muzyki. Miała skłonności do obsesji; czytała dosłownie każde słowo napisane przez jej ulubionych autorów i oglądała wszystkie filmy nakręcone przez reżyserów, którymi się fascynowała. Tak jak ja miała trudności z odnalezieniem się w szkole dla dziewcząt. Pocieszałam ją, że najlepsze dopiero przed nią, a dorosłość – nieważne, jak trudna albo nieciekawa – to najlepsza rzecz na świecie.

– Wiem, wiem. Ludzie ci wmawiają, że szkoła to najlepsze lata twojego życia – powiedziałam jej w któryś weekend, gdy leżałyśmy w ogrodzie jej rodziców i grzałyśmy się w popołudniowym słońcu.

– No i?

– No i to gówno prawda.

– Serio? – spytała, gładząc mnie po ramieniu. Kiedy Farly i ja byłyśmy nastolatkami, zawsze tak robiła, żeby móc spędzać z nami czas.

– Serio. W życiu nie słyszałam większej głupoty. Szkoła to najgorszy czas w twoim życiu, Floss. Wszystko, co najlepsze, zaczyna się później.

– Dzięki, Aldermaston – westchnęła (to było moje przezwisko w ich rodzinie. Każdy, kto przekraczał próg ich domu, otrzymywał natychmiast własną ksywkę).

Florence nie miała jednak powodu do zmartwień, bo wyrosła na fantastyczną nastolatkę. O wiele lepszą ode mnie: podobnie jak większość ludzi w tym wieku byłam zainteresowana głównie sobą. Ona patrzyła na świat z dużo szerszej perspektywy i miała w sobie niezmierzone pokłady empatii, zwłaszcza jak na kogoś, kto wychował się pod kloszem. Floss była twórcza, oburzona, ciekawa i pełna pasji. Założyła bloga o filmach, na którym analizowała amerykańskie kino indie i krytykowała współczesne hollywoodzkie produkcje. Prowadziła dziennik. Napisała pół powieści. Popełniła i wyreżyserowała kilka sztuk, które następnie wystawiała w szkole. Na sztywnym szkolnym apelu wygłosiła przemowę o problemach społeczności LGBT. Chodziła na protesty. Pewnego dnia przyszła do mieszkania w Camden z kamerą i dwójką znajomych i spytała, czy może u nas nakręcić film krótkometrażowy zwiększający świadomość na temat przemocy domowej.

Z czasem zaczęła też w cudowny, niezrównany sposób zaburzać dynamikę przy rodzinnym stole. Obiad w domu Farly niemal zawsze podczas rozemocjonowanych dyskusji był punktowany okrzykami Florence: „MIZOGINIA!”. Szczególnie zapadła mi w pamięć kolacja, podczas której zrównała Scotta z ziemią za to, że ośmielił się podważać walory filmów Wesa Andersona i oznajmił, że jego twórczość to doświadczenie wyłącznie estetyczne. Floss wygłosiła

długą, płomienną przemowę, w której dowiodła, dlaczego chłopak siostry nie ma racji. W końcu rozzłoszczona poszła do pokoju i wróciła z wielką książką o historii kina w twardej oprawie, po czym z głośnym łupnięciem rzuciła ją na stół.

Tego samego lata, kiedy skończyła szkołę, wykryto u niej białaczkę. Wreszcie dotarła do mety dojrzewania i stanęła na skraju dorosłego życia – tylko po to, by usłyszeć, że ma raka. Z zapewnień lekarzy wynikało, że mimo trudnego leczenia i rekonwalescencji rokowania są dobre. Z tym wyzwaniem też poradziła sobie fenomenalnie. Poszła do szpitala Kingston na chemioterapię i z miejsca zaprzyjaźniła się z pielęgniarkami i ekipą sprzątającą. Podnosiła oparcie łóżka tak wysoko, jak tylko mogła, żeby z nimi rozmawiać i dawać im rady. Usłyszała, że nie będzie mogła mieć dzieci – wiele osób z jej otoczenia uznało to za tragedię, ale ona jak zwykle zareagowała z właściwą sobie gracją i pogodą, stwierdzając, że świat i tak jest już przeludniony.

Zaczęła prowadzić zabawnego, szczerego bloga, na którym dokumentowała swoją walkę z rakiem. Wkrótce czytały go tysiące ludzi. Robiła sobie selfie po ogoleniu głowy i nagrywała śmieszne filmiki, jak tańczy wokół łóżka. Dziesiątki ludzi zasypywały ją mailami i listami pełnymi wsparcia. Byłam z niej niewiarygodnie dumna. Często pisałam do niej SMS-y, że nie ma prawa w wieku dziewiętnastu lat być tak dobrą pisarką.

W jednym z wpisów na blogu oznajmiła:

Najgorsza rzecz, jaką usłyszałam tamtej nocy (ósmego sierpnia, kiedy usłyszała diagnozę), *to nie była informacja o chorobie, lecz te słowa: „Będziesz musiała zostać w szpitalu na noc". Tego zupełnie się nie spodziewałam. Następnie lekarz dodał: „A rano hematolog pobierze ci próbkę szpiku". Wtedy zrozumiałam, że dzieje się coś złego. Takich rzeczy po prostu się nie robi.*

Hematolog przyszedł się ze mną zobaczyć. Przywitał się przed pójściem na noc do domu. Chciałam tylko usłyszeć odpowiedź, spytałam więc prosto z mostu, wskazując na spuchniętą, pełną guzków szyję: „Jak pan sądzi, co to takiego?". Lekarz westchnął, po czym odparł: „Na pięćdziesiąt procent rak".

Kiedy słyszysz słowo „rak”, twój mózg mówi: „śmierć”. Natychmiast widzisz, jak wszystkie plany na przyszłość kurczą się i znikają. A potem zaczynasz płakać. Ja też się rozpłakałam. A ten przemiły człowiek, ewidentnie niezbyt dobry w radzeniu sobie z cudzymi emocjami, poklepał mnie po plecach, mówiąc: „Nie przyszedłem tu, żeby doprowadzać cię do łez”. Wiem, że chciał mnie pocieszyć, ale czego się spodziewał, kiedy oznajmił, że prawdopodobnie mam raka? Może oczekiwał, że zacznę skakać pod sufit i krzyczeć: „Hurra, to najlepsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło!”? Oczywiście, że nie. Byłam zdruzgotana. I wściekła. A poza tym martwiłam się o rodziców, którzy zanosili się płaczem tak samo jak ja.

Pamiętam, że powiedziałam: „Nie jestem jeszcze gotowa na śmierć. Przecież nawet nie zdążyłam nic przeżyć”. Potem dodałam jeszcze: „Nawet nie uprawiałam jeszcze seksu! To niesprawiedliwe”.

Ten etap mam już za sobą. Teraz myślę raczej: „Kiedy wreszcie uporam się z rakiem, skopię całemu światu dupę i pokażę wszystkim, że jestem najlepszą osobą na świecie”. Kto miałby mnie odrzucić po tym, jak poradzę sobie z rakiem? Wszystko inne to łatwizna.

*

Napisałam do niej, żeby powiedzieć, jak bardzo poruszyły mnie te słowa. Zapewniłam, że kiedy to się wreszcie skończy, na pewno odkryje seks.

– Pójdziemy na podryw – odparła. – Wyhaczę ci świetnego gościa, zobaczysz.

Floss świętowała dziewiętnaste urodziny w szpitalu. Pielęgniarki zrobiły dla niej transparent i zawiesiły przed wejściem do jej pokoju. Dowiedziała się, że dostała się na filmoznawstwo na Uniwersytecie w Yorku i że miejsce będzie na nią czekać przez rok, aż do pełnej rekonwalescencji. Po ostatnim cyklu chemioterapii wróciła do domu i zrobiła czekoladowe ciasto z guinnessem dla pielęgniarek, które się nią opiekowały.

Świat Farly przez ten okres bardzo się skurczył. Cały czas spędzała w podstawówce, w której uczyła, w szpitalu albo z rodziną. Scott był przy niej, a ja z dnia na dzień kochałam go coraz bardziej za to, że

jest dla niej i jej rodziny tak niewzruszonym oparciem. Pisaliśmy do siebie i dzwoniliśmy regularnie, a on dawał mi znać, co u niej – to zbliżyło nas do siebie. Cieszyłam się, że moja najlepsza przyjaciółka ma u boku kogoś tak silnego i pełnego miłości.

Po powrocie z Kingston Floss nadal prowadziła bloga. Okazało się, że jej brat Freddie może zostać dawcą szpiku, ale najpierw Florence powinna odzyskać siły po chemioterapii, by móc poddać się operacji w innym szpitalu w centrum Londynu. Stan jej zdrowia zaczął się jednak gwałtownie pogarszać i trzeba było zabrać ją do szpitala przed ustalonym czasem. Problemy pojawiały się jeden po drugim – tak szybko, że lekarze nie nadążali z ratunkiem. Przestały pracować nerki, nie mogła mówić, zawodziły kolejne organy. Wysłano ją na oddział intensywnej terapii i podłączono do respiratora, by mogła oddychać. Farly dostała urlop i cały czas spędzała w szpitalu z rodziną.

Ja właśnie zrezygnowałam z pracy po trzech latach na etacie, by zostać pisarką – to oznaczało, że mogłam pracować z domu i dojeżdżać do przyjaciółki autobusem. Przez miesiąc prawie codziennie spotykałyśmy się na lunchu. Zawsze chodziłyśmy do tej samej kawiarni nad sklepem meblowym Heal's przy Tottenham Court i zamawiałyśmy to samo: dwie sałatki Cezar i frytki na spółkę. Farly opowiadała mi, jak się czuje jej siostra. Stan zdrowia Floss się nie poprawiał, jej życie wisiało na włosku i nikt nie wiedział, co będzie dalej – wizja przeszczepienia szpiku coraz bardziej się oddalała. Próbowałam uspokajać przyjaciółkę samymi frazesami: jest w najlepszym możliwym miejscu, opiekują się nią specjaliści, lekarze wiedzą, co robią. Wiedziałam, że codziennie jest zasypywana przez specjalistów statystykami i informacjami, uznałam więc, że moim zadaniem jako przyjaciółki jest dawać jej energię i nadzieję. Tak naprawdę nie miałam jednak pojęcia, co się dzieje.

Farly codziennie pytała, co u mnie słychać, rozpaczliwie chwytając się każdego skrawka normalności, który odciągnąłby na chwilę jej uwagę i dał trochę sił przed powrotem do szpitala na całe popołudnie. Opowiadałam o artykułach, które akurat pisałam. Pokazywałam chłopaków z Tindera. W dniu, kiedy dowiedziała się, że

dostałam własną rubrykę, kupiła mi kieliszek prosecco – cieszyła się, że może po prostu coś uczcić.

W pewnej chwili mieliśmy wrażenie, że stan zdrowia Floss nieznacznie się poprawia. Farly powiedziała, żebym przyszła z wizytą do szpitala. Z chęcią na to przystałam, choć obawiałam się, że nie zdołam powstrzymać łez. Kiedy odkażałam ręce przed drzwiami, uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie odwiedzałam nikogo w szpitalu.

– Masz gościa – oznajmiła Farly, gdy weszłam do pokoju.

Floss nie mogła mówić, ale posłała mi uśmiech, a ja poczułam falę ulgi i miłości do tej dziewczyny, która była dla mnie niemal jak młodsza siostra. Stanęłam przy jej łóżku i zaczęłam trajkotać od rzeczy w nadziei, że na chwilę ją czymś zajmę. Wspomniałam o ostatnim sezonie *Dziewczyn*, który na pewno jej się spodoba, i o nowym zespole, który niedawno odkryłam. Farly poprosiła, żebym opowiedziała jej siostrze o tym, co właśnie piszę. Florence znów się uśmiechnęła na wieść, że kręcę z Lauren film krótkometrażowy. Dodałam, że będzie musiała pomóc mi wkrótce z redakcją scenariusza. Po piętnastu minutach pożegnałam się z tą spektakularną, cudowną, elektryzującą dziewczyną – mając świadomość, że może widzę ją po raz ostatni.

– Mam wrażenie, że wymyka nam się z rąk – zwierzyła mi się Farly na lunchu kilka dni później. – To się dzieje na moich oczach, czuję to.

– Nie wiesz, co się stanie – pocieszałam. – Ludzie wracają do zdrowia po najgorszych rokowaniach. Cały czas słyszy się takie historie.

Pamiętałam jednak, w jakim stanie była Floss podczas mojej wizyty i że to był ponoć jej najlepszy dzień od bardzo dawna. Rozumiałam, dlaczego przyjaciółka ma takie myśli, i musiałam pozwolić jej wyrazić swoje obawy na głos.

Zadzwoniła do mnie tydzień później. Było wczesne popołudnie; siedziałam przy stole w kuchni zajęta pisaniem.

– Nie ma jej – wyszlochała, ledwo łapiąc oddech. – Umarła.

*

Nigdy nie widziałam na pogrzebie tylu ludzi, co w dniu, kiedy zebraliśmy się, by pożegnać Florence. Na nabożeństwie pojawili się wszyscy nasi przyjaciele, mnóstwo uczniów i nauczycieli z jej szkoły, rodzina, znajomi, których poznała podczas podróży; setki ludzi, których przez lata poruszyła swoim ciepłem, humorem, inteligencją i dobrocią. Zebrało się tylu żałobników, że wielu musiało stać przed krematorium i oglądać nabożeństwo na ekranie. Widząc to, uśmiechnęłam się do nieba; pomyślałam, że ucieszyłby ją ten widok. Miałam nadzieję, że Floss wiedziała, jak bardzo była kochana. Freddie wygłosił mowę pogrzebową. Rabin, który znał ją od dzieciństwa, z podziwem opowiedział o charyzmie i odwadze tej wspaniałej dziewczyny. Jej najlepsza przyjaciółka odczytała poruszający wpis, który Florence zostawiła w szkolnej księdze pamiątkowej: „Życie czasami wydaje się czymś bardzo trudnym, ale tak naprawdę to proste jak oddychanie. Otwieraj serca na oścież swoją wściekłością i krusz egoizm pokorą. Bądź kimś, kim chcesz się stać, zamiast myśleć, że los skazał cię na coś zupełnie innego. Pozwól sobie na ucieczkę z własnymi uczuciami. Istniejesz, by ktoś mógł cię kochać. Przyjmij tę miłość".

Między pogrzebem a sziwą – w judaizmie to czas żałoby obchodzony w domu przez rodzinę – wszystkie dziewczyny wróciły do Camden. Kupiłyśmy u Ivana kilka butelek wina. Usmażyłam wielką patelnię jajecznicy, a India robiła tosta za tostem. Rozmawiałyśmy o Florence – o wszystkim, co było w niej zabawne, niepowtarzalne i zdumiewające. Płakałyśmy, śmiałyśmy się i wznosiłyśmy toasty ku jej pamięci.

W domu Farly podczas sziwy było równie tłoczno jak na pogrzebie. Wszyscy zebraliśmy się w kuchni, rabin odmówił modlitwy i znów opowiedział o zmarłej. Farly odczytała wiersz. Słuchałam, jak recytuje kolejne wersy do mikrofonu, i miałam wrażenie, że jest o wiele drobniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. W pewnym momencie przerwała i zaczęła płakać, przekazała kartkę rabinowi, który doczytał strofy do końca. Patrzyłam, jak moja przyjaciółka rozpada się na kawałki, delikatna jak pisklę. Jej kości i słowa kruszyły się i zapadały w sobie. Miałam ochotę przepchnąć się przez

całą kuchnię i przytulić ją z całych sił. To była najgorsza chwila w moim życiu.

Żałobnicy zostali na sziwie do późna. Znajomi Floss ze szkoły siedzieli w jej pokoju między książkami i ubraniami. Ja miałam za zadanie prowadzić księgę z kondolencjami. India, A.J. i Lacey żłopały sherry, którą ciocia Laura nalewała im do plastikowych kubeczków. Wszyscy nauczyciele ze szkoły, w której pracowała Farly, przyszli złożyć kondolencje razem z wicedyrektorką. W połowie wieczoru rodzina zmarłej usiadła w rzędzie na krzesłach, zgodnie z żydowską tradycją, a żałobnicy życzyli im długiego życia.

Podeszłam do Farly i przykucnęłam, żeby ją objąć.

– Bardzo cię kocham – powiedziałam. – I życzę ci, żebyś miała bardzo długie i szczęśliwe życie.

– Dziękuję – odparła Farly, odwzajemniając uścisk. – Widziałaś nauczycieli z mojej szkoły?

– Tak, są bardzo mili. Właśnie rozmawiałam z wicedyrektorką.

– I jak ci się spodobała?

– Miła kobieta.

– Cieszę się, że ją polubiłaś – uśmiechnęła się Farly. – O czym rozmawiałyście?

– Poprosiłam, żeby dobrze się tobą zajęła, kiedy wrócisz do pracy. I żeby upewniła się, że ktoś zawsze będzie w pobliżu, gdybyś potrzebowała pomocy.

– Nic mi nie będzie, Doll – zapewniła. Jej wielkie brązowe oczy napełniły się łzami, aż w końcu jedna wymknęła się spomiędzy rzęs i spłynęła po policzku. – Po prostu muszę się nauczyć żyć bez niej.

*

Kolejne dni spędziłam z Farly w domu jej rodziny. Nie rozmawialiśmy wiele, ale robiłam wszystkim herbatę i pomagałam żonie jej taty, Annie, w pracach domowych. Po śmierci Florence dziennikarka „Telegraph” znalazła jej bloga i skontaktowała się z rodziną, by poprosić o pozwolenie na publikację fragmentów w gazecie razem z artykułem na jej temat. Zgodzili się, wiedząc, że Floss by tego chciała. Dzięki artykułowi jeszcze więcej ludzi

kontaktowało się z Annie i Richardem, by przekazać im wyrazy współczucia i żalu, że ktoś tak pełen życia odszedł tak wcześnie.

– Pisz listy – powiedziała mi Annie pewnego ranka, kiedy usiadła przy stole i zaczęła przeglądać wielką stertę kartek i listów z kondolencjami. – Zawsze się martwiłam, że nie wypada pisać do kogoś, komu przytrafiło się coś złego. Ale to nieprawda, każde słowo pomaga. Jeśli ta sytuacja czegokolwiek mnie nauczyła, to żeby zawsze wysyłać ludziom listy.

Po południu wybraliśmy się wszyscy na spacer z psem. Farly i ja szłyśmy obok siebie. Na głowach miałyśmy takie same czapki z pomponem, które kupiłyśmy kilka dni wcześniej, kiedy wybrałyśmy się do centrum handlowego po wkładki do butów, które miała włożyć na pogrzeb. Przez cały ostatni tydzień byłyśmy nierozłączne. Kiedy tak szłyśmy w identycznych czapkach kilka kroków za dorosłymi, miałam wrażenie, że znów jesteśmy nastolatkami. Tym razem nie rozmawiałyśmy jednak o chłopakach poznanych na MSN-ie. Przez piętnaście lat chodzenia ramię w ramię – podczas szkoły, studiów, pierwszych wspólnych lat w Londynie – w którymś momencie zabawa w dorosłość zmieniła się w rzeczywistość.

– Ona powiedziała mi kiedyś, że nie chce być zapomniana. Mam wyrzuty sumienia, że znów zaczynam normalnie żyć – wyznała Farly.

– Wtedy jeszcze nie wiedziała, że umiera. Na pewno nie mogłaby znieść myśli, że pogrążysz się w wiecznej żałobie.

– Pewnie masz rację.

– Możesz znaleźć równowagę. Pamiętać o niej, ale nie zrezygnować z własnego życia.

– Bez niej to wszystko będzie strasznie dziwne.

– To twoja nowa normalność – przytaknęłam. – Ale nie przejmuj się, o kimś takim jak ona za cholerę nie da się zapomnieć.

– To prawda – zgodziła się Farly.

– Musisz żyć dalej. Nie masz wyboru. Pójdziesz dalej albo utoniesz.

Szliśmy dalej wzdłuż rzeki. Był zimny, słoneczny dzień, nieruchomy i czysty jak w zapomnianej śnieżnej kuli. Minęliśmy rząd domków przy Chiswick – wszystkie mają drzwi w jaskrawych kolorach. Puby o pobielanych ścianach niemal migotały na lekkim chłodnym wietrze niosącym kropelki wody znad rzeki. Gdyby nie mosty, po których

przejeżdżały rozdudnione wagony metra, pomyślałabym, że jesteśmy w nadmorskiej wiosce.

– Ant i Dec tu mieszkają – powiedziałam, wskazując na domki. – W którymś z nich.

– Niemożliwe.

– Naprawdę, daję słowo.

– Nie wierzę. Tylko tak mówisz, bo te drzwiczki są takie malutkie.

– PRZYSIĘGAM, że tu mieszkają.

– Razem?

– Nie, nie razem. Po sąsiedzku.

Szłyśmy dalej.

– Nie chcę nigdy mieszkać daleko od ciebie – odezwałam się.

– Ja też nie.

– Nie obchodzi mnie, gdzie będę mieszkać w przyszłości. Zależy mi tylko, żeby być blisko ciebie.

– Mnie też.

– Nawet teraz wydaje mi się, że jesteśmy od siebie za daleko. Chcę, żeby nasze domy były jak najbliżej. Od tej pory to będzie dla mnie priorytet.

– Zgoda – przytaknęła Farly.

Grudniowe słońce nadal świeciło jasno na niebie.

– Zawsze myślę o tobie przy takiej pogodzie. Taką lubisz najbardziej – powiedziałam.

– Tak. Zimno i jasno.

– A ja najbardziej lubię, kiedy jest zimno i mokro, bo jestem skoncentrowaną na sobie neurotyczką, a ty zawsze byłaś pogodna i pełna energii.

– Ha!

– To prawda. W dzieciństwie tego nie rozumiałyśmy. Zawsze sądziłyśmy, że to ty jesteś tą wrażliwą, ale okazuje się, że to ja nie potrafię niczego ogarnąć, a ty jesteś o wiele twardsza, niż ci się wydaje.

– Nie jestem tego taka pewna – westchnęła.

– A ja tak. Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam. Ja nie poradziłabym sobie z czymś takim.

– Nie wiesz tego. Nikt nie wie, jak zareaguje, dopóki tego nie przeżyje.

Szłyśmy dalej obok siebie, zapatrzone na promienie słońca skaczące po powierzchni wody.

– Odkąd umarła, cały czas jest taka pogoda.

– Ona jest tu z nami – zapewniłam. – Zawsze będzie przy tobie, kiedy wytkniesz komuś niesprawiedliwość albo roześmiejesz się na ulubionym filmie. Wtedy będziecie razem.

Przeszłyśmy przez most. Annie i jej siostra szły za nami. Wielki pies dreptał tuż obok, wesoło majtając ogonem.

– Chciałabyś zostać skremowana? – spytała Farly.

– Tak. I żeby rozsypano moje prochy w Devonie. Na plaży Mothecombe.

– Ja też. Ale mnie rozsypią tam, gdzie będzie Floss, w Kornwalii. Chociaż mam wyrzuty sumienia, że nie będę z tobą.

– E, nie przejmuj się. Spotkamy się po drugiej stronie. Będziemy tylko musiały tam na siebie poczekać.

– Jasne.

– Jak myślisz, plaża nie jest zbyt samotniczym wyborem jak na mnie? Może powinnam zamiast tego wybrać park Hampstead Heath? To moje ulubione miejsce w Londynie. Rodzice często mnie tam zabierali w dzieciństwie.

– Nie, absolutnie nie. Ludzie będą po tobie deptać.

– Racja. Poza tym to zbyt przewidywalne i snobistyczne.

– Dlatego myślę, że lepiej być rozsypaną na morzu – zamyśliła się Farly. – Chociaż boję się rekinów.

– Ale przecież już będziesz martwa.

– No tak.

– Właśnie o to chodzi. Rekin może cię zeżreć, a tobie nic się nie stanie. Będziesz już za daleko, żeby wrócić.

– Dobra, w takim razie na morzu.

Ruszyłyśmy do domu w złotym świetle słońca. Byłam wdzięczna za życie Florence i za wszystko, czego mnie nauczyła. Za słońce na moście, kiedy stawiałam jedną nogę przed drugą. Za tę chwilę, w której pojęłam, że życie naprawdę może być tak proste jak oddychanie. I za to, że wiem, jakie to uczucie aż tak bardzo kochać

osobę idącą obok mnie. Tak głęboko, tak przejmująco. Tak niemożliwie.

Przepis: jajecznica *(na dwie osoby)*

Potrzebujesz tylko masła, jajek i chleba. Do jajecznicy wcale nie trzeba dodawać mleka ani śmietany. Postaw na prostotę. Jajecznicę można przygotować i zjeść, kiedy będzie ci smutno.

– dwa kawałki solonego masła
– 4 świeże jajka (plus jedno dodatkowe żółtko, jeśli masz ochotę na rozpustę), lekko roztrzepane widelcem
– sól i pieprz do smaku

Rozpuść powoli kawałek masła na małym ogniu na szerokiej patelni.

Przelej roztrzepane jajka na gorące masło.

Wymieszaj drewnianą łyżką, wolno i równomiernie.

Zdejmij patelnię z ognia, kiedy jajecznica będzie jeszcze odrobinę zbyt mokra. Dodaj soli i pieprzu, wrzuć drugi kawałek masła, zamieszaj.

SMS-y, które moja współlokatorka India pozwala mi wysyłać ze swojego telefonu w swoim imieniu *(Ja też nie wiem, dlaczego się na to zgadza)*

Wiadomości do Sama, jej dawnego kolegi z pracy

India 20.47

Dzieńdoberek miłemu koledze! Co słychać? Wiem, że to trochę z zaskoczenia, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, w której dzielnicy Londynu obecnie mieszkasz?

Sam 20.48

Richmond. Dlaczego pytasz? Przeprowadzasz się na Południe?

India 20.50

Otóż nie. Zostaję na Highgate. Mamy ostatnio pewien kłopot z wywozem odpadów. Śmieciarka przyjeżdża tylko raz na dwa tygodnie, a nasz kosz bardzo szybko się zapełnia. Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym co drugi tydzień podrzucała ci dwa nasze kosze na Richmond? Będę je przywozić i odbierać następnego dnia, więc nie masz o co się martwić.

Sam 20.51

Ee… co? Chcesz co drugi tydzień wozić wielkie kosze na śmieci dwadzieścia kilometrów dalej? Nie możesz wywalać tego gdzie indziej?

India 20.51

Zależy mi, żeby były w dobrych rękach.

Sam 20.52

Kosze na śmieci?

India 20.52

Tak.

To nie będzie dla ciebie duży problem, nawet nie zauważysz.

Sam 20.53

Przestań.

India 20.53

Okej, spoko. Mam koleżankę w Peckham, napiszę do niej.

Sam 20.54

Naprawdę musisz to załatwiać z ludźmi, którzy mieszkają ponad 15 kilometrów od ciebie? To trochę drastyczne rozwiązanie. Dlaczego nie napiszesz do kogoś z Camden? Tak byłoby prościej.

India 20.56

Sam, przecież właśnie w tym rzecz, żeby to była inna dzielnica. Północny Londyn odpada. Potrzebna mi zupełnie inna dzielnica w innej części miasta.

Następnego dnia

India 21.00

Hej. Wiem, że dałeś mi kosza, ale…

Sam 21.01

Jezu!

Ty znowu o tym samym? Myślałem, że ten temat już poszedł na śmietnik.

India 21.01

Nie słyszałeś o recyklingu?

Sam 21.02

Hahahahaha. Dobre.

India 21.02

Ale tak na poważnie – możemy zacząć nasz układ od przyszłego tygodnia?

Sam 21.03

Jezu, mówisz poważnie?

India 21.03

Śmieciarka przyjeżdża we wtorek, mogłabym więc podjechać metrem w poniedziałek i podrzucić ci te kosze, co ty na to?

Sam 21.05

India, myślałem, że się upiłaś. Ja mieszkam w Barnes.

India 21.05

No i?

Sam 21.06

To ponad godzina drogi.

India 21.06

Masz rację, za daleko, żeby jechać metrem.

Sam 21.07

Nawet nie mieszkam przy metrze.

India 21.07

Zadzwonię po taksówkę bagażową.

Sam 21.08

Przestań. Nie chcę twoich śmieci.

India 21.08

Okej. Trochę nie wiem, co teraz zrobić, ale rozumiem, że to dla ciebie za dużo zachodu.

Sam 21.09

Nie możesz ich po prostu gdzieś wywalić? Nikt się nie dowie, jeśli nie będzie tam żadnych osobistych dokumentów.

India 21.10

Może i tak.

Chociaż wolałabym je po prostu podwieźć do Barnes, to bardziej praktyczne rozwiązanie.

Sam 21.10

Nie, to jakiś absurd.

India 21.11

Rozumiem, że zależy ci na prywatności itp.

I pewnie nie chcesz, żebym tak przyjeżdżała co chwilę.

Sam 21.11

Nie, nie chcę niańczyć twoich śmietników. To nienormalne. Ale jeśli miałabyś kiedyś ochotę wyjść na piwo w Barnes, to chętnie. Tylko nie przywoź żadnych koszy.

Rozmowa z Shaunem, znajomym z uczelni

India 19.21
Hej! Coś czuję, że masz smykałkę do interesów. Nie pomyliłam się?
Shaun 19.22
Kto pisze?
India 19.22
Lic. India Masters.
Shaun 19.53
W czym mogę pomóc?
India 19.54
Dostrzegłam niszę na rynku – i to dość sporą – w postaci małej podaży minilodówek w różnych kolorach. Mam już biznesplan, potrzebuję tylko partnera, który wyłoży kasę na start. Czy znalazłam właściwego człowieka?

Rozmowa z Zakiem, znajomym z uczelni
India 18.53
Mogłabym prosić cię o przysługę??
Zac 18.54
Jasne, mała.
India 18.54
Pożyczyłbyś mi w tym tygodniu spodnie na spotkanie w pracy?
Zac 18.54
Ha, ha. Spoko. A jakie spodnie? I dlaczego?
India 18.55
Po prostu zauważyłam, że nosisz fajne spodnie.
Nie chce mi się kupować nowych.
To bardzo ważne spotkanie z klientem.
Zac 18.55
Będą na ciebie za długie.
India 18.55
Nie wydaje mi się.
Zac 18.55
Dziwna jesteś. Ile masz wzrostu?
India 18.56

Metr pięćdziesiąt siedem.

Zac 18.57

A ja metr osiemdziesiąt.

India 18.57

Podwinę sobie nogawki.

Nie przejmuj się niczym, po prostu mi je przynieś.

Wiadomość do Paula, faceta, z którym India raz się całowała

India 19.02

Hej, jak leci?

Paul 19.16

Wszystko dobrze, a co u ciebie?

India 19.18

Dzięki za odpowiedź. Mam propozycję: jestem w trakcie zakładania zespołu tanecznego, chodzi głównie o tradycyjny taniec irlandzki, ale nie zniechęcaj się tym, bo na pewno dodamy współczesne akcenty. Zaczyna się sezon na wesela, więc mógłbyś sporo sobie dorobić. Może się skusisz na ten kąsek? Raz-dwa nauczysz się choreografii, no i tak szczerze to po prostu potrzebujemy kogoś wysokiego z tyłu. Daj znać, co o tym sądzisz.

Paul 19.56

Wow!, dzięki, że o mnie pomyślałaś. Brzmi super, ale niestety mam strasznie zapchany kalendarz na resztę roku i wątpię, żebym miał czas na takie zobowiązania. Bardzo żałuję. Koniecznie rób zdjęcia. Trzymaj się i mam nadzieję, że do zobaczenia niedługo!

India 19.58

Ale chcesz ten kąsek czy nie?

23 marca

Drogie kobiety, które Emily poznała w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat!

Mam nadzieję, że wszystko u Was dobrze i że nie możecie się już doczekać przyszłotygodniowego świętowania. Uznałyśmy, że warto dać Wam znać, jak będzie wyglądał wielki dzień panieńskiej imprezy.

W sobotę zaczynamy równo o ósmej rano. Zbiórka w Tower of London na kursie gotowania w stylu Tudorów. Nauczymy się, jak przyrządzić faszerowaną pieczeń z sarny w duszonych gruszkach. O dziewiątej zostanie podana na śniadanie ze szczodrą porcją miodu pitnego.

O dziesiątej przejdziemy do hali sportowej na Kentish Town, gdzie zagramy w piłkę nożną z dildo. To bardzo proste – podzielimy się na dwa zespoły i rozegramy mecz towarzyski, ale przez cały czas będziemy mieć na sobie wielkie czarne strap-ony. (Te z Was, które jeszcze tego nie zrobiły, PROSZĘ o przysłanie Waszego ulubionego wspomnienia z Emily w jednym zdaniu – zapiszemy je białym korektorem na jej dildo, by mogła zachować je na wieczną pamiątkę).

Punkt dwunasta przebierzemy się w nasze pierwsze stroje (*Bajer z Bel-Air* w stylu disco), opuścimy halę sportową i ruszymy do ulubionego pubu Emily, w którym była dwa razy dziesięć lat temu – Pod Małpą i Wróblem w Camden.

12.30 – Lunch (wliczony w kwotę, którą już mi przelałyście). Posiłek obejmuje przepyszne mezze do podziału. Każdej z Was przysługuje jeden falafel, trzy oliwki, pół chlebka pita i kieliszek prosecco. Jeśli nie pijecie prosecco ani innego wina z bąbelkami, proszę o zorganizowanie sobie własnego alkoholu na cały dzień.

14.00 – Po lunchu możemy zagrać w wesołą grę towarzyską „Jak blisko tak naprawdę się przyjaźnimy?”. Otoczymy Emily kołem, a ona będzie po kolei odpowiadać na pytania dotyczące każdej z nas. Jeśli na więcej niż jedno udzieli niewłaściwej odpowiedzi, pytająca zostanie wykluczona z dalszego uczestnictwa w spotkaniu i poproszona o udanie się do domu (w pierwszej rundzie Emily będzie musiała odpowiedzieć, gdzie pracujemy; w następnej – jak mamy na drugie imię itd.). To nie tylko podniesie stawkę na cały dzień, ale też pomoże zredukować wielkość grupy do 30–35 osób, bo tylko tyle może pomieścić restauracja, do której idziemy później na kolację. Uważam, że to jedyne uczciwe rozwiązanie.
15.00 – Z wielką radością potwierdzam, że rękodzielnicza pracownia cukiernicza Sucre et Crème przygotowała czekoladowe odlewy różnych męskich odbytów (serdeczne podziękowania dla druhny Lindy za organizację). Emily będzie musiała zgadnąć, który odbyt należy do jej narzeczonego.
16.00 – Uważamy, że to dobry moment na drugie przebranie: „Moja ulubiona Emily”. W ostatnich tygodniach otrzymałam wiele pełnych niepokoju maili z pytaniami, co to właściwie ma oznaczać. Chciałabym więc jeszcze raz podkreślić: **chodzi o to, żeby się dobrze bawić**. Nie przejmujcie się za bardzo! Emily z drużyny lacrosse, Emily robiąca sobie rok przerwy po maturze i gruba Emily bez pracy to świetne propozycje! Ktoś zasugerował też Emily zakonnicę, ale to jedyny pomysł, który nas nie przekonał. Przypominam, że w tym czasie będą nam jeszcze towarzyszyć mamy i babcie.
17.00 – Zanim wszystkie będziemy zbyt pijane, by cokolwiek pamiętać, wręczymy Emily tamponowe drzewko. Mam nadzieję, że wszystkie pamiętałyście, by zachować zużyty tampon i przynieść go w kopercie. Mamy dla niej drzewko figowe, które udekorujemy tamponami na znak, że przyjaźń i kobiecość zawsze będą nas łączyć. To będzie dla niej naprawdę wyjątkowa chwila.
18.00 – Żegnamy mamy oraz babcie i zamawiamy im Ubera do domu.
18.30 – Jedziemy do Ribs N Bibs w Stockwell.
19.15 – Natychmiast po przyjeździe do restauracji przebieramy się w wyjściowe ciuchy. (Pamiętajcie o szpilkach!! Postarajmy się dla Emily w jej dniu).

19.30 – Przystawki.
20.30 – Występ niespodzianka członków Blue Man Group nago. Emily podkreślała, że nie chce żenujących striptizerów na imprezie, uznałyśmy więc, że to będzie dobry kompromis. (Druhnom przypominam, żeby zabrały dla Emily ubranie na zmianę, bo pod koniec występu będzie cała w farbie).
21.00 – Danie główne.
22.00 – Deser i szybki kurs kapelusznictwa. Zaprosiłyśmy światowej sławy kapeluszniczkę Madame Meringue, która zgodziła się nauczyć nas, jak zrobić jednorazowe stroiki do włosów z resztek deseru. **Tutaj** możecie obejrzeć jej fantastyczny tutorial, jak wykonać beret z ciasta banoffee, jeśli chcecie wiedzieć, czego się spodziewać.
23.00 – Idziemy do klubu FLUID na Vauxhall, gdzie mamy zarezerwowane krzesło (stolików już nie było).
4.00 – Zamknięcie klubu. I to by było na tyle!
Muszę jeszcze tylko dodać informację od Emily, że niestety zaproszenie na panieński dzień **NIE GWARANTUJE** zaproszenia na wesele. Ceremonia będzie (stosunkowo) skromna i nie uda się wszystkich pomieścić, ale Emily ma nadzieję, że mimo to zjawicie się, by wspólnie świętować jej ostatnie dni panieństwa.
Każda osoba przyłapana na rozmowie z nią o weselu albo próbująca wysępić zaproszenie zostanie natychmiast usunięta z imprezy – to ma być dla niej przyjemność, a nie kolejny dzień ślubnej logistyki.
Dziękuję wszystkim za przelanie ustalonej kwoty 378 funtów i 23 pensów od osoby – to pokryje wszystkie koszty panieńskiej imprezy, z wyjątkiem przejazdów, głównego dania w restauracji, napojów w restauracji i drinków w klubie.
Nadal czekamy na przelew od następujących osób:
EMILY BAKER
JENNIFER THOMAS
SARAH CARMICHAEL
CHARLOTTE FOSTER
Jeśli powyżej wymienione nie prześlą pieniędzy dzisiaj do 23.00, nie będą mogły niestety wziąć udziału w wydarzeniu, a reszta będzie musiała pokryć spowodowaną przez to różnicę w cenie.

Do zobaczenia na panieńskim!!
Druhny

Co mówi moja terapeutka

Dlaczego tu jesteś?

Dlaczego tu jestem? Nigdy nie sądziłam, że znajdę się w tym pokoiku z kremowym dywanem i bordową kanapą, schowanym na tyłach Oxford Circus. Zawsze pachniało tu perfumami molekularnymi i niczym więcej, nieważne, jak bym nie węszyła przy wejściu – żadnych resztek lunchu ani stygnącej kawy, żadnych dowodów na istnienie życia poza tym pomieszczeniem, z wyjątkiem perfum kobiety, która tu na mnie czekała. Od tamtej pory zawsze, gdy czuję ten zapach na jakiejś imprezie, myślę o wizytach o trzynastej w piątek i coś ściska mnie za serce. Płaciłam za godzinę siedzenia w próżni, gdzie nie istniało nic poza rozmową dwóch osób – jak w budce komentatora czy w studiu analiz po meczu. Odbierałam to, jakby to był mniej popularny program powstały na fali popularności głównego show, coś jak *Gwiazdy tańczą na żużlu* albo *Taniec na lodzie: Roztopy*. Myślałam o tym pokoju, kiedy znajdowałam się na skraju złej decyzji: w klubowej toalecie albo na tylnym siedzeniu taksówki z jakimś facetem. To miejsce obiecywało, że moje życie się w nim odmieni.

Zawsze sobie przysięgałam, że nigdy tam nie trafię, teraz jednak nie było już dla mnie miejsca nigdzie indziej. Skończyły się wszystkie opcje. Miałam dwadzieścia siedem lat i tonęłam pod falami lęku. Minęło dziewięć miesięcy, odkąd zostałam freelancerką, i niemal każdy dzień od tamtej pory spędzałam sam na sam ze swoimi myślami. Odpychałam zatroskaną rodzinę i przyjaciół; bez przerwy zbierało mi się na płacz, ale nie potrafiłam z nikim porozmawiać. Kiedy się budziłam, nie miałam pojęcia, gdzie jestem i co się dzieje;

codziennie rano zderzałam się ze swoim życiem tak, jakby sen walił mnie w głowę do krwi.

Trafiłam tam, bo musiałam; bo zbyt długo odwlekałam tę chwilę; bo zawsze mówiłam, że nie mam czasu albo pieniędzy; bo to było zbyt niemądre i samolubne. Powiedziałam przyjaciółce, że jestem na skraju załamania, a ona dała mi numer telefonu do tej kobiety. Skończyły mi się wymówki.

– Chyba zaraz się przewrócę i umrę – odparłam.

Ona – Eleanor – zerknęła na mnie znad okularów i znów popatrzyła na kartkę, by pospiesznie zrobić notatki. Miała ciemną grzywkę w stylu lat siedemdziesiątych, częściowo rozchodzącą się na środku czoła jak firanka, kocie brązowe oczy i mocno zarysowany nos. Była chyba nieco po czterdziestce. Wyglądała jak młoda Lauren Hutton. Zauważyłam, że ma umięśnione, opalone i eleganckie ramiona. Pewnie uważa, że jestem głupią beksą, pomyślałam. Wielką frajerką. Uprzywilejowaną dziewczyną, która bez potrzeby wyrzuca w błoto ciężko zarobione pieniądze, by przez godzinę tygodniowo ględzić o sobie. Domyślałam się, że rozpoznaje takie kobiety na kilometr.

– Nie mogę otwierać ani zamykać żadnych okien w mieszkaniu, muszę prosić kogoś innego, żeby to za mnie zrobił – ciągnęłam cicho, przerywając co chwila, by powstrzymać łzy. Miałam wrażenie, że naciskają mi na gałki oczne jak woda na tamę. – Czasami nie mogę nawet wejść do pokoju, jeśli jest w nim otwarte okno, bo tak bardzo się boję, że przez nie wypadnę. A kiedy metro wyjeżdża z tunelu, muszę stać z plecami przyciśniętymi do ściany. Widzę, jak wpadam pod pociąg i umieram. Mam ten obraz przed oczami za każdym razem, kiedy mrugam. A potem przez całą noc w kółko odtwarzam tę scenę w głowie i nie mogę zasnąć.

– Rozumiem – odparła z australijskim akcentem. – I od jak dawna się tak czujesz?

– W ciągu ostatnich sześciu miesięcy bardzo mi się pogorszyło. Ale to pojawia się i znika prawie od dziesięciu lat. Kiedy lęki się nasilają, zaczynam dużo pić. To samo z obsesją na punkcie śmierci. Upadek to fiksacja ostatniego miesiąca.

Zaprezentowałam jej składankę złotych przebojów moich nawracających zaburzeń emocjonalnych. Opowiedziałam o swojej

wadze, która zmienia się szybciej niż chmury na niebie – i że mogę spojrzeć na każde zdjęcie, które zrobiono mi od dwa tysiące dziewiątego roku i powiedzieć, ile na nim ważyłam – co do kilograma. Przyznałam się do obsesji na punkcie alkoholu, która nie osłabła, odkąd byłam nastolatką. Opowiedziałam o dręczącym mnie nieugaszonym pragnieniu, choć większość ludzi w moim wieku już wie, kiedy przestać pić. O tym, że zawsze byłam znana z picia w rekordowym tempie, o wielkich czarnych dziurach w pamięci rozlewających się na wiele nocy w ciągu ostatnich lat. Wyznałam, że odczuwam coraz większy wstyd i niepokój na myśl o straconych godzinach i o tej obłąkanej dziewczynie, która biega po mieście, gdy tracę nad sobą kontrolę – wiedziałam, że jestem za nią odpowiedzialna, ale nawet nie pamiętam, kiedy się w nią zmieniam, i nie wiem, czego się po niej spodziewać.

Opowiedziałam Eleanor o swojej niezdolności do zaangażowania się w związek, o obsesji na punkcie zainteresowania ze strony mężczyzn i jednoczesnym lęku przed zbliżeniem się do kogokolwiek. O tym, jak trudno było mi patrzeć na przyjaciółki, jedna po drugiej wchodzące w długotrwałe związki z taką łatwością, jakby wchodziły do chłodnego basenu w upalny dzień. I o tym, jak każdy chłopak, z którym się spotykałam, pytał mnie, dlaczego ja tego nie potrafię. Przyznałam się do swoich obaw, że nie jestem zaprogramowana do romantycznych relacji.

Rozmawiałyśmy o tym, że rozsmarowuję się po tak wielu życiach, jak to tylko możliwe, niczym ostatnia łyżeczka marmite. Wyznałam, że oddaję niemal całą energię innym ludziom, choć nikt mnie o to nie prosi. Wydawało mi się, że w ten sposób kontroluję, co oni o mnie myślą, a jednak czułam się coraz bardziej jak oszustka. Opowiedziałam, jak fantazjuję o tym, co ludzie mówią za moimi plecami, i że prawdopodobnie i tak zgodziłabym się z każdą obelgą ciśniętą w swoim kierunku. Opisałam, jak wiele potrafię poświęcić, by czuć się akceptowaną przez otoczenie: wydawałam w knajpach wszystkie pieniądze na kolejki dla ludzi, których widziałam pierwszy i ostatni raz w życiu, a tydzień później nie miałam na czynsz; zaczynałam sobotni wieczór o szesnastej i kończyłam o czwartej nad ranem, by zaliczyć sześć imprez urodzinowych znajomych, których

ledwo kojarzyłam. To wszystko sprawiało, że czułam się wyczerpana, ciężka, bezwolna i pełna pogardy dla samej siebie. Widziałam tę żałosną ironię: miałam wokół siebie cudownych przyjaciół, a mimo to nie potrafiłam nikomu się zwierzyć. Zdałam sobie sprawę, jak głęboko sięga mój lęk przed zależnością od drugiej osoby. Byłam w stanie rozpłakać się w łóżku nieznajomego, którego poznałam w Nowym Jorku, ale nie umiałam poprosić o pomoc najbliższych przyjaciół.

– Tylko że nic z tego, o czym mówię, nie ma widocznego wpływu na moje życie – podsumowałam. – Głupio mi, że tu w ogóle przyszłam, bo mogło być o wiele gorzej. Mam cudownych przyjaciół, wspaniałą rodzinę. Dobrze mi idzie w pracy. Z zewnątrz nikt by nie zgadł, że coś jest ze mną nie tak. Po prostu czuję się do dupy. Bez przerwy.

– Jeśli ciągle czujesz się do dupy – odparła Eleanor – to znaczy, że ta sytuacja ma bardzo, ale to bardzo duży wpływ na twoje życie.

– Możliwe.

– Boisz się upadku, bo jesteś rozbita na sto kawałków, które unoszą się w powietrzu. Jesteś wszędzie i nigdzie. Nie masz korzeni. Nie wiesz, jak być sama ze sobą.

Tama pod powiekami wreszcie puściła i łzy trysnęły z najgłębszej studni gdzieś na samym dnie brzucha.

– Mam wrażenie, że już nic mnie nie trzyma w całości – wyznałam bez tchu, a szloch punktował każde słowo jak czkawka. Strumienie łez płynęły mi po policzkach, gorące i niepowstrzymane jak krew.

– To zrozumiałe – odparła terapeutka, tym razem łagodniej. – Nie masz poczucia własnego ja.

A więc dlatego się tu znalazłam. Olśniło mnie. Sądziłam, że boję się upadku, ale w rzeczywistości nie wiedziałam, kim jestem. Nic z tego, czym próbowałam zapychać pustkę, już nie działało; czułam się tylko jeszcze bardziej oddalona od samej siebie. Ten przytłaczający lęk już od jakiegoś czasu szedł do mnie pocztą, a teraz wreszcie dotarł na miejsce, zatrzepotał w klapce na listy w drzwiach i spłynął mi do stóp. Byłam zaskoczona diagnozą; sądziłam, że moje poczucie własnego ja jest mocne jak skała. Przecież należę do Pokolenia Własnego Ja, to nasza specjalność. Od dwa tysiące szóstego roku

wypełniam różne wersje pola „O mnie”. Sądziłam, że jestem najbardziej świadomą siebie osobą, jaką znam.

– Nigdy się nie dowiesz, co tak naprawdę o tobie myślę – powiedziała Eleanor na pożegnanie. Już wyczuła, jak działam. – Po moim zachowaniu będziesz w stanie się domyślić, czy cię lubię, ale nigdy nie odkryjesz, co dokładnie o tobie myślę na poziomie osobistym. Musisz o tym zapomnieć, jeśli chcesz, żebyśmy zrobiły jakieś postępy.

W pierwszej chwili poczułam dyskomfort podszyty paranoją, ale niemal natychmiast zastąpiło go poczucie absolutnej ulgi. Chodziło jej o to, żebym przestała robić głupie żarty i przepraszać za to, że zużywam jej chusteczki z pudełka na stoliku obok; że jestem w miejscu, w którym nie muszę zastanawiać się nad każdym słowem, gestem i anegdotką, by ją zadowolić i przekonać do siebie. Ta kobieta bez poczucia tożsamości, bez świadomości własnego ja – ten kameleon, splątany supeł lęków skupiony tylko na tym, by zadowolić ludzi wokół siebie – dostała przyzwolenie, żeby po prostu być. Eleanor chciała mi przez to powiedzieć, że w pokoju z kremowym dywanem i bordową kanapą jestem bezpieczna. Mogłam sobie odpuścić.

Wyszłam z gabinetu i pokonałam dziewięciokilometrową drogę do domu na piechotę. Czułam jednocześnie wyzwalającą ulgę, że wreszcie trafiłam do gabinetu psychoterapeutki, i przytłaczający ciężar myśli, co mnie tam czeka. Zapewniałam samą siebie, że w trzy miesiące wszystko się poukłada.

– Ona uważa, że nie mam poczucia własnego ja – powiedziałam Indii wieczorem, gdy robiła kolację.

– Gówno prawda – zaprotestowała stanowczo. – Nie znam nikogo, kto miałby silniejszą osobowość od ciebie.

– No, ale nie chodzi o to, jak zagłosuję w referendum europejskim ani jak podane ziemniaki lubię najbardziej. Ona chce przez to powiedzieć, że rozbijam się na kawałeczki, które rozdaję różnym ludziom, zamiast tworzyć jedną całość. Jestem niespokojna, bez własnego miejsca. Nie wiem, jak być sobą bez tych wszystkich rekwizytów, którymi się podpieram.

– Nie wiedziałam, że się tak czujesz.

– Mam wrażenie, że się rozpadam – wyznałam.

– Nie chcę, żebyś była smutna. – India podeszła boso i mnie objęła. Spaghetti bulgotało łagodnie na kuchence. – Nie chcę, żebyś to robiła, jeśli będziesz przez to nieszczęśliwa.

W następny piątek powiedziałam Eleanor, że India nie chce, bym przechodziła przez ten proces, bo to mnie unieszczęśliwi. Wyznałam, że po części się z nią zgadzam.

– Okej, niespodzianka – ucięła bezpośrednim, sarkastycznym tonem, którego z biegiem czasu zaczęłam coraz bardziej potrzebować. – Już jesteś nieszczęśliwa. Kurewsko nieszczęśliwa.

– Wiem, wiem – westchnęłam, znów sięgając po chusteczkę. – Przepraszam, że tyle ich zużywam. Na pewno trzeba ich dużo kupować w tym zawodzie.

Eleanor zapewniła, że właśnie po to tu są.

***

I tak zaczął się ten proces. Co tydzień przychodziłam do niej i wspólnie prowadziłyśmy dochodzenie w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak doszło do tego, że stałam się tym, kim się stałam. Analizowałyśmy moją przeszłość. Czasami omawiałyśmy coś, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, a czasami koncentrowałyśmy się na wydarzeniach z lekcji wuefu sprzed dwudziestu lat. Terapia to wielkie wykopaliska na psychice, prowadzone z archeologiczną cierpliwością tak długo, aż coś się wykopie. Cotygodniowe osobiste przedsięwzięcie na wielką skalę, prowadzone wspólnym wysiłkiem przez terapeutę i pacjenta.

Rozmawiałyśmy tak długo, aż wreszcie Eleanor przedstawiła ciąg przyczynowo-skutkowy, który wydał nam się właściwy. Następnie wspólnie ustaliłyśmy, jak to zmienić. Czasami wyznaczała mi zadania – coś, czego powinnam spróbować, sprawy do przepracowania, pytania, na które należy poszukać odpowiedzi, myśli do przeanalizowania, rozmowy, które trzeba przeprowadzić. Przez dwa miesiące płakałam w każde piątkowe popołudnie, a w piątkowe noce spałam po dziesięć godzin.

Z terapią wiąże się mit, że chodzi w niej o to, by zwalać winę na innych ludzi. Z upływem czasu przekonałam się jednak, że w rzeczywistości jest na odwrót. Słyszałam tu i ówdzie o terapeutach, którzy brali na siebie rolę defensywnej, zaślepionej matki w życiu pacjentki i ciągle zapewniali, że to nie jej wina, tylko chłopaka, szefowej, najlepszego przyjaciela. Eleanor rzadko pozwalała mi obciążać odpowiedzialnością kogoś innego i zawsze zmuszała mnie do zastanowienia się, jakie decyzje doprowadziły mnie do szczególnie złej sytuacji. Właśnie dlatego bałam się naszych sesji.

– Zawsze ponosisz jakąś odpowiedzialność za rozwój wypadków w relacji – powiedziała mi pewnego razu. – Chyba że ktoś umrze.

Po kilku miesiącach Eleanor i ja pierwszy raz szczerze się roześmiałyśmy. Kiedy przyszłam na sesję, byłam w rozsypce po okropnym tygodniu w pracy. Kończyły mi się pieniądze, samoocena leciała w dół. Martwiłam się, skąd wziąć kasę na czynsz i że moja kariera stoi w miejscu. Paranoja działała na pełnych obrotach; wyobrażałam sobie, że każdy, z kim pracuję, uważa mnie za niekompetentne, nieprzydatne beztalencie. Przez trzy dni nie wychodziłam z mieszkania. Opisałam terapeutce wyrazistą wizję, w której grupa obcych mi ludzi rozmawia w sali konferencyjnej o tym, jaką jestem koszmarną, nieudolną pisarką. Ona przyglądała mi się uważnie przez cały czas z niedowierzaniem wypisanym na twarzy.

– Wiesz co… – westchnęła i uniosła brwi. – To obłęd, że coś takiego w ogóle przyszło ci do głowy. – Zauważyłam, że im mniej mi pobłażała, tym wyraźniejszy stawał się jej australijski akcent. Podniosłam wzrok znad chusteczki. Nie takiej reakcji się spodziewałam.

– Całe sale konferencyjne pełne obcych ludzi? – powtórzyła, kręcąc głową z niedowierzaniem. – To NIEWIARYGODNY narcyzm.

– Cóż – odparłam, prychając śmiechem. – No. Kiedy tak o tym mówisz. To absurd.

– Nikt o tobie nie rozmawia.

– Aha – przytaknęłam, ocierając łzy chusteczką. Nagle poczułam się jak postać, którą mógłby zagrać Woody Allen. – Masz rację.

– Mówię poważnie! – upierała się Eleanor, nadal oburzona. Odgarnęła długą grzywkę z wysokich kości policzkowych. – Dolly, nie jesteś aż tak interesująca.

W trzecim miesiącu wreszcie przetrwałam całą sesję bez łez. Nawet nie ruszyłam pudełka z chusteczkami. Terapeutyczny kamień milowy.

Wprawdzie najbliżsi przyjaciele kibicowali mi w tym procesie, ale szybko odkryłam, że dla niektórych ludzi moja praca nad sobą oznacza, że stałam się nudna. Coraz mniej piłam – bez przerwy zadawałam sobie pytanie, czy robię to dla przyjemności, czy po to, by uciec przed jakimś problemem. Starałam się skończyć z zadowalaniem innych za wszelką cenę. Już rozumiałam, że właśnie przez tak szczodre szafowanie swoim czasem i energią rozkopuję pustkę w swoim wnętrzu, i nie chciałam, by zmieniła się w otchłań. Częściej zdobywałam się na szczerość, mówiłam wprost, kiedy byłam zła, wzburzona albo urażona, i ceniłam spokój, który przychodził wraz z wiernością sobie. Nieprzyjemna rozmowa nie stanowiła wysokiej ceny za wewnętrzną równowagę. Stałam się bardziej świadoma swojego zachowania, więc o wiele rzadziej robiłam z siebie idiotkę, by rozbawić innych.

Miałam wrażenie, że rozwijam się z tygodnia na tydzień. Zawsze, kiedy wdrażałam w życie nowe nawyki, czułam, że odbywa się we mnie jakaś emocjonalna fotosynteza. Narodziła się we mnie obsesja na punkcie roślin doniczkowych; jakiś taki żenujący zielony błąd logiczny. Przeczytałam, co potrzebuje słońca, a co cienia, i wypełniłam całe mieszkanie zielenią. Epipremnum pełzało po półkach z książkami, paprotka rozsiadła się na lodówce, a monstera rozpostarła liście na tle jasnej, białej ściany w sypialni. Powiesiłam sobie doskonały filodendron nad łóżkiem. Czasami w nocy zimna kropelka wody spływała z jego liści w kształcie serca i spadała mi na głowę. India i Belle nie były pewne, czy to rzeczywiście mi służy, i wspominały coś o chińskiej torturze wodnej, ja jednak wyczytałam, że to gutacja – proces, dzięki któremu roślina w nocy pozbywa się nadmiaru wody. Naciska na korzenie i ciężko pracuje, żeby wszystko z siebie wyrzucić. Powiedziałam przyjaciółkom, że dla mnie to coś oznacza. Filodendron i ja wspólnie nad czymś pracowaliśmy.

– Jeszcze kilka doniczek i będziesz tu miała plan zdjęciowy *Krwiożerczej rośliny* – skomentowała pewnego dnia Farly, rozglądając się po mojej sypialni.

Gdy ograniczyłam alkohol, doświadczyłam czegoś zupełnie nowego: zaczęłam się budzić z kompletnym, linearnym wspomnieniem całej poprzedniej nocy. Wiedziałam, co kto powiedział, jak wyglądał, pamiętałam sygnały, jakie ludzie sobie wysyłali w przekonaniu, że zachowują dyskrecję. Zauważyłam, że kiedy tylko pojawiam się na imprezie albo na wspólnym wyjściu, ludzie oczekują po mnie najgorszego. W pubach oznacza to zamawianie kolejnych butelek wina, telefon do dilera, siedzenie przed wejściem i palenie fajki za fajką, przerzucanie się po pijaku wstrętnymi plotkami o wspólnych znajomych. Nawet nie dostrzegłam, kiedy stałam się imprezową dilerką z czarnego rynku. Zapewniałam wszystkim zielone światło na najgorsze zachowanie – i nie miałam o tym pojęcia, dopóki nie przestałam.

Najbrutalniejszy i najbardziej przenikliwy cios Eleanor zadała mi podczas spotkania, kiedy poruszyłyśmy właśnie ten temat.

– Uświadomiłam sobie, że ludzie oczekują ode mnie plotek. Spodziewają się tego po mnie, kiedy się pojawiam, zwłaszcza jeśli dużo piją.

– A rzeczywiście plotkowałaś?

– No, trochę – przyznałam. – Ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mnie to wciągnęło.

– Dlaczego to robiłaś?

– Nie wiem. Może żeby czuć się blisko z innymi? Podtrzymać rozmowę? Albo żeby poczuć władzę. To jedyny powód, dla którego ludzie plotkują. Robiłam to dla władzy.

– Owszem – przytaknęła Eleanor z lekkim uśmiechem zarezerwowanym na okazje, kiedy coś sobie uświadamiałam, zanim mnie na to naprowadziła. – W ten sposób poniżamy innych, żeby urosnąć we własnych oczach.

– Chyba tak.

– Wiesz, kto jeszcze tak robi? – Terapeutka zamilkła na chwilę. – Donald Trump.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Eleanor, naprawdę nauczyłam się doceniać twoją szorstką miłość, ale nawet jak na ciebie to lekka przesada.

– Okej, Nigel Farage – odparła, wzruszając ramionami, jakbym czepiała się szczegółów.

„Moja terapeutka porównała mnie dziś do Donalda Trumpa", napisałam do Farly, wychodząc na Regent Street. „Chyba naprawdę robię postępy".

Aż wreszcie, jakieś pięć miesięcy po rozpoczęciu terapii, nagle natrafiłam na ścianę. Postępy się zatrzymały. Zaczęłam reagować defensywnie na uwagi Eleanor i ona to zauważyła. Na jednej z sesji zasugerowałam, że może nie ma sensu rozgrzebywać różnych wydarzeń i decyzji, które podjęłam na różnych etapach życia, bo i tak nie znajdziemy w nich żadnych odpowiedzi. Nie było sensu roztrząsać, co kiedyś wydarzyło się między mną a chłopakiem ani dlaczego moi rodzice potraktowali mnie w dzieciństwie tak, a nie inaczej. Uznałam, że może to bez sensu, a ja po prostu taka się urodziłam. Czy Eleanor wierzyła, że mogłam się z tym urodzić?

– Nie – odparła, patrząc na mnie ze zdumieniem.

– No oczywiście, że nie wierzysz – stwierdziłam kwaśno. – W przeciwnym razie twoja praca nie byłaby nikomu potrzebna.

Jeśli w którymś tygodniu dawałam dupy w pracy nad sobą, czasami tworzyłam sobie historyjkę, którą mogłabym jej opowiedzieć, żeby potraktowała mnie łagodniej, ale potem przypominałam sobie, ile płacę za te wizyty, jak dużo dodatkowych zleceń musiałam wziąć, żeby było mnie na to stać, i jaką stratą pieniędzy byłoby unikanie mówienia prawdy na sesjach. Koleżanki chodzące na terapię mówiły mi, że stresują się czasami przed spotkaniem, bo próbują wymyślić coś dostatecznie pikantnego. Ze mną było na odwrót. Zawsze zastanawiałam się, co mogę ukryć przed Eleanor albo jak przedstawić wydarzenia z tygodnia, który minął, w lepszym świetle.

Oczywiście ona natychmiast to zauważała. Przecież sama jej pokazałam, jak działam. Drażniło mnie, że tak dobrze mnie zna, i wybuchałam płaczem, gdy obnażała moje zagrywki. Nie byłam zła, że terapeutka wypomina mi niewłaściwe zachowania, po prostu czułam niechęć do samej siebie za to, że w ogóle to zrobiłam.

W szóstym miesiącu doszłam do punktu, kiedy prawie wykrzyknęłam na sesji: „A niby jakim cudem TY tak zajebiście się na tym wszystkim znasz? Proszę bardzo, powiedz, jaka jesteś doskonała”. Uświadomiłam sobie, że potrzebuję przerwy, ale nie przyznałam się do tego przed Eleanor. Ona stwierdziła, że „wyczuwa we mnie złość”, odparłam, że nic mi nie jest. Zaczęłam odwoływać spotkania. Straciłam półtora miesiąca.

Kiedy do niej wróciłam, odkryłam, że jest o wiele bardziej wyrozumiała, niż zapamiętałam. Może to ja wymyśliłam jej zawziętość i nieustępliwość w terapii? Czyżby stała się białym płótnem, które zamalowałam złością i niechęcią, które odczuwałam wobec samej siebie? W połowie sesji Eleanor zapytała, dlaczego przestałam przychodzić na terapię bez omówienia tego z nią. Miałam ochotę poszukać wymówki. Pomyślałam o pieniądzach i czasie, które na to przeznaczałam; było już za późno, żeby się wycofać.

– Nie wiem – wyznałam.

– Czy to dlatego, że sesje stały się zbyt osobiste? – spytała. – Nie chcesz być od tego zależna?

– No – westchnęłam. – Chyba o to chodzi. Chciałam to kontrolować.

– To możliwe – stwierdziła Eleanor, myśląc na głos. – Tutaj odbija się twoje codzienne życie.

– Chyba tak.

– Co konkretnie próbujesz kontrolować?

– Wszystko – powiedziałam i natychmiast uświadomiłam sobie, że to prawda. – Staram się mieć wpływ na to, jaką kto ma opinię na mój temat. Jak ludzie zachowują się w stosunku do mnie. Próbuję powstrzymać złe wydarzenia: śmierć, katastrofy, rozczarowanie. Wszystko to chcę mieć pod kontrolą.

Jej olśnienie stało się też moim; postanowiłam ulec temu procesowi. Oddałam się w ręce Eleanor z pełnym zaufaniem i zaczęłam następny etap wspólnej pracy.

– Musisz dalej tu przychodzić – powiedziała. – Musimy rozmawiać tak długo, aż zdołamy połączyć wszystko w jedną całość.

Wydaje mi się, że problem częściowo brał się stąd, jak wiele ta kobieta dowiedziała się na mój temat – poznała wszystkie

najmroczniejsze zakamarki mojego umysłu, wszystkie najświętsze, najbardziej wstydliwe, upokarzające, okropne i drogocenne doświadczenia. A ja nie dostałam od niej nic w zamian. Czasami wyobrażałam ją sobie w domu; zastanawiałam się, jak wygląda jej życie poza terapią. Byłam ciekawa, co mówi o mnie znajomym, czy kiedykolwiek czytała moje artykuły, szukała mnie w mediach społecznościowych albo w Google, tak jak ja sprawdziłam ją, kiedy pierwszy raz dostałam rachunek z jej pełnym imieniem i nazwiskiem.

Kilka tygodni później Eleanor spytała, jak się czuję po powrocie na terapię. Wyznałam, jak bardzo mi przeszkadza, że nic o niej nie wiem. Rozumiałam, że na tym polega ta wymiana, ale czasami wydawało mi się, że to niesprawiedliwe. Dlaczego ja muszę co tydzień się obnażać, a ona może zostać w ubraniu?

– Jak to nic o mnie nie wiesz? – spytała ze szczerym zdziwieniem.

– Nie znam cię jako osoby.

– Owszem, znasz.

– Wcale nie. Nie potrafiłabym niczego powiedzieć o tobie znajomym.

– Przychodzisz tu co tydzień. Rozmawiamy o miłości, seksie, rodzinie, przyjaźni, szczęściu, smutku. Doskonale wiesz, co myślę o tych wszystkich sprawach.

– Ale nie wiem, czy masz męża albo dzieci, gdzie mieszkasz, co robisz w wolnym czasie. Nie wiem nawet, czy chodzisz na siłownię – dodałam, myśląc o jej wyrzeźbionych ramionach. W szczególnie trudnych chwilach zdarzało mi się na nie zerkać i zastanawiać się, jak wygląda jej trening.

– I wydaje ci się, że ta wiedza pomogłaby ci zrozumieć, kim jestem? Przecież dużo już o mnie wiesz.

Z biegiem czasu nauczyłam się języka Eleanor. Po szczególnie łzawej sesji zawsze mówiła: „Dbaj odpowiednio o siebie”, z naciskiem na słowo „odpowiednio”. To oznaczało: „Nie nawal się do nieprzytomności przez weekend”. Wiedziałam też, że nie jest dobrze, kiedy komentowała moje opowieści słowami: „O rany!”. Ale najgorsze jak dotąd było: „Martwiłam się o ciebie w tym tygodniu”. Kiedy Eleanor tak mówiła, to znaczyło, że w ostatni piątek naprawdę dałam jej popalić.

Nigdy nie przestałam bać się piątków, ale z czasem lęk słabł. Eleanor i ja częściej się razem śmiałyśmy. Wyznałam, że czasami po sesji idę prosto do Pret a Manger i zjadam brownie w pięć sekund albo wchodzę do jakiegoś sklepu i kupuję badziewie za dziesięć funtów, którego zupełnie nie potrzebuję. Odparła, że to przez moje obawy, co ona sobie o mnie myśli, a ja przyznałam jej rację. Nie ma nic naturalnego w przesiadywaniu w małym pokoiku z kimś oderwanym od twojego życia, kto słucha surowych, nieocenzurowanych historii, których nigdy nie opowiadałaś na głos nikomu, może nawet samej sobie. Ale im zdrowsza się stawałam, tym rzadziej projektowałam na Eleanor lęki przed byciem ocenianą. Terapeutka zaczęła przybierać swoją prawdziwą postać: kobiety, która jest po mojej stronie.

Kiedy przyjaciółka powiedziała mi, że to relacja między pacjentką a terapeutką ma prawdziwie lecznicze działanie, a nie rozmowa, zrozumiałam. Wspólnie z Eleanor zbudowałyśmy mój wewnętrzny spokój i ład – była jak fizjoterapeutka wzmacniająca we mnie mięśnie. Zabrałam ze sobą jakąś część jej i mam pewność, że zawsze będzie mi ona towarzyszyć. Razem z nią rozwinęłam nowe pojmowanie samej siebie, którego nigdy nie zdołam zignorować i zakopać. Ona mówiła na to „praca". I rzeczywiście tak to czułam. Czas spędzony razem był trudny, pełen wyzwań i konfrontacji. Nigdy mi nie odpuszczała. Zmusiła mnie do namysłu nad rolą, jaką odgrywam we wszystkich zdarzeniach wokół mnie. Niekiedy szukałam sytuacji, w których moje zachowanie nie miało konsekwencji. Po szczególnie trudnych piątkowych popołudniach zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie zapuściła się w tę podróż w głąb siebie. Czy byłoby mi łatwiej żyć jako pijana idiotka w taksówce pędzącej o czwartej nad ranem po M1? Jako ktoś, kto nigdy nie zastanawia się nad swoim zachowaniem, lecz spycha je na bok i powtarza w następny weekend?

Eleanor uwielbiała mówić, że życie jest do dupy. Powtarzała mi to co tydzień. Mówiła, że będę rozczarowana. Przypominała, że nigdy nie zdołam go kontrolować. Pogodziłam się więc z nieuniknionym.

Po roku rozmowy płynęły już z łatwością, znajomo; Eleanor polecała mi książki, które jej zdaniem mogłyby mi pomóc. Na pożegnanie zazwyczaj mówiła „Na razie", a nie „Dbaj odpowiednio o siebie". Już nie wzdychała z troską, kiedy opowiadałam jej jakąś historię. Zamiast tego zaczęłam dość regularnie słyszeć pełne szczerej ekscytacji: „To WSPANIALE!". W pewne piątkowe popołudnie skończyły mi się tematy, które mogłabym z nią poruszyć.

Nie wiedziałam dokładnie, jak długo chcę ciągnąć terapię i jak swobodnie pragnę się na niej czuć, ale wiedziałam, że im dłużej przychodzę do Eleanor, tym lepiej wszystko rozumiem. Wypracowałam w sobie pewną harmonię, tak jak przewidziała. Połączyłam kropki; zaczęłam dostrzegać schematy. Mówienie powoli łączyło się z działaniami. Przepaść między moimi emocjami i zachowaniem stawała się coraz mniejsza. Nauczyłam się zatrzymywać przed problemami i zaglądać w głąb siebie, choćby to było szalenie nieprzyjemne, zamiast uciekać na Hebrydy Zewnętrznych Przeżyć, kiedy coś szło nie tak. Coraz rzadziej piłam alkohol, a kiedy już sobie na to pozwalałam, to żeby świętować, a nie uciekać, w rezultacie przestało to prowadzić do katastrof.

Poczułam się silniejsza i stabilniejsza. Drzwi w moim wnętrzu otwierały się jedne po drugich. Opróżniłam wszystkie pokoje swojej duszy i opowiedziałam Eleanor o każdym śmieciu i zardzewiałym gracie, które w nich znalazłam, a następnie wszystko to wywaliłam. Z każdym otwartym pokojem znajdowałam się coraz bliżej siebie, wewnętrznego spokoju. Coraz bliżej domu.

12 czerwca

Droga Dolly Cośtam Alderton!

Gratulacje! Wygrałaś zaproszenie na wesele Jacka Harveya-Jonesa i Emily White. Nie było łatwo zajść tak daleko – Ty i kuzynka Emily, Rose, doszłyście do finałowej dwójki walczącej o zaproszenie zarówno na ślub, jak i na wesele. Ostatecznie wybraliśmy Ciebie, bo jesteś głośna i sporo pijesz, uznaliśmy więc, że trochę rozruszasz stolik introwertycznych znajomych Jacka z London School of Economics. Rose pojawi się dopiero na przyjęciu, ale to nic nie szkodzi, bo my też nie byliśmy zaproszeni na jej ślub, który wzięła z mężem „w sekrecie". Poza tym ona ma duże znamię na twarzy i zepsułaby wszystkie dzienne zdjęcia.

No więc tak! Werble! Pan i pani Keith White'owie mają przyjemność zaprosić Cię na uroczystość zaślubin ich córki Emily z panem Jackiem Harveyem-Jonesem w Dolinie na Końcu Świata.

(Wiem, że „pan i pani Keith White'owie" brzmi trochę dziwnie, ale rodzice Jacka są z bogatego domu z tradycjami i twierdzą, że tak właśnie się pisze na zaproszeniach. A ponieważ płacą za alkohol, nie chce nam się o to kłócić).

Z wielką radością zapraszamy na ceremonię, podczas której ojciec odda córkę innemu zadowolonemu mężczyźnie, jakby sprzedawał używany samochód. Kiedy radykalnie feministyczna grupa koleżanek Emily zacznie ją o to wypytywać, panna młoda skłamie i powie, że takie były zasady w kościele i że „nie mieliśmy wyboru", więc prosimy, żeby wszyscy trzymali się tej wersji.

Przy okazji – błagamy, żadnych prezentów. Wystarczy Twoja obecność! No dobrze, skoro TAK BARDZO NALEGASZ, możesz wybrać jakiś drobiazg z naszej listy życzeń na stronie sklepu Liberty. Dostąpisz tam zaszczytu

zamówienia czegoś banalnego, jak suszarka do sałaty za pięćdziesiąt funtów, albo dekadenckiego, jak na przykład ogromny porcelanowy królik w cylindrze. Twój wybór, naprawdę.
Jeśli chcesz, możesz też wysłać trochę kasy na organizację charytatywną, wszystko jedno którą. Po prostu uznaliśmy, że to będzie dobrze wyglądać. (Niech nam ktoś kupi kanapę chesterfield do salonu!!).
Droga Dolly Cośtam Alderton, zdajemy sobie sprawę z faktu, że jesteś singielką o rocznym dochodzie nieprzekraczającym 30 tys. funtów (przy dobrych wiatrach), a nasz łączny budżet dobija do 230 tys. rocznie. Wiemy też, że mamy na start mieszkanko za 700 tys. w Battersea (wkład własny został w całości pokryty przez rodziców), a Ty z trudem wysupłujesz co miesiąc sześćset sześćdziesiąt osiem funtów na czynsz, więc to najzupełniej logiczne, żebyś to Ty kupiła nam drogie prezenty, które ozdobią nasz w pełni umeblowany dom.
Żarty żartami, tak naprawdę zależy nam tylko na Twojej obecności, więc nie przejmuj się prezentem, datkiem na organizację charytatywną i innymi takimi. Jeśli pojawisz się z pustymi rękami, nic się nie stanie – po prostu przez kolejny rok będziemy rzucać jadowite komentarze na ten temat za każdym razem, kiedy spotkamy się ze wspólnymi znajomymi, a Ciebie akurat nie będzie w towarzystwie. I to w sumie świetne rozwiązanie, bo musimy przecież opowiadać o weselu, dopóki nie zajdziemy w ciążę. Mamy więc nadzieję, że Twoja samolubna decyzja, by nie uczcić naszej miłości zestawem naczyń Le Creuset, zapewni nam dość materiału do rozmów, by jakoś dotrwać do pierwszych dyskusji o trymestrach i porodach w wodzie – dzięki.
W kwestii alkoholu – każdy gość na powitanie otrzyma kieliszek szampana/niezidentyfikowanego białego wina z bąbelkami w kieliszku do szampana. Potem niestety już tylko płatny bar. Staraliśmy się wcisnąć w weselny budżet – 75 tys. funtów – także alkohol dla stu dwudziestu osób, ale niestety nie wyszło. Z tymi ślubami zawsze tak jest!
Załączamy namiary na wściekle drogi B&B, który wszyscy bardzo gorąco polecamy; nie raz jedliśmy tam niedzielny lunch. Oczywiście nie musisz się tam zatrzymywać, możesz zamiast tego wybrać jakikolwiek inny nocleg w zabitej dechami wioseczce na końcu świata, w której postanowiliśmy wziąć ślub.

Miłych poszukiwań – rezerwuj szybciutko!

No to do zobaczenia. A przy okazji – wiem, że każdy, kogo znasz, dostał opcję plus jeden, bo wszyscy są w związkach. Nie, nie znamy większości ich partnerów, po prostu uznaliśmy, że będzie im miło przyjść z kimś bliskim, bo wiesz, ludzie w związkach lubią przebywać razem. Niestety, Ty nie załapałaś się na takie wsparcie i musisz przyjść sama. Wybacz, to nic osobistego, po prostu układ miejsc musi się spinać. Ale zadzwoń do obleśnego brata Jacka, bo wydaje mi się, że to jedyny poza Tobą singiel na całym weselu, więc będzie fajnie, jeśli pojedziesz z nim jednym pociągiem i zarezerwujecie wspólny pokój! Chociaż niewykluczone, że przyjedzie z tą dziewczyną z Francji, którą poznał ostatnio na konferencji, więc może poczekaj z dzwonieniem, aż to sprawdzimy.

Strój: formalny dzienny, cokolwiek to znaczy.

Dojazd: kościół i lokalizacja są szalenie fotogeniczne, więc najlepiej byłoby, gdyby nikt nie przyjeżdżał samochodem, bo to zepsułoby zdjęcia i sielankową atmosferę. Doradzamy pociąg z Londynu – najbliższa stacja znajduje się trzydzieści pięć kilometrów od Doliny na Końcu Świata. Stamtąd możesz dotrzeć do kościoła z pomocą miejscowej firmy taksówkarskiej, ale prosimy zadzwonić wcześniej, bo mają na stanie tylko trzy pojazdy.

W kwestii innych formalności: chcemy, żeby wesele miało swobodny charakter, zachęcamy więc wszystkich do rzucania konfetti przed kościołem. To świetna zabawa! PROSIMY O NIEPRZYNOSZENIE WŁASNEGO KONFETTI. Będzie ono rozdawane z pojemnika Tupperware przez ALISON, MATKĘ PANNY MŁODEJ, która przez cztery lata suszyła pojedynczo płatki ostróżki specjalnie na tę okazję. Ostróżka świetnie wygląda na zdjęciach, jest tańsza od róż, ale tak samo przyjazna środowisku – papierowe konfetti jest szkodliwe dla miejscowych zwierząt. Właściciel restauracji poinformował, że jeśli na miejscu zostanie znaleziony CHOĆBY JEDEN PŁATEK PAPIEROWEGO KONFETTI, to przyjęcie zostanie natychmiast odwołane, cała obsługa odesłana do domu i wesele się nie odbędzie. Dlatego uprasza się wszystkich do odczekania na swoją kolej i odebrania MAŁEJ GARSTKI płatków (prosimy, aby była mała, żeby wszyscy mogli wziąć udział w zabawie). Następnie wszyscy rzucą nimi w szczęśliwą parę młodą, kiedy wyjdzie z kościoła jako mąż i żona.

Prosimy o dopisanie do RSVP ulubionej piosenki. Nasz DJ postara się ją zagrać, ale tylko jeśli to *I Would Walk 500 Miles* zespołu Proclaimers albo *Umbrella* Rihanny.
Wszystkie zdjęcia na Instagramie proszę oznaczać hasztagiem „jemily2016". Chcieliśmy samo „jemily", ale niestety to marka lubrykantu, o czym dowiedzieliśmy się w trakcie poszukiwań, więc „#jemily2016" musi wystarczyć.
Dzieci mile widziane!
Absolutny zakaz garniturów biznesowych – bez krawata nie wpuszczamy. To nasz wyjątkowy dzień, a nie spotkanie klubu krykieta.
Jeśli nie możesz się pojawić, nic nie szkodzi – w przyszłym miesiącu organizujemy jeszcze jedno niezobowiązujące przyjęcie dla dalszych, lecz wybitnie instagramowych znajomych z Londynu. Miesiąc później planujemy kolejną ceremonię i wesele w Austrii, bo stamtąd pochodzi duża część rodziny Jacka. Potem błogosławieństwo na Ibizie razem z grupowymi wakacjami, na które wszyscy dostaniecie zaproszenie. Słowem – nasz ślub będzie jak roczna trasa koncertowa, wybierz więc datę, która Ci najbardziej pasuje, kup bilet i wpadaj.
Buziaki i uściski, już nie możemy doczekać się Was wszystkich!
Jack i Emily

PS Przykro nam, że musiałaś zapłacić za odbiór tego zaproszenia, ale strasznie nam się spieszyło z wysyłką i kupiliśmy złe znaczki. To znaczy, że wszyscy musieli dopłacić siedemdziesiąt dziewięć pensów, które zostaną zwrócone przy wejściu do sali weselnej. Brat Jacka, Mark, jest odpowiedzialny za kasetkę z pieniędzmi. Znajdziecie go przy pergoli. ZWROT TYLKO NA PODSTAWIE POTWIERDZENIA ZAPŁATY.

PPS Przepraszamy za cekiny w kształcie serduszek, które wysypały się z koperty na cały dywan, który dopiero co odkurzyłaś.

Klub złamanych serc

Kiedy się obudziłam, miałam trzy nieodebrane połączenia od Farly, choć nie było jeszcze siódmej. Zostawiła mi też wiadomość z prośbą, żebym się z nią skontaktowała. Zanim zdążyłam wybrać jej numer, telefon zadzwonił jeszcze raz. Wiedziałam, że to nic dobrego. W ciągu osiemnastu miesięcy od śmierci Florence Farly odsunęła się od znajomych i zatonęła głęboko w żałobie. Próbowałam się do niej zbliżyć, ale nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby jej pomóc. Zdarzało się, że zaczynałyśmy się z czegoś śmiać i przez chwilę widziałam w niej powidok dawnej Farly, po chwili jednak śmiech przechodził w niepohamowany szloch, a ona przepraszała za to, że sama już nie rozumie, jak działają jej ciało i umysł. Na widok rozświetlonego ekranu miałam teraz w głowie tylko jedną, samolubną myśl: Nie wiem, jak ją znowu uspokoję. Odetchnęłam głęboko i odebrałam.

– Dolly?

– Co się stało?

– Nikt nie umarł – powiedziała szybko, wychwytując panikę w moim głosie.

– Okej.

– Chodzi o Scotta. Chyba się rozstajemy.

Za osiem tygodni mieli wziąć ślub.

Godzinę później dotarłam do ich mieszkania. Farly była sama; Scott poszedł do pracy, a ona dostała od szefowej kilka dni urlopu na żądanie. Streściła mi całą rozmowę ze Scottem z poprzedniego wieczoru, słowo w słowo. Zupełnie się tego nie spodziewała – ślub był teraz dla niej najmniejszym zmartwieniem. Była gotowa zrobić wszystko, żeby uratować związek. Jej tata z żoną spędzali akurat

weekend w swoim domku w Kornwalii. Postanowiłyśmy do nich pojechać, żeby Farly i Scott mieli kilka dni do namysłu na osobności.

Najpierw jednak ustaliłyśmy, co ona chce powiedzieć narzeczonemu przez telefon. Spytała, czy mogłabym być z nią w tym samym pokoju podczas rozmowy – dygotała z nerwów i zależało jej, żebym była w zasięgu wzroku. Wyjaśniła, że będzie spokojniejsza. Usiadłam na kanapie, a ona krążyła po mieszkaniu z telefonem w dłoni. Rozejrzałam się po ich wspólnym domu; po życiu, które razem zbudowali. Mój wzrok zatrzymał się na zdjęciu w ramce, na którym obejmowali się z miłością; mieli po dwadzieścia kilka lat. Obok niego stała fotografia z ostatnich wakacji we Florencji. Ceglasty dywanik, który pomagałam im wybrać; kanapa, na której leżeliśmy we trójkę aż do świtu, piliśmy czerwone wino i oglądaliśmy w telewizji wyniki wyborów. Wydruk piosenki Morriseya, który kupiłyśmy im z okazji zaręczyn, nadal wisiał na ścianie.

Przyszła mi do głowy dziwna, niewygodna myśl. Przez tyle lat nie pragnęłam niczego innego; trzymałam się nadziei, że w którymś momencie jedno z nich oddali się od drugiego, ja odzyskam najlepszą przyjaciółkę i będziemy ciepło wspominać Scotta, Pierwszą Miłość Farly. Tymczasem teraz, kiedy ta chwila w końcu nadeszła, czułam wyłącznie przejmujący smutek i tęsknotę. Przeszli razem przez tak wiele, że rozpaczliwie pragnęłam pomóc jej ocalić ten związek. Wszyscy postrzegaliśmy ich ślub jako piankę izolacyjną, która wypełniłaby pustkę, którą zostawiła w rodzinie śmierć Florence. W każdej rozmowie z bliskimi i przyjaciółmi zgadzaliśmy się, że ceremonia będzie pełna wielkiego szczęścia i nieuniknionego smutku, ale z pewnością wyznaczy nowy rozdział dla wszystkich. Uważaliśmy ją raczej za początek niż za koniec pewnego etapu.

Po śmierci Floss wzięłam na siebie rolę świadkowej z takim zaangażowaniem, jakby ta rola równała się pasowaniu na rycerza. A.J., Lacey i ja zaplanowałyśmy wieczór panieński Farly z rozmachem i ambicjami przewyższającymi ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich. Po miesiącach błagań i negocjacji hotel we wschodnim Londynie zgodził się wynająć nam – ze sporą zniżką – salę przyjęć na najwyższym piętrze, z widokiem na panoramę miasta, byśmy mogły zorganizować tam wielką kolację. Zamówiłam występ London

Gay Men's Chorus, by wykonał dla Farly kilka piosenek o tematyce weselnej – wszyscy mieli być ubrani w koszulki z nadrukiem jej twarzy. Wspólnie z profesjonalnym miksologiem zaprojektowałam koktajl o nazwie The Farly. Zamówiłam na eBayu kartonową męską sylwetkę naturalnych rozmiarów i przykleiłam do niej twarz Scotta, żeby dziewczyny mogły robić sobie z nim zdjęcia. Nagrałam dziesiątki wiadomości wideo od różnych ludzi z życzeniami szczęścia w małżeństwie – zamierzałam wyświetlić je wszystkie podczas wieczoru panieńskiego. Wśród nagrań znalazły się życzenia od Deana Gaffneya, który w latach dziewięćdziesiątych grał w brytyjskiej telenoweli *EastEnders*, a także od dwóch członków *Ekipy z Chelsea*, od chłopaka, z którym Farly straciła dziewictwo, i od kierowniczki jej lokalnej pralni chemicznej.

Dostroiłam się z powrotem do rozmowy, którą moja przyjaciółka prowadziła przez telefon ze Scottem.

– Może wesele wymknęło się spod kontroli – powiedziała. – Nie sądzisz? Może za bardzo się zapędziliśmy. Zapomnijmy o tym wszystkim i skoncentrujmy się na nas.

W tej samej chwili dostałam maila z biura posła z okręgu Farly.

Droga Dolly,

dziękujemy za wiadomość. Andy chętnie weźmie udział w przedsięwzięciu – to wspaniałe, jak bardzo Ci zależy, by Twoja przyjaciółka miała niezapomniany wieczór panieński! Czy dałabyś radę wpaść do biura Andy'ego w najbliższy poniedziałek o 11.30, żeby nagrać życzenia?

Jeśli ten termin Ci nie odpowiada, poszukam innego dnia.

Serdecznie pozdrawiam,

Kristin

Po cichu skasowałam wiadomość.

Pojechałyśmy do mojego mieszkania. Wrzuciłam kilka rzeczy do torby i napisałam do Indii i Belle, że Farly ma zapalenie migdałków,

a Scott wyjechał w delegację, więc zatrzymam się u niej na kilka dni. Głupio mi było kłamać, ale wszystko zawisło na włosku. Przyszłość rysowała się tak niepewnie, że wolałam unikać szczegółów, by Farly nie musiała odpowiadać na żadne pytania. Ustawiłam sobie na skrzynce zwrotkę „Poza biurem", wsiadłyśmy do samochodu Farly i ruszyłyśmy do Kornwalii.

Wiele razy pokonywałyśmy tę trasę: M25, M4, M5. Jeździłyśmy tą drogą na wakacje w domku w Kornwalii, na wycieczki, kiedy miałyśmy szesnaście i siedemnaście lat, wreszcie na uczelnię i z powrotem do Londynu, kiedy studiowałyśmy w Exeterze. Ona prowadziła ranking stacji benzynowych na trasie, uporządkowany według dostępnych tam przekąsek. Lubiła sprawdzać moją wiedzę na ten temat w kolejności od najlepszych do najsłabszych (stacja Chieveley na pierwszym miejscu, potem Heston i wreszcie Leigh Delamere).

To dziwne, ale w tamtej chwili długa podróż samochodem była chyba najlepszym rozwiązaniem. Samochód Farly przez lata stał się domem naszej nastoletniej przyjaźni. W czasach, kiedy tak rozpaczliwie pragnęłam stać się dorosła, prawo jazdy Farly stanowiło przepustkę do wolności. Auto było naszym pierwszym wspólnym mieszkaniem, schronieniem przed resztą świata. Na wzgórzu w Stanmore jest takie miejsce, skąd można patrzeć na całe miasto migoczące jak Kraina Oz. Jeździłyśmy tam po szkole i paliłyśmy na spółkę paczkę silk cutów, jadłyśmy lody Ben & Jerry's z pudełka i słuchałyśmy Magic FM.

– Co widzisz, kiedy na to patrzysz? – spytała kiedyś, kilka tygodni przed końcem szkoły.

– Wszystkich chłopaków, w których się zakocham, książki, które napiszę, mieszkania, w których będę mieszkać, i mnóstwo nocy i dni, które na nas czekają. A ty? Co widzisz?

– Coś absolutnie przerażającego – odparła.

Pięciogodzinna podróż wydawała się trwać dłużej niż zazwyczaj. Może dlatego, że nie towarzyszyło jej nasze zwykłe trajkotanie, dźwięki radia ani porysowanych płyt Joni Mitchell. Wisiała między nami cisza, która nie była ciszą; słyszałam hałas w głowie Farly. Położyłyśmy jej telefon na desce rozdzielczej. Obie czekałyśmy, aż

Scott zadzwoni i powie, że popełnił straszny błąd. Za każdym razem, kiedy ekran się rozświetlał, Farly odrywała wzrok od drogi i zerkała na smartfona.

– Sprawdź, co to – mówiła szybko. Za każdym razem okazywało się jednak, że to tylko wiadomość od kogoś z naszych wspólnych znajomych. Życzyli jej powrotu do zdrowia i pytali, czy chce, żeby wpadli do niej z zupą i czymś do poczytania.

– Kurwa mać – westchnęła, śmiejąc się słabo. – Ostatnie sześć lat spędziłam z nim na ciągłym pisaniu o najbanalniejszych rzeczach. A teraz, kiedy tak bardzo chciałabym, żeby się do mnie odezwał, dostaję tylko dziesiątki wiadomości z życzeniami wyzdrowienia ze zmyślonej choroby.

– Przynajmniej wiesz, że jesteś kochana – podsunęłam. Znów zapadła niespokojna cisza.

– Co ja powiem ludziom? – spytała. – Będę musiała zawiadomić gości.

– Teraz nie musisz o tym myśleć. A jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, nic nikomu nie będziesz musiała tłumaczyć. My się tym zajmiemy.

– Nie wiem, jak bym to przetrwała bez ciebie. Dopóki ty ze mną jesteś, wszystko będzie dobrze.

– Jestem przy tobie – zapewniłam. – Nigdzie się nie wybieram. Zawsze będę po twojej stronie. Razem przez to przejdziemy, nieważne, co nas czeka w przyszłości.

Farly wbiła wzrok prosto przed siebie, w ciemną drogę M5.

– Dolly… Przepraszam, jeśli dałam ci odczuć, że jesteś na drugim miejscu.

*

Dotarłyśmy kilka minut po północy. Richard i Annie już na nas czekali. Przygotowałam herbatę – podczas pierwszych tygodni po śmierci Floss nauczyłam się na pamięć preferencji wszystkich członków rodziny, bo to była jedyna realna pomoc, jaką mogłam zaoferować – a następnie usiedliśmy na kanapie i omówiliśmy wszystko, co się wydarzyło, wraz z każdym możliwym scenariuszem.

W końcu poszliśmy spać. Farly i ja położyłyśmy się w jednym łóżku i zgasiłyśmy światło.

– Wiesz, co tu jest największą tragedią? – zagadnęłam.

– No?

– Lauren i ja wreszcie nauczyłyśmy się wszystkich akordów i harmonii do *One Day Like This* na ceremonię.

– Och, wiem, nawet mi nie mów. To nagranie, które mi wysłałaś, było cudowne.

– A kwartet smyczkowy dopiero co potwierdził, że jednak dadzą radę zagrać podczas wejścia.

– Wiem, wiem.

– Może tak naprawdę dobrze się stało – powiedziałam. – Teraz ta piosenka i tak przypomina wszystkim tylko te montaże sylwetek uczestników w *X Factorze*.

– Stracicie pieniądze za wieczór panieński?

– Nie przejmuj się tym – uspokoiłam ją. – Ogarniemy to wszystko.

Zapadła cisza. Czekałam na kolejne zdanie.

– No, dawaj. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewna, że to się już nie wydarzy, więc równie dobrze możesz mi wszystko powiedzieć.

– Ale wtedy będzie ci smutno.

– Nie, to mi poprawi nastrój.

Opowiedziałam Farly o weekendzie, jaki dla niej zaplanowałyśmy. Przy każdym absurdalnym szczególe jęczała jak dziecko, któremu zabrano słodycze. Obejrzałyśmy na moim telefonie filmiki z życzeniami od brytyjskich ćwierćcelebrytów.

– Dziękuję, że to zaplanowałaś – wyszeptała Farly. – To brzmi cudownie. Byłabym zachwycona.

– Jeszcze ci to zorganizujemy.

– Ja już nigdy nie wyjdę za mąż.

– Tego nie wiesz. A nawet jeśli nie, to po prostu przerzucę wszystkie te plany na twoje urodziny, bo jestem leniem. Zrobię ci odjazdową czterdziestkę.

Jej oddech zaczął zwalniać i się pogłębiać. Przez lata spania w jednym łóżku i przekomarzanek na temat tego, że zasypia w połowie filmu, bezbłędnie nauczyłam się rozpoznawać chwilę, gdy przyjaciółka zapadała w sen.

– Obudź mnie, jeśli będziesz mnie potrzebować – dodałam jeszcze.

– Dzięki, Dolls. Czasami żałuję, że nie mogę być w związku z tobą – wymruczała sennie. – Wszystko byłoby wtedy o wiele prostsze.

– Tak, Farly, ale obawiam się, że nie jesteś w moim typie.

Roześmiała się, a po kilku minutach zaczęła płakać. W milczeniu gładziłam ją po plecach.

*

Kilka następnych dni spędziłyśmy na długich spacerach. W kółko omawiałyśmy te same szczegóły z ich ostatniej rozmowy, próbując dojść do momentu, kiedy coś poszło nie tak. Robiłam herbatę, choć Farly jej nie piła. Richard gotował posiłki, których nie chciała jeść. Oglądałyśmy telewizję, a ona patrzyła nieruchomo przed siebie. Wkrótce jednak musiałam wracać do Londynu do pracy. Farly przyjechała kilka dni po mnie. Umówiła się ze Scottem na spotkanie w parku niedaleko ich mieszkania, żeby się przejść i o wszystkim porozmawiać.

Rano w dzień ich spotkania nie mogłam się na niczym skupić. Wpatrywałam się w ekran smartfona jak w telewizor i czekałam na wiadomość od przyjaciółki. Wreszcie, po trzech godzinach, postanowiłam zadzwonić. Odebrała, zanim zdążył wybrzmieć pierwszy sygnał.

– To naprawdę koniec – rzuciła pospiesznie. – Powiedz wszystkim, że ślub odwołany. Odezwę się później.

Rozłączyła się.

Po kolei obdzwoniłam najbliższych przyjaciół i wyjaśniłam, co się stało; każdy był tak samo zszokowany. Przygotowałam starannie sformułowaną wiadomość z informacją, że ślub się nie odbędzie, i wysłałam wszystkim osobom z listy gości ze strony Farly. I już, po wszystkim. Wystarczyło kilka skopiowanych i wklejonych maili, parę telefonów. Ten dzień, wspólna przyszłość, cała ich historia – w jednej chwili się skończyły. Odwołałam i uprzątnęłam każdy drobiazgowo zaplanowany element wieczoru panieńskiego, który miał się wydarzyć za niecały miesiąc. Każdy, do kogo dzwoniłam, wiedział, że

ślub i tak był już odłożony o rok ze względu na rodzinną tragedię. Wszyscy powtarzali, jak im przykro.

Farly wyprowadziła się z mieszkania jeszcze w dniu ich rozmowy w parku i zamieszkała na jakiś czas u Annie i Richarda, w domu położonym kilka kilometrów dalej. Kiedy poszłam ją odwiedzić, czułam, że nie został we mnie ani okruszek pozytywnego nastawienia, a na koncie z pocieszającymi frazesami mam ogromny debet.

– Mam wrażenie, że trafiłam do więzienia za coś, czego nie zrobiłam – powiedziała. – Jakby moje życie było gdzie indziej, a ja siedzę zamknięta tutaj i słyszę, że nie mogę do niego wrócić. Chcę moje dawne życie z powrotem.

– Odzyskasz je. To nie zawsze będzie tak wyglądać, obiecuję.

– Ciąży nade mną jakaś klątwa.

– Wcale nie. Nikt cię nie przeklął. Po prostu miałaś strasznego, okropnego, nieludzkiego pecha. Przez osiemnaście miesięcy przetrwałaś większy koszmar niż niejeden człowiek przez całe życie. Ale pamiętaj, że czeka cię jeszcze wiele dobrego.

– Wszyscy tak mówili, kiedy Florence umarła. Chyba już dłużej nie dam rady.

Farly od razu wróciła do pracy, a jej znajomi i przyjaciele natychmiast rozpoczęli zakrojoną na niemal militarną skalę operację odwracania jej uwagi od sytuacji. Wprawdzie ostatni raz spędzałyśmy ze sobą tyle czasu w podstawówce, ale mimo to co kilka dni wysyłałam jej pocztówki, żeby po powrocie z pracy zastała w domu coś miłego. Druhny zabrały ją na wieś na weekend z winem i gotowaniem w dniach, kiedy miały się odbyć jej imprezy panieńskie. Wykupiłam nam wakacje na Sardynii na tydzień, kiedy miał się odbyć ślub. Przez cały miesiąc po rozstaniu wszystkie na zmianę spędzałyśmy z nią wieczory po pracy; ani jednego dnia nie spędziła bez którejś z nas. Czasami rozmawiałyśmy o tym, co się działo, a czasami tylko siedziałyśmy nad libańskim jedzeniem na wynos i oglądałyśmy badziewną telewizję. Ta, która danego wieczoru odwiedzała Farly, w drodze powrotnej pisała do reszty, żeby dać znać, jak wygląda sytuacja, i sprawdzić, czyja kolej teraz. Stworzyłyśmy krąg opiekunek, byłyśmy jak pielęgniarki na dwie

zmiany. Nasz zestaw pierwszej pomocy składał się z maltesersów i odcinków *Gogglebox. Przed telewizorem*.

To uświadomiło mi, jak wielki łańcuch wsparcia utrzymuje cierpiącą osobę na powierzchni – osoba w centrum kryzysu potrzebuje pomocy rodziny i najbliższych przyjaciół, którzy z kolei opierają się na własnych przyjaciołach, partnerach i rodzinie. A nawet te osoby czasami potrzebują z kimś o tym porozmawiać. Potrzeba całej wioski, by naprawić złamane serce.

Wróciłam z Farly do jej mieszkania. Czekałam w samochodzie, a ona zabrała większość swoich rzeczy i przeprowadziła ostatnią dyskusję ze Scottem. Wystawili mieszkanie na sprzedaż. Przyjaciółka rozpakowała swój dobytek w pokoju, w którym spędziła dzieciństwo – to było coś więcej niż chwilowy przystanek, ale mniej niż ostatni etap podróży.

Pierwszy przebłysk dawnej Farly dostrzegliśmy podczas katastrofalnej niedzieli, kiedy ściągnęłam koleżanki do domu na sesję zdjęciową podczas udawanego obiadu. Fotografia miała towarzyszyć mojemu artykułowi w dodatku kulturalnym do pewnej gazety, rozpisywałam się w nim o upadku tradycyjnej kultury proszonych obiadów. Redaktor chciał dołączyć do tekstu zdjęcie, na którym „przyjmuję gości" w swoim mieszkaniu. Ostrzegłam, że żadni moi koledzy nie zdołają się pojawić tego dnia, a on niechętnie zgodził się na spotkanie samych kobiet. Kiedy jednak przyjechał fotograf, okazało się, że kazano mu zrobić wszystko, by na zdjęciu byli też faceci.

Farly, która od południa siedziała u mnie i ciągnęła białe wino, zaczęła chodzić po ulicy i pukać od drzwi do drzwi, szukając życzliwych sąsiadów, ale bez skutku. Belle i A.J. tymczasem pojechały do miejscowego pubu, postukały w kieliszek i oznajmiły bez przekonania, że szukają kilku mężczyzn do sesji zdjęciowej w zamian za porcję pieczonej jagnięciny i szansę na pojawienie się w gazecie.

– Jeśli ktoś byłby zainteresowany – huknęła Belle – to czekamy w czerwonym seacie ibizie na zewnątrz.

Pięć minut później grupka spoconych, nietrzeźwych facetów między wczesną trzydziestką a późną czterdziestką potruchtała z pubu do

samochodu.

Ścisnęliśmy się wszyscy wokół stołu i zaczęliśmy stukać się kieliszkami, próbując wyglądać jak starzy znajomi. Wkrótce zorientowaliśmy się, że jeden z obecnych dżentelmenów jest o wiele bardziej pijany od reszty – zaczął jeść pieczeń rękami niczym rzymski cesarz. Fotograf stanął na krześle, żeby zmieścić nas wszystkich w kadrze w moim ciasnym salonie, nagle pękła żarówka, a jeden z facetów zaczął głośno domagać się dolewki wina. Sytuacja zaczęła przypominać slapstickową komedię, w której każdy biega w inną stronę i wszystko się psuje.

– Co za katastrofa – szepnęłam do dziewczyn.

– O, WCALE nie uważam, żeby to była katastrofa – oznajmiła pijana Farly. – Miesiąc temu facet mnie rzucił po siedmiu latach, więc to jest kaszka z mleczkiem! – Fotograf zerknął na mnie niepewnie i nawet pijany patrycjusz przestał ciamkać. – No, zdrówko – dodała pogodnie Farly, unosząc kieliszek w naszą stronę.

Szybko nauczyliśmy się, jak sobie radzić z takimi żartami, które bardziej przypominały odbezpieczony granat. Uwagi Farly zmieniły się w znajome, wysłużone dekoracje zwykłych rozmów. Nie można było się do nich przyłączyć, bo granica między czarnym humorem a okrucieństwem wydawała się zbyt mglista i niebezpieczna, ale nie dało się ich też ignorować. Jedyne, co nam pozostawało, to głośny śmiech.

*

Wyjechałyśmy na Sardynię kilka dni przed datą planowanego ślubu. Wylądowałyśmy późno i pojechałyśmy na północny zachód wyspy nieubezpieczonym wynajętym samochodem. Ostrożnie sunęłyśmy po krętych nadbrzeżnych drogach, a z głośników leciał ten sam album Joni Mitchell, którego słuchałyśmy na pierwszej wspólnej wycieczce autem dziesięć lat temu. Wtedy jeszcze jakikolwiek związek wydawał nam się czymś absurdalnie nieosiągalnym, a co dopiero odwołany ślub.

Zatrzymałyśmy się w niewielkim hotelu z basenem, barem i widokiem na morze – niczego więcej nie potrzebowałyśmy. Farly –

dziewczyna, która tak kochała szkołę, że została nauczycielką – jest i zawsze była uporządkowanym stworzeniem, szybko więc wypracowałyśmy pewną rutynę. Codziennie wstawałyśmy wcześnie, szłyśmy prosto na plażę i trochę ćwiczyłyśmy w jasnym białym świetle poranka, a potem pływałyśmy w morzu przed śniadaniem. No, ja pływałam. Farly siedziała na piasku i patrzyła. Kwestia pływania w naturalnych akwenach to temat, który najbardziej nas dzieli: ja rozbieram się natychmiast, kiedy widzę jakiś zbiornik wodny, Farly natomiast kąpie się wyłącznie w chlorowanych basenach.

– No chodź! – zawołałam do niej pewnego ranka. Morze było tak ciepłe i spokojne jak woda w wannie. – Musisz spróbować! Jest cudownie.

– A jeśli tam są ryby? – odkrzyknęła, krzywiąc się.

– Nie ma! – huknęłam. – No dobra, może jakieś są.

– Przecież wiesz, że boję się ryb.

– Jak możesz się ich bać, skoro je zjadasz?

– Nie podoba mi się, że miałyby pode mną pływać.

– Ja pierniczę, Farly, brzmisz jak pańcia z przedmieść – skarciłam ją. – Chcesz pozwolić, żeby całe życie przeleciało ci przed nosem? Robisz zakupy tylko w centrach handlowych, żeby deszcz nie zepsuł ci fryzury, i pływasz tylko w basenach, bo obawiasz się ryb.

– Dolly, my jesteśmy pańciami z przedmieść. Dosłownie.

– No weź! Taka kąpiel leczy ciało i duszę! W oceanie jest Bóg!

– Jeśli cokolwiek wiem na pewno – odparła, wstając i strzepując piasek z nóg – to że Boga nie ma, Doll! – Wykrzyknęła to radośnie i wbiegła do morza.

Całe ranki spędzałyśmy na czytaniu książek i słuchaniu muzyki, a po dwunastej zamawiałyśmy pierwszego drinka. Całe popołudnia drzemałyśmy w słońcu, potem brałyśmy prysznic i zabierałyśmy swoją opaleniznę na obiad gdzieś w mieście, następnie wracałyśmy do hotelu, piłyśmy amaretto sour na tarasie, otulone ciężkim kocem wieczornego upału. Grałyśmy w karty i nieco podchmielone pisałyśmy pocztówki do znajomych.

W dzień ślubu Farly obudziła się przede mną. Leżała na plecach i wpatrywała się w sufit.

– Dobrze się czujesz? – spytałam, kiedy tylko otworzyłam oczy.

– Aha – odparła, odwróciła się i naciągnęła sobie kołdrę na głowę. – Chciałabym tylko, żeby ten dzień już się skończył.

– Dzisiaj będzie najtrudniej – przyznałam. – Ale ten dzień minie. O północy się skończy i już nigdy nie będziesz musiała przez to przechodzić.

– No – szepnęła.

Przysiadłam na skraju jej łóżka.

– Co chciałabyś dzisiaj robić? – spytałam. – Zarezerwowałam na wieczór stolik w restauracji, mają świetne recenzje na Trip Advisorze. Takie ze zdjęciami jedzenia z bliska, które wyglądają jak fotografie z miejsca zbrodni.

– Dobry pomysł – westchnęła. – A do tego czasu chciałabym tylko wyłożyć się na leżaku jak najzwyklejsza blond dzida.

*

Większość dnia spędziłyśmy w milczeniu. Czytałyśmy książki i słuchałyśmy razem podcastów, dzieląc się słuchawkami. Co jakiś czas Farly się rozglądała i mówiła coś w rodzaju: „Teraz jadłabym śniadanie z druhnami" albo: „Pewnie właśnie wkładałabym suknię ślubną". Po południu sięgnęła po telefon i sprawdziła, która jest godzina.

– Za dziesięć czwarta w Anglii. Dokładnie za dziesięć minut miałam wyjść za mąż.

– Tak, ale przynajmniej leżysz na plaży w słonecznej Italii, zamiast płynąć z tatą przez jezioro w deszczowym Oxfordshire.

– Przecież wcale nie zamierzałam przypłynąć w gondoli – zaprotestowała Farly z irytacją. – Powiedziałam ci tylko, że potencjalnie jest taka opcja, bo kilka panien młodych tak zrobiło w tym miejscu.

– Ale brałaś to pod uwagę.

– Wcale nie.

– Wcale tak. Kiedy mi o tym opowiadałaś, miałaś w głosie taką nutkę… Tylko czekałaś, aż powiem, że to dobry pomysł.

– Wcale nie!

– Jakie to by było niezręczne. Wszyscy by się na ciebie gapili, a ty płynęłabyś w tej wielkiej kiecy przez jezioro. Potem ktoś musiałby cię wyciągnąć z łódki, a marynarz zacząłby się mocować z wiosłami. Już to widzę.

– Nie byłoby żadnego marynarza – westchnęła Farly. – A łódka nie miałaby wioseł.

Poszłam do baru i zamówiłam butelkę prosecco.

– Dobra – oznajmiłam, nalewając zimne bąbelki do plastikowych kieliszków. – Teraz składałabyś przysięgę. Uważam, że powinnyśmy zrobić to samo.

– Ale komu miałybyśmy przysięgać?

– Każda samej sobie. I jeszcze ty mnie, a ja tobie.

– Okej – zgodziła się Farly, odsuwając okulary na czubek głowy. – Ty pierwsza.

– Ślubuję uroczyście, że nie będę oceniać, jak sobie z tym poradzisz po powrocie do domu – zaczęłam. – Jeśli będziesz chciała przejść przez okres amfetaminy i przypadkowego seksu, proszę bardzo. A jeśli zamiast tego postanowisz na rok zamknąć się w domu, to też będzie okej. Masz moje wsparcie bez względu na to, jak się zachowasz, bo nawet sobie nie wyobrażam, jak musisz się czuć po takich stratach, jakie przeżyłaś.

– Dziękuję. – Farly wzięła łyk prosecco i zastanowiła się przez chwilę. – Ślubuję, że zawsze będę ci pozwalać na rozwój. Nigdy nie powiem, że wiem, kim tak naprawdę jesteś, tylko dlatego, że znamy się od dzieciństwa. Wiem, że przechodzisz teraz przez okres wielkich zmian, i będę cię w tym wspierać.

– Dobre – oceniłam z aprobatą i stuknęłam się z nią kieliszkami. – Okej. Ślubuję zawsze ci mówić, kiedy będziesz mieć coś między zębami.

– O, absolutnie.

– Zwłaszcza kiedy się zestarzejemy i zaczną się nam cofać dziąsła. Wtedy liście najgorzej włażą.

– Weź, nie dołuj mnie jeszcze bardziej.

– A teraz złóż przysięgę sama przed sobą.

– Przysięgam, że jeśli znów się zakocham, nie zapomnę o przyjaciołach. Nigdy nie zapomnę, jak jesteście dla mnie ważne

i jak bardzo potrzebujemy się nawzajem.

Wieczorem, kiedy miało się właśnie odbywać wesele na ponad dwieście osób, pojechałyśmy taksówką do restauracji na wzgórzu z widokiem na morze.

– Właśnie wygłaszałabyś przemowę – odezwała się Farly. – Zdążyłaś ją napisać?

– Nie. Kiedy byłam trochę pijana, wzruszałam się i notowałam jakieś pomysły na iPhonie. Ale nie zrobiłam z nich nic konkretnego.

– Ciekawe, czy byłabym szczęśliwa przez cały dzień, czy jednak dopadłby mnie stres.

Przypomniał mi się artykuł o przedwczesnej śmierci, który przeczytałam po pogrzebie Florence. Psycholożka radziła w nim ojcu pogrążonemu w żałobie, żeby nie myślał o życiu, jakie wiódłby jego syn, gdyby nie zginął w wypadku samochodowym. Kobieta twierdziła, że takie fantazje to bardziej tortura niż pocieszenie.

– Farly, pamiętaj, że to życie nie dzieje się gdzieś indziej – powiedziałam. – Wasz związek trwał siedem lat. To wszystko, do tego się to sprowadza.

– Wiem.

– Twoje życie jest tu i teraz. Nie znalazłaś się nagle na jakiejś kalce rzeczywistości.

– No, chyba lepiej nie roztrząsać, co mogłoby się wydarzyć.

– Nie traktuj tego jak fabuły *Przypadkowej dziewczyny*.

– Uwielbiam ten film.

– I dzięki Bogu, że w nim nie jesteś, bo nikt poza Gwyneth Paltrow nie wyglądałby dobrze z taką blond fryzurą.

– Wyglądałabym jak Myra Hindley, ta seryjna morderczyni małych dzieci – stwierdziła sucho Farly, prosząc kelnera gestem o jeszcze jedną karafkę wina. – Miałaś kiedyś wątpliwości co do mnie i do niego?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– No. Teraz to już bez znaczenia. Chciałabym znać prawdę.

– Tak. Z czasem naprawdę go pokochałam i pod koniec wierzyłam, że czeka cię szczęśliwa przyszłość, ale bardzo długo miałam wątpliwości.

Zapatrzyła się na zachodzące słońce leżące na granatowym Morzu Śródziemnym niczym doskonała brzoskwinia balansująca na krawędzi stołu.

– Dziękuję, że nigdy mi nie powiedziałaś.

Morze połknęło resztkę słońca, niebo powoli zmieniło barwę na ciemnoniebieską, a potem przeszło w noc, jakby ktoś przekręcił gałkę. Potem żaden dzień nie był już taki zły.

Po wspólnym tygodniu pojechałyśmy do innego nadmorskiego miasta, gdzie czekały już na nas Sabrina i Belle. Wakacje toczyły się dalej tym samym torem: piłyśmy aperol, grałyśmy w karty, leżałyśmy na plaży. Któregoś dnia Belle i ja wyszłyśmy z pokoju o szóstej rano, rozebrałyśmy się do naga i weszłyśmy do morza, żeby popływać po wschodzie słońca. W ostatnim tygodniu pobytu Farly miała lepsze i słabsze dni, jak można się było spodziewać. Wszystkie dużo rozmawiałyśmy o tym, co się wydarzyło – w końcu to był prawdziwy powód naszych spontanicznych wakacji, ale ona zaczęła też mówić o przyszłości: gdzie będzie mieszkać, jak będzie wyglądać jej nowy porządek dnia. Miałam wrażenie, że przez te dwa tygodnie zrzuciła z siebie jedną ze skór melancholii. Któregoś wieczoru nawet się upiła – bardziej niż kiedykolwiek od naszych nastoletnich czasów – i zaczęła podrywać kierownika restauracji, który wyglądał jak włoski John Candy po sześćdziesiątce. To z pewnością najbardziej rozpoznawalny rytuał przejścia, wskazujący na to, że ktoś wchodzi w nową fazę radzenia sobie z rozstaniem.

*

Po powrocie do Londynu wszystko się zmieniło. Urodziny Farly wypadały dokładnie trzy miesiące po poranku, kiedy obudziłam się i zobaczyłam trzy nieodebrane połączenia na ekranie telefonu. Uznałyśmy tę okazję za kamień milowy – należało odpowiednio ją uczcić. Zdecydowałyśmy się na obiad w jednym z naszych ulubionych pubów, a potem wybrałyśmy się na tańce. Farly włożyła sukienkę, którą wyszukałam dla niej na niedoszły wieczór panieński. Była czarna i miała głębokie wycięcia po obu stronach, eksponujące tatuaż, który zrobiła sobie w wieku dziewiętnastu lat – koszmarny,

impulsywny błąd popełniony w salonie w Watford. Dwie małe gwiazdki, jedna różowa, a druga – nieprzemyślanie – żółta („Żydówka z wytatuowaną żółtą gwiazdą! Co ona miała w głowie!”, rozpaczała jej matka).

Po południu w dniu urodzin Farly poszła do innego salonu, żeby naprawić błąd sprzed dekady. Poprosiła o wypełnienie gwiazdek ciemnym tuszem; zakryła oba kolory czernią. Obok jednej gwiazdki dodała „F”, by uczcić pamięć Florence, a przy drugiej „D”, symbolizujące moje imię. Aby bez względu na to, co stracimy i jak niepewne stanie się życie, zawsze pamiętać, że są ludzie, którzy będą trwać u naszego boku.

Zrobiona w guru

Na początku lata, gdy Farly leczyła świeżo złamane serce, zostałam poproszona o napisanie pierwszego tekstu do magazynu. Temat: dlaczego zadowalanie innych za wszelką cenę może być niebezpieczne. Redaktor, dla którego pracowałam, zasugerował, żebym porozmawiała z człowiekiem, który niedawno wydał książkę na ten temat. Facet miał na imię David, dobijał do pięćdziesiątki, a zanim zaczął pisać, był aktorem. Wyguglowałam go przed rozmową telefoniczną i zauważyłam, że jest też bardzo przystojny: oliwkowa skóra, szpakowate włosy, łagodne brązowe oczy. Jego wydawca wysłał mi PDF książki, która okazała się frustrująco doskonała. David koncentrował się na ludzkiej potrzebie aprobaty i rozwodził się nad tym, jak przez nią tracimy szczęście. Podczas lektury czułam się tak, jakby coś – a może ktoś – złapało mnie za ramiona silnymi, godnymi zaufania rękami i potrząsnęło mocno, ostro, tak jak tego potrzebowałam.

Wymieniliśmy się kilkoma mailami, aż wreszcie umówiliśmy się, że porozmawiamy przez telefon. David miał głęboki, miękki głos, o wiele bardziej wyrazisty i sceniczny, niż się spodziewałam. Brzmiał jak człowiek o naturze hipisa, ale mówił niczym członek Royal Shakespeare Company. Zadałam mu kilka pytań o książkę i o zagadnienia, które szczególnie zwróciły moją uwagę. David powiedział, że w dzieciństwie bez przerwy jesteśmy zmuszani do kontrolowania swojego zachowania. Słyszymy, że mamy się nie rządzić, nie mądrzyć, nie popisywać – budujemy więc mury wokół pewnych aspektów naszej osobowości, a w dorosłym życiu boimy się do nich wrócić. Ukrywamy to, co w nas mroczne, głośne, ekscentryczne lub pokręcone, bo obawiamy się, że nikt nas nie

polubi. Według Davida właśnie te ukryte elementy są w nas najpiękniejsze.

Pisałam artykuł z perspektywy osobistych doświadczeń, dlatego musieliśmy o nich porozmawiać. Powiedziałam mu, że w tym roku zaczęłam chodzić na terapię.

– Sprawiasz wrażenie inteligentnej osoby – powiedział David. – A dla takich ludzi terapia wiąże się z pewnym zagrożeniem. Bez trudu zrozumiesz teorię i będziesz w stanie mówić o sobie z akademickim dystansem, ale sama wiesz najlepiej, że to gadanie może pomóc tylko do pewnego stopnia. Musisz naprawdę poczuć w sobie tę zmianę, tak na wskroś. Nie wystarczy to, co omawiasz z terapeutką. Musisz tego doświadczyć w całym ciele – jego głos zwolnił – w tyłach kolan, w macicy, palcach stóp i dłoni.

– Hmm – zgodziłam się.

Rozmawialiśmy przez jakieś czterdzieści pięć minut, przeskakując od fragmentów książki do jego wieloletnich badań i moich doświadczeń. Zwracał się do mnie wprost, bez żadnych formalności ani przesadnej uprzejmości. Miałam wrażenie, że dotarł prosto do mojego wewnętrznego równika, tak po prostu, w ciągu jednej rozmowy.

– Uszczypnij się w buźkę – powiedział, jakby znał mnie od lat. – Nie potrzebujesz kogoś, kto będzie ci mówił, co robić i kim być. Teraz sama jesteś swoją matką. Musisz słuchać własnych pragnień.

– Hmm – mruknęłam znowu.

– I chcę, żebyś traktowała to zadanie poważnie, każdego dnia przez resztę swojego życia.

– A co z poprawnością? Jak być poprawnym, kiedy przez cały czas jest się sobą?

– Zakochałaś się kiedyś w mężczyźnie tylko dlatego, że zachowywał się poprawnie?

– No… nie.

– Ooo, popatrz na Grega – rzucił w kpiącym zachwycie. – Jak on mnie podnieca, jest tak zajebiście poprawny.

– Nie, nie – roześmiałam się.

– Nie interesuje mnie poprawność. Prawdziwe skarby leżą ukryte w mroku, w ciemnych kątach i pod ostrymi krawędziami. Pierdolę

poprawność.

Miałam wrażenie, że David ze mną flirtuje, ale równie dobrze mógł rozmawiać ze mną w tak intymny sposób, żeby zapewnić mi dobre cytaty do artykułu. Pod koniec nasza rozmowa zupełnie nie przypominała już wywiadu. Wyczuwałam, że chciałby wyciągnąć ze mnie, czy jestem w związku, ale odpowiadałam mgliście. Powiedział, że mogłabym dużo wynieść z sesji jeden na jeden z nim.

– Jeśli poczujesz, że potrafisz pokazać komuś całą siebie bez strachu, że będzie cię oceniał, to poziom intymności przebije skalę.

– No, intymność zawsze była dla mnie wielkim problemem – przyznałam.

– Wiem, czuję to w tobie. – Nagle zapadła między nami cisza. Może ten gość pieprzył farmazony jak każdy guru, a może wszystko, co próbowałam w sobie zakopać, było bardziej widoczne, niż mi się wydawało.

– Hmm – wydusiłam raz jeszcze.

– Dolly, mam nadzieję, że jest w twoim życiu ktoś, kto naprawdę mocno cię trzyma.

– Mam terapeutkę – odparłam.

– Nie o to mi chodziło.

Wyszłam z mieszkania i zamrugałam w świetle dnia, jakbym nagle się przebudziła.

– Właśnie przeprowadziłam niesamowitą rozmowę – powiedziałam do Indii i Belle, które opalały się w ogrodzie.

– Z kim? – spytała India, wyciągając słuchawki z uszu.

– Z tym guru od wywiadu do artykułu.

– I co takiego powiedział?

– Sama nie wiem, miałam wrażenie, że zwraca się do jakiejś części mnie, której nikt wcześniej nie dostrzegł. Jakby coś we mnie się przebudziło i ziewnęło.

– Ale przecież oni właśnie tak działają, wmawiają ci, że mają taką moc – zaprotestowała India z dezaprobatą i przekręciła się na brzuch. – Nigdy nie zaufałabym nikomu, kto mówi o sobie, że jest guru.

– On sam tak o sobie nie mówi.

– Okej, to już trochę lepiej.

– To trochę jak z byciem „specem” albo „magnatem” – ciągnęłam. – Chyba trzeba poczekać, aż ktoś inny cię tak nazwie. Nie można samemu się tak określać. – Ściągnęłam bluzkę i położyłam się obok współlokatorek na ręcznikach rozłożonych na trawie.

– Dostałaś od niego to, czego potrzebowałaś? – spytała Belle.

– Tak, udzielił świetnego wywiadu. – Zamknęłam oczy, rozkoszując się nieczęsto spotykanym dotykiem angielskiego słońca. – Jezu, nie dam rady przestać o nim myśleć.

– Tak seksualnie? – chciała wiedzieć India.

– Nie, nie wydaje mi się. Raczej mam ochotę pożreć jego duszę. Chciałabym dowiedzieć się o nim wszystkiego, słuchać go całymi dniami.

– Poproś wydawcę o jego numer.

– Już mam jego numer. Przecież dopiero co rozmawiałam z nim przez telefon.

– A, rzeczywiście. No to napisz do niego SMS-a.

– Nie mogę po prostu napisać do kogoś, z kim przeprowadziłam wywiad.

– Dlaczego nie?

– Bo tak nie wypada. Muszę pamiętać o poprawności – powiedziałam i natychmiast usłyszałam własne słowa. – Ale kto zakochuje się w poprawności?

Wieczorem, kiedy już położyłam się do łóżka, jeszcze raz odsłuchałam nagranie. Jego słowa odbijały się we mnie jak piłeczka pingpongowa. Następnego dnia rano napisałam artykuł, wysłałam do redaktora i zapomniałam o całej sprawie.

Kilka miesięcy później wracałam późno z imprezy, kiedy nagle dostałam od Davida wiadomość na WhatsAppie. Napisał, że jest na wakacjach we Francji. Właśnie wyszedł na długi spacer pod gwiazdami i przypomniał sobie o naszym wywiadzie – zorientował się, że nigdzie go nie widział.

„Oczywiście przemawia przeze mnie narcyzm. Kiedy artykuł się ukaże?”

„To wcale nie narcyzm”, zapewniłam. „Wybacz, redakcja przeniosła tekst do następnego numeru. Dam ci znać w przyszłym miesiącu,

kiedy wyjdzie magazyn. A jeśli nie będzie Cię jeszcze w kraju, to mogę Ci wysłać egzemplarz".

„Do tego czasu zdążę wrócić. Co słychać? Kiedy rozmawialiśmy, odniosłem wrażenie, że z czymś się zmagałaś".

„Nadal się zmagam", odpisałam. „Wciąż próbuję zmienić paradygmat myślenia. Kaszka z mleczkiem. A co u Ciebie?"

„Tak samo".

Powiedział, że kilka tygodni temu zakończył bardzo długi związek. Dodał, że to było właściwe posunięcie – przyjazna separacja za obopólną zgodą. Czasami rozstanie daje obu stronom wyłącznie ulgę, napisał. Jak klimatyzacja, którą wyłączasz i niski szum wreszcie cichnie, a ty dopiero wtedy zauważasz, że w ogóle rozbrzmiewał.

Pisaliśmy do siebie przez wiele godzin, odkrywając fundamentalne prawdy na swój temat, których nie przekazaliśmy sobie podczas spotkania. Oboje dorastaliśmy w północnym Londynie, chodziliśmy do konserwatywnych szkół z internatem – to dlatego mówił z akcentem, którego pewnie nienawidził tak samo jak ja mojego. Miał czwórkę dzieci – dwóch chłopców, dwie dziewczynki – i było oczywiste, że je uwielbia. Na kilometr potrafiłam wyczuć faceta, który używa dzieci jako przynęty podczas podrywu, a David nie był kimś takim. Znał każdy najmniejszy szczegół osobowości synów i córek, wiedział wszystko o ich pasjach, marzeniach i codziennym życiu. Opowiadał o nich ze szczerą fascynacją i oddaniem.

Rozmawialiśmy o muzyce, o słowach piosenek. Powiedziałam mu, że moim ulubionym piosenkarzem jest John Martyn i że to mój jedyny romans, który trwał dłużej niż parę lat. On opowiedział mi, jak odkupił jedną z gitar Johna Martyna od jego byłej żony. Dodał, że może mi ją dać, jeśli zechcę, bo widzi, że bardzo kocham tę muzykę. Rozmawialiśmy o książce, przez którą zostałam wegetarianką; on też ją czytał. Irytowały nas te same statystyki i cytaty. Opowiedzieliśmy sobie o wakacjach w dzieciństwie spędzanych we Francji. O naszych rodzicach. O deszczu – wyznałam mu, że kocham deszcz i że jest mi o wiele bliższy niż słońce i błękitne niebo; że ulewa zawsze mnie uspokaja i otula – w dzieciństwie prosiłam mamę, aby pozwalała mi podczas deszczu siadać w jej samochodzie. Rod Stewart napisał w autobiografii, że

kiedy w Los Angeles raz w roku padał deszcz, wychodził na dwór i stawał na środku ulicy z rozpostartymi szeroko ramionami, bo tak za nim tęsknił. Kiedy to przeczytałam, pojęłam, że nie mogłabym nigdy opuścić Anglii. Powiedzieliśmy sobie dobranoc o trzeciej nad ranem.

Następnego dnia obudziłam się z takim poczuciem, jakbym nie otrząsnęła się jeszcze z wyrazistego snu. To jednak nie był sen – nowa wiadomość od Davida czekała już w telefonie schowanym pod poduszką niczym lśniąca złotem moneta jednofuntowa pozostawiona przez Wróżkę Zębuszkę.

„Obudziłaś mnie koło piątej rano", napisał.

„Jak to?"

W odpowiedzi wysłał mi nagranie deszczu, który tłukł w okno jego sypialni – najpierw mocno, potem łagodniej.

„Jestem deszczem?", spytałam, zdejmując na chwilę wysłużony płaszcz cynizmu. Już niedługo miało się to stać podstawą naszych interakcji.

„Tak, jesteś", odparł. „Poczułem, jak zbliżasz się do mnie".

Musiałam opowiedzieć o Davidzie przyjaciółkom, bo bez przerwy do niego wypisywałam. Wysyłaliśmy sobie wiadomości od chwili, kiedy otwieraliśmy rano oczy, aż do pójścia spać. Rezerwowałam sobie pięć godzin dziennie na pracę, jedzenie i kąpiel, ale nawet w tych wymuszonych okienkach wolnego czasu myślałam tylko o nim. Któregoś dnia wyszłam na lunch z Sabriną. Przyjaciółka powiedziała, że widzi, jak ciągle jednym okiem obserwuję ekran.

– Dobra, wystarczy tego siedzenia na telefonie – oznajmiła w końcu.

– Nie siedzę na telefonie! – zaprotestowałam.

– Fizycznie nie, ale przecież to oczywiste, że myślisz tylko o tym, kiedy znów porozmawiasz z tym facetem.

– Wcale nie.

– Oczywiście, że tak. Mam wrażenie, że zabrałam na lunch trzynastoletnią córkę, która nie może się doczekać, kiedy wróci na MSN, żeby znów zacząć pisać do chłopaka z wymiany zagranicznej.

– Przepraszam. Nie myślę o nim, daję słowo.

W tej samej chwili ekran mojego telefonu się rozświetlił.

– Co on ci tam wysłał? – spytała Sabrina, zerkając na telefon. Pokazałam jej zdjęcie skomplikowanej ilustracji lwa.

– On uważa, że lew jest moim zwierzęciem duchowym.

Zamrugała kilka razy i popatrzyła na mnie z nieskrywanym zdumieniem.

– Okej, chyba nie będę miała o czym rozmawiać z twoim nowym facetem – oceniła sucho.

– Nie, nie, zobaczysz, on jest bardzo zabawny, to nie jakiś poważny, ponury guru.

– Okej, ale przystopuj trochę z tymi wiadomościami. Proszę. Dla własnego dobra. Zepsujesz ten związek, zanim się w ogóle zacznie. Traktujesz go jak ludzkie tamagotchi.

– Ale on pojechał na trzy tygodnie do Francji. Nie będę mogła normalnie z nim porozmawiać ani się spotkać, dopóki nie wróci.

– Założę się, że już ci powiedział, żebyś przyleciała do niego do Francji, co? – mruknęła Sabrina, kręcąc głową. – Dlaczego ty z facetami zawsze musisz wszystko robić tak ekstremalnie?

– Daj spokój, przecież nigdzie nie pojadę. – Nie dodałam, że już sprawdziłam loty, tak z ciekawości.

Przyjaciółki nie bez racji stwierdziły, że chyba oszalałam, skoro miałam taką obsesję na punkcie kogoś, kogo nawet nie znam. Były jednak do tego przyzwyczajone – kiedy znajdowałam sobie nowy obiekt uczuć, zawsze zachowywałam się jak chciwe dziecko rozpakowujące gwiazdkowe prezenty. Rozrywałam papier, frustrowałam się podczas prób uruchomienia mechanizmu, potem bawiłam się maniakalnie, aż zabawka się zepsuła, a na następny dzień wrzucałam połamane kawałki plastiku do najciemniejszego kąta szafki.

Przesłałam Farly zapis wywiadu, który przeprowadziłam kilka miesięcy temu z Davidem.

„Posłuchaj tego”, napisałam. „Wtedy zrozumiesz, dlaczego tak mi odbiło na punkcie tego faceta”.

Godzinę później dostałam odpowiedź.

„Okej, już rozumiem, dlaczego tak ci odbiło na punkcie tego faceta”.

Po tygodniu pisania wiadomości pierwszy raz do siebie zadzwoniliśmy. Nie wiązała nas już dynamika wywiadu, więc rozmowa przebiegała teraz zupełnie inaczej. Było późno i cicho. Słyszałam jego oddech i ćwierkanie świerszczy na francuskiej łące. Zamknęłam oczy i niemal poczułam go przy sobie; ogarnęła mnie magia tej dziwnie intymnej relacji, którą stworzyliśmy przez ostatni tydzień.

– To w sumie świetne, że tak się poznajemy przed spotkaniem – stwierdził. – Shelley Winters powiedziała kiedyś, że przed ślubem należy iść na lunch z byłą żoną kandydata.

– Sugerujesz, że powinnam się umówić na lunch z twoją byłą żoną, a dopiero potem z tobą?

– Nie, ale wydaje mi się, że na pierwszej randce ludzie prezentują tak wystudiowaną reklamę samych siebie, że nie ma szans przekonać się, kim tak naprawdę są.

– No tak, kiedy się spotkamy, będzie już za późno na pierwsze wrażenie.

Minął kolejny tydzień. Tysiące wiadomości, dziesiątki telefonów. David wydawał mi się coraz bardziej fascynujący. Chciałam znać jego zdanie na każdy temat. Nie pomijaliśmy żadnych szczegółów; uwiodła mnie ta molekularna dokładność naszego dialogu. Ten facet miał coś do powiedzenia na każdy temat, który mnie interesował. W świetle jego zainteresowania czułam się odnowiona i pełna energii. Cały dzień nie zawierał w sobie dość godzin, bym mogła się nim nacieszyć. Potrzebowałam więcej, więcej, więcej.

Wkrótce wiadomości i telefony przestały nam wystarczać. Zaczęliśmy wysyłać sobie wszystko, nad czym pracowaliśmy. On dzielił się ze mną niepublikowanymi rozdziałami nowej książki, a ja pokazywałam mu szkice artykułów i scenariuszy. Zwierzaliśmy się sobie ze spraw, których nigdy nie odkrylibyśmy podczas samych tylko rozmów i przesyłania zdjęć – że przez lęki zawsze mam obgryzione paznokcie, a jego palce są stwardniałe na koniuszkach od gry na gitarze. Z uwagą oglądałam filmy krótkometrażowe, w których się pojawiał; uważałam go za geniusza i powiedziałam mu o tym. Zapisywałam zdania, które utkwiły mi w pamięci, i ulubione ujęcia, a potem dzwoniłam do niego, żeby to z nim omówić.

– Wyjdź, popatrz na księżyc – powiedział raz późno w nocy, gdy rozmawialiśmy przez telefon.

Wsunęłam stopy w adidasy i narzuciłam płaszcz na koszulkę i majtki. Dotarłam do końca swojej ulicy i weszłam do Hampstead Heath. David opowiedział mi o kobiecie o kręconych włosach, z którą się kiedyś spotykał. Mieszkała na Highgate. Lubiła ścigać się z nim w nocy po Heath – on wybiegał pierwszy, a ona trzydzieści sekund później. Uprawiali seks w parku, oparci o pień dębu. Usiadłam na ławce z widokiem na miasto, wyciągnęłam nogi w świetle księżyca i opowiedziałam mu o innej ławce, którą tam widziałam. Była na niej tabliczka; rozpłakałam się, kiedy ją przeczytałam. Tamta ławka stała na łące przy stawie, w którym kąpałam się przez całe lato. Tabliczka była poświęcona Wynn Cornwell, która pływała w tym stawie aż do dziewięćdziesiątki.

– Na tabliczce było napisane: „Pamięci Wynn Cornwell, która pływała tutaj przez ponad pięćdziesiąt lat, i Vica Cornwella, który na nią czekał". Pewnie stał codziennie przy furtce, kiedy ona się kąpała. Piękne, prawda?

– Wiesz… – zaczął David.

– Co?

– Nie, nic.

– Powiedz.

– Jesteś taką fascynującą dziewczyną. Przypominasz otwartą księgę. Dlaczego ciągle się upierasz przy pozowaniu na samotną wyspę?

– Nie wiedziałam, że to robię. Na pewno nie świadomie.

– Może wydaje ci się, że nic takiego cię nie czeka, ale to nieprawda. To wszystko może być twoje, jeśli zechcesz.

– To, że coś mnie wzruszyło, jeszcze nie znaczy, że chcę tego samego dla siebie. A poza tym jestem płaksą. Jakby co roku przychodziła sprzątaczka i czyściła mi drogę od serca do kanalików łzowych. Kiedyś to się zmieni w jeden wielki korytarz pełen ohydnych, rozbuchanych uczuć. W twoim wieku pewnie będę szlochać na widok liścia na wietrze.

– Jeśli będziesz miała szczęście.

– Czasami ta twoja mała wiara w siebie jest bardzo poruszająca w porównaniu z niezachwianą wiarą w innych ludzi.

– Nie wiem. Może po prostu masz w sobie bezdenną pustkę – odparł David, wzdychając łagodnie. – Może żaden mężczyzna nigdy nie zdoła jej wypełnić.

Popatrzyłam w niebo, na tę samą stronę księżyca, którą on oglądał w tej samej chwili, i poprosiłam gwiazdy, by pozwoliły mi tej nocy zasnąć i zapomnieć, co od niego usłyszałam.

*

Zdawałam sobie sprawę, że inwestuję ogromne ilości czasu i energii w zupełnie obcego człowieka, ale nie miałam powodów, by mu nie ufać. Odliczałam dni do chwili, kiedy będzie nas dzielić tylko powietrze, a tymczasem cieszyłam się światem, który sobie stworzyliśmy. David był jak drzwiczki na tyłach nudnej codzienności, przez które mogłam się wymknąć do magicznego świata w techni-kolorze. Gdy miałam jakiś problem, prosiłam go o pomoc. Jeśli nie mogłam znaleźć właściwego zakończenia zdania, nad którym pracowałam, pytałam, co on by napisał.

„Dziękuję, że jesteś ze mną taka otwarta", napisał pewnego popołudnia. „To bardzo seksowne".

Oczywiście jeśli mężczyzna twierdził, że coś jest seksowne, zamierzałam robić to dalej.

Regularnie rozmawialiśmy o tym, jaka dziwna jest intensywność naszej komunikacji; dla niego to było coś zupełnie nowego i zdumiewającego. Ja nigdy nie nawiązałam tak silnej więzi z człowiekiem, którego wcześniej nie widziałam na oczy, ale dzięki wieloletniemu treningowi na MSN-ie i późniejszemu randkowaniu online byłam przyzwyczajona do rozmów z nieznajomymi.

„Dziwne, prawda?", napisał. „Ty i ja jeszcze się nie spotkaliśmy, a jednak zawędrowaliśmy razem w tyle miejsc! Dotarliśmy do intymności i czułości, mieliśmy swoje niedziele, śmiech i muzykę".

„Niesamowite!"

„I spletliśmy to wszystko z niewidzialnej energii. Z samych pikseli".

„Jesteśmy czarodziejami".

„Tylko popatrz, co robimy z tymi pikselami”, odpisał. „Odbijamy się od satelitów”.

Przed powrotem Davida do Anglii nie mogłam zmrużyć oka. Powiedział, że zostawi dzieci z ich matką, przyjedzie do Londynu i zatrzyma się u kolegi, a następnego dnia pójdziemy na randkę, którą sobie zaplanowaliśmy. Miała być ładna pogoda. Umówiliśmy się w Hampstead Heath wczesnym popołudniem; miałam na niego czekać z butelką wina i dwoma plastikowymi kubeczkami. India i Belle pomogły mi wybrać odpowiedni strój – stanęło na błękitnej sukience i białych tenisówkach. Posprzątałam mieszkanie. Kupiłam lepszy chleb na nieuniknione śniadanie następnego dnia.

– Ona nie żartuje – zaobserwowała India, gdy pozdejmowałam książki z regału, starannie wyczyściłam półki i wyeksponowałam tytuły, które mogły mu najbardziej zaimponować (Dworkin, Larkin, *Jedz, módl się, kochaj*).

Wieczorem, na dzień przed naszym gorącym popołudniowym spotkaniem, musiałam jednak iść na randkę. Nie z własnej woli – to była randka w ciemno, zaaranżowana przez agencję matrymonialną, która chciała, żebym napisała o nich w mojej stałej rubryce o życiu uczuciowym. Wszystko było ustalone na kilka tygodni przed tym, jak zaczęłam wirtualny związek z Davidem. Wtedy to miało sens: oni potrzebowali reklamy, a ja randki i materiału do pisania. Nie chciałam spławić tego biednego faceta, umówiliśmy się więc na bardzo wczesnego drinka w centrum. Wiedziałam, że wrócę do domu przed dwudziestą pierwszą.

– Zadzwoń później, łamaczko serc – powiedział mi David na pożegnanie.

Okazało się, że nikomu nie złamałam serca – nic z tych rzeczy. Tak jak to zwykle bywa z ustawionymi randkami, żadne z nas nie miało na nią ochoty. On nadal był zakochany w swojej byłej, z którą sknocił sprawę, a mnie zauroczył facet, którego nigdy nie widziałam na oczy. Opowiedzieliśmy sobie swoje historie. Doradziłam, żeby poszedł do byłej dziewczyny z kwiatami i wyznał, że nigdy nie przestał jej kochać. On mi powiedział, że powinnam iść do domu i dobrze się wyspać, bo jutro poznam swojego przyszłego męża.

Wyszliśmy po jednym koktajlu, wsiedliśmy do tego samego metra i objęliśmy się na pożegnanie, kiedy on musiał wysiadać.

– POWODZENIA! – krzyknął, zanim drzwi między nami się zamknęły.

– Nawzajem! – odparłam bezgłośnie przez szkło.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Davida i opowiedziałam mu o randce. Odparł, że przyjechał do Londynu wcześniej, niż zaplanował, i zamierzał nocować na kanapie u kolegi jakieś trzy kilometry na zachód od mojego mieszkania.

– Przyjedź do mnie – zaproponowałam.

– A co z jutrzejszą idealną randką?

– Wiem, wiem, ale to głupie, że miałbyś spać dziesięć minut samochodem ode mnie.

Zgodziliśmy się zostać przy pierwotnym planie, ale pięć minut później zobaczyłam wiadomość od niego.

„Jadę".

Wyszłam na palcach z mieszkania i zeszłam po żelaznych schodach przeciwpożarowych. Czekał na mojej cichej uliczce. Wysoka, barczysta sylwetka majaczyła w świetle księżyca, twarz okalały ciemne loki. Zatrzymałam się na chwilę na schodach, żeby mu się przyjrzeć. Miałam wrażenie, że skoczyłam z klifu i za chwilę uderzę w nieruchomą taflę wody. Podbiegłam do niego, zarzuciłam mu ramiona na szyję i się pocałowaliśmy.

– Niech no się przyjrzę tej dziewczynie – powiedział. Uważnie przebiegł wzrokiem po moich rysach, jakby uczył się mnie na pamięć przed egzaminem.

– Miło cię poznać – powiedziałam.

– Ciebie też.

Znów zaczęliśmy się całować. Był środek nocy, stałam boso na chodniku, wspinałam się na palce, a z pobliskiego drzewa dobiegało pohukiwanie podmiejskiej sowy. David przyciągnął mnie do siebie. Wtuliłam twarz w jego granatową koszulę, równie pogniecioną, co loki spływające mu z czoła.

– Nie masz metra osiemdziesiąt – wyszeptał mi w skroń.

– Mam – zaprotestowałam, prostując się.

– Wcale nie. Wiedziałem, ty kłamczucho.

Wzięłam go za rękę i zakradliśmy się po schodach z powrotem do mojego mieszkania. Następne godziny upłynęły dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Piliśmy wino, rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki, leżeliśmy obok siebie i się całowaliśmy. Wdychałam zapach jego nagiej, wytatuowanej skóry, orzechowobrązowej i ogorzałej od francuskiego słońca. Był przesiąknięty aromatem ziemi i tytoniu. Przyglądałam się jego manierom, których nie mogła oddać rozmowa przez telefon ani zdjęcie. Wpatrywałam się w zgięcie powiek i chłonęłam, jak głoska „s" prześlizgiwała mu się między zębami, kiedy mówił. On słuchał uważnie, mówił prosto do mnie; byłam ufna i otwarta. Nie mogłam się nadziwić, że czuję taką bliskość z kimś, kogo ledwo znam.

– Wiesz, co w tym wszystkim jest najzabawniejsze? – spytał, całując mnie w czubek głowy.

– Co?

– Jesteś dokładnie taka, jak się spodziewałem. Jak dziewczynka na placu zabaw, która zasłania oczy rękoma i myśli, że nikt jej nie widzi.

– Jak to?

– Nie schowasz się przede mną – wyjaśnił.

Już wiedziałam, że nigdy nie zdołam go okłamać. Pojęłam, że przepadłam.

– Nie żałujesz, że nie poszliśmy najpierw na idealną randkę? – spytałam, kiedy zapadałam się już w miękką ciemność między świadomością a snem.

– Nie – zapewnił, głaszcząc mnie po włosach. – Ani trochę. Co robisz jutro?

– Mam spotkanie z redaktorką o trzynastej.

– Może przyjdę po ciebie później? – zasugerował.

Zamknęłam oczy i osunęłam się natychmiast w spokojny sen. Kilka godzin później obudził mnie jakiś odgłos. David stał przy łóżku i się ubierał.

– Wszystko w porządku? – spytałam zaspana.

– Tak – odparł, jeżąc się nagle.

– Dokąd idziesz?

– Muszę się przejechać.

Spojrzałam na budzik – piąta rano.

– Co? Teraz?

– Tak, mam ochotę na przejażdżkę.

– Okej. Mam ci dać klucze, żebyś mógł wejść z powrotem?

– Nie. – Nachylił się i pocałował mnie kilka razy w rękę, od łokcia aż do ramienia. – Idź spać.

Zamknął za sobą drzwi. Usłyszałam, jak wychodzi z mieszkania, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Wbiłam wzrok w biały sufit nad łóżkiem, próbując poskładać jakoś to wszystko w zrozumiałą całość. Wypełniło mnie kwaśne poczucie agresywnego odrzucenia. Wezbrało z brzucha aż do gardła: obrzydzenie, pogarda i litość wobec samej siebie do kwadratu. Tak samo czułam się prawie dziesięć lat temu, kiedy Harry rzucił mnie przez telefon.

O siódmej rano wpełzłam do łóżka Indii i opowiedziałam jej o wszystkim.

– Wygląda, jakby koleś się przeraził – oceniła przyjaciółka.

– Czego?

– Może nagle to się stało zbyt prawdziwe. Zbyt intymne.

– Przecież on zajmuje się terapią bliskości – zaprotestowałam. – To dosłownie jego praca.

– No wiesz, szewc bez butów chodzi…

– Jeszcze nie wierzę, że to się wydarzyło.

– Bez względu na przyczynę będzie miał dziś zajebiście dużo rzeczy do wyjaśnienia.

– Może wcale dziś się z nim nie zobaczę. Nie wiem nawet, czy jeszcze kiedyś się do mnie odezwie.

– Na pewno – zapewniła mnie India. – Ma czwórkę dzieci, z pewnością potrafi się zdobyć na odrobinę empatii.

– Gdyby nie ta wczorajsza wiadomość, że już do mnie jedzie, naprawdę pomyślałabym, że wszystko mi się przyśniło. Kiedy wyszedł, nie mogłam zasnąć, tylko leżałam i torturowałam się różnymi szczegółami. Myślałam o jego oczach, piegach, tatuażu na piersi…

– No tak, oczywiście ma tatuaż na piersi. – India przewróciła oczami. – A jaki konkretnie?

– Nie powiem, to zbyt ironiczne.

– Dawaj.

– Taki symbol, oznaczający szacunek dla kobiecości.

– Rany boskie.

– Powinien dodać gwiazdkę i przypis – powiedziałam z westchnieniem. – Szacunek dla wszystkich kobiet z wyjątkiem Dolly Alderton.

– Dobrze się czujesz? – spytała przyjaciółka, gładząc mnie po ramieniu. – To na pewno dla ciebie duży szok.

– Jestem po prostu zaskoczona – westchnęłam. – To już po wszystkim?

Kilka godzin później dostałam zagadkową wiadomość od Davida.

„Hej! Przepraszam, jeśli moje wyjście było dziwne, trochę niespodziewane. Tak pięknie było cię zobaczyć i dotknąć, wysłało mnie to głęboko do wnętrza, poczułem rozłam pomiędzy niesamowitą bliskością, jaką stworzyliśmy, i jej przeciwieństwem, tym «nieznaniem się»".

Patrzyłam na podskakujące kropeczki nowej wiadomości. Postanowiłam, że nie odpiszę, dopóki nie zobaczę choćby jednego zrozumiałego zdania.

„To doświadczenie kazało mi postawić sobie istotne pytania. Mam nadzieję, że nie cierpisz, może po prostu jest ci wszystko jedno. Ale może poczułaś się dziwnie".

Gapiłam się na ekran. Nadal nie wiedziałam, jak zareagować.

„Mam nadzieję, że nie obudziłaś się smutna".

„Owszem, obudziłam się smutna", odpisałam. „Rzadko dopuszczam kogoś tak blisko do siebie".

„Wiem. Bardzo mi przykro. To nie było porzucenie".

Pomyślałam o ostatniej rozmowie telefonicznej z Harrym. O tym, jak błagałam, żeby mnie kochał; jak przekonywałam przez łzy, że jestem dla niego dość dobra. Jak nasłuchiwałam najmniejszego drżenia w jego głosie, które upewniłoby mnie, że mogę desperacko się go chwycić, aż palce staną się fioletowe z wysiłku. To już nie była moja opowieść. Nie chciałam już być tą osobą.

„Nie rozumiem, co ma oznaczać ten wywód, ale jestem gotowa zostawić tę znajomość w tym miejscu, jeśli nie jesteś gotów na kontynuację", napisałam.

„Będę musiał się zatrzymać i zastanowić, jak to się ma do ciebie”, odpisał. „Nie mówię, że to powinien być koniec”.

„Ale ja tak mówię. Muszę to teraz przerwać”.

„Cholera, zraniłem cię. Czuję to”.

„W porządku”, odparłam. „Oboje jesteśmy na dziwnym etapie życia. Ty właśnie zakończyłeś związek, ja przechodzę przez terapię. Muszę przede wszystkim opiekować się sobą”.

„OK”.

Skasowałam nasze rozmowy i historię połączeń, a potem usunęłam numer Davida.

W kolejnych dniach kotłowały się we mnie samotność, wstyd, żal i złość. Czułam się jak idiotka, jak zaniedbana stara panna ze starego słuchowiska uwiedziona przez podłego, choć przystojnego nieznajomego, który zabrał jej wszystkie pieniądze i zniknął. Przyjaciółki próbowały mnie pocieszyć, dzieląc się podobnie żenującymi opowieściami o tym, jak zostały wciągnięte przez nieznajomych w pułapkę fałszywej bliskości. Jedna z redaktorek mojej rubryki randkowej wysłała mi artykuł zatytułowany *Wirtualna miłość*, który ukazał się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku w „New Yorkerze” i opisywał nowy fenomen zakochania online. Napisała go dziennikarka, która rozpoczęła telefoniczny i e-mailowy związek z nieznajomym. „Może nie znałam mojego adoratora”, napisała, „ale po raz pierwszy w życiu wiedziałam, jak to działa: byłam obiektem pożądania, to na mnie skupiało się owo ślepe męskie spojrzenie. (…) Gdybyśmy spotkali się na ulicy, nawet byśmy się nie rozpoznali. Naszą szczególną odmianę bliskości przesłoniłyby gałęzie, ciała i gruzy, z których składa się fizyczny świat”.

Dwa dni po tym, jak David zostawił mnie w środku nocy, ukazał się magazyn z artykułem, który mnie do niego doprowadził. Zupełnie o tym zapomniałam, ale kiedy ujrzałam okładkę w kiosku, miałam wrażenie, że koło tej historii się domknęło. Nie powiadomiłam go o tym, wbrew obietnicy złożonej w wiadomości, która rozpoczęła naszą katastrofalną znajomość. Już nigdy się do niego nie odezwałam.

Moje przyjaciółki nie mogły przeżyć tej sytuacji. Z perspektywy czasu całe zajście wydawało się jeszcze bardziej absurdalne. Nawet wiele tygodni później zdarzało im się wracać do tego tematu.

– WYOBRAŻACIE sobie, jakim trzeba być typem, żeby odwalić coś takiego jak ten David? – rzucała nagle oburzona India, odstawiając kieliszek z winem.

Belle rozważała zgłoszenie, że nadużył zaufania ze względu na swoją pozycję.

– Ale komu miałabyś to zgłosić? – spytałam.

– Na pewno jest jakiś związek zawodowy guru, który przyznaje im wszystkim jakieś certyfikaty – zasugerowała India.

– Może powinnyśmy po prostu zadzwonić do ratusza dzielnicy Harringey – wtrąciła Belle. – Powiemy, że w okolicy grasuje guru będący zagrożeniem dla naiwnych młodych kobiet.

Niektóre nasze koleżanki uważały, że David był mizoginem, który uznał nieufną kobietę za ciekawe wyzwanie, dostał, czego chciał, i się ulotnił; wilk w skórze sprzedawcy pamiątek na Glastonbury. Inne zakładały nieco bardziej wielkodusznie, że ze względu na wiek nie potrafił tak swobodnie nawigować w rzeczywistości wirtualnego romansu jak milenialsi. Ja byłam przyzwyczajona do rozmów i budowania relacji z ludźmi, których nie znałam osobiście. Podczas pierwszego spotkania na żywo zawsze trochę zgrzytało, ale poznawanie nowej osoby to sztuka zamknięcia przepaści między światem rzeczywistym a wirtualnym, tego „rozłamu", o którym napisał David. Właśnie na tym polega randkowanie przez internet.

Helen zaproponowała inną teorię: według niej rozstanie z wieloletnią partnerką wywołało u Davida kryzys wieku średniego, a ja byłam dla niego tylko sposobem na podbudowanie swojego ego. Jak skórzana kurtka albo szybki samochód, który mu się podobał, ale po zakupie okazało się, że nowy nabytek nigdy nie wpisałby się w jego życie.

Opłakując utratę Davida, zachowywałabym się jak dziecko przechodzące żałobę po niewidzialnym przyjacielu. Nic z tego nie było prawdą. Nasza relacja była hipotetyczna, fikcyjna. Namawialiśmy się do intensywnego zaangażowania, gotowi prostytuować się za przerośnięte, sztuczne emocje. Rozpaczliwie

potrzebowaliśmy poczuć coś głęboko w ciemnych, wilgotnych piwnicach swojej duszy. Słowa i spacje. Piksele. Gra w *Simsy*. Miłość na niby. Odbijaliśmy się od satelitów w starannie wyreżyserowanym tańcu.

Dopiero po wielu godzinach analiz pojęłam, kim tak naprawdę okazał się David. Nie był oszustem, chodzącym dowodem na istnienie kryzysu wieku średniego ani podłym Don Juanem przebranym w birkenstocki i lniane ciuchy. Był małym chłopcem na placu zabaw, który zakrywa oczy rękami i sądzi, że nikt go nie widzi. Ale ja wreszcie go dostrzegłam, bo byliśmy tacy sami, z jednego gatunku. David czuł się zagubiony i szukał koła ratunkowego. Był nieszczęśliwy i potrzebował czegoś, co zajęłoby jego uwagę. Okazaliśmy się dwojgiem samotnych ludzi, którzy potrzebowali uciec przed samymi sobą w świat fantazji. Może za sprawą dwudziestoletniej przewagi wiekowej on powinien był to zrozumieć wcześniej, ale tak się nie stało. Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie wezmę udziału w takiej grze. I życzę mu, żeby znalazł to, czego szuka.

18 października

Witam wszystkie płodne i jałowe przyjaciółki Karen!!
Pomyślałam, że prześlę Wam plan obchodów tej absolutnie niepotrzebnej, cukierkowej i kosztownej tradycji zapożyczonej z Ameryki – bociankowego Karen! Nasza przyjaciółka uważa, że zawsze warto żądać od ludzi pieniędzy i czasu w celu wspólnego uczczenia jej osobistych życiowych wyborów. Doszłyśmy do wniosku, że jeszcze nie dałyście jej dostatecznie wiele – w końcu dotąd szarpnęłyście się tylko na imprezę panieńską na Ibizie za tysiąc pięćset funtów, ślub na Majorce z rygorystycznymi wymogami w kwestii ubioru i prezent z listy ekskluzywnego domu handlowego Selfridges. (Przy okazji, dziewczyny – jeśli któraś z Was dostanie nową pracę albo kupi mieszkanie, nie spodziewajcie się niczego poza kartką z życzeniami. Nie wolno dopuścić do precedensu. Pieniądze nie rosną na drzewach!!),
Dobra wiadomość jest taka, że po porodzie Karen już w ogóle nie będzie widywać się z bezdzietnymi koleżankami, chyba że nabiorą ochoty, by porozmawiać o jej maleństwie, możecie więc uznać bociankowe za przyjęcie pożegnalne i szansę na przyoszczędzenie w kolejnych latach! Oczywiście do czasu, aż nasza koleżanka skończy karmić piersią i znów się do Was odezwie, bo będzie umierać z nudów, i zażąda, żebyście wszystkie wyszły pić, tańczyć i brać góry narkotyków. Nic się nie martwcie, tydzień później wyśle Wam sztywnego SMS-a z informacją, że nie może znów iść w takie tango, bo „TERAZ JEST MATKĄ".
Kiedy dotrzecie do mojego mieszkania (jestem najlepszą przyjaciółką Karen) na Belsize Park, chciałabym, żebyście dobrze się przyjrzały metrażowi, rozkładowi pokoi i elementom z epoki, bo to będzie jeden z wiodących tematów popołudniowej rozmowy. Zamierzam obszernie

i pyszałkowato rozwodzić się nad ostatnim remontem kuchni, aby wszystkie osoby bez własnego mieszkania poczuły się jak gówno. Prosiłabym też, by nikt mi nie wypominał, że za mieszkanie zapłacił mój tata. Tak, zgadza się – nie mam nawet kredytu! Pamiętajcie, żeby zdjąć buty przy wejściu.

Dokładnie o 14.00 zaczniemy żenujące, czasochłonne i infantylne gry i zabawy. Zaczniemy od zawiązywania sobie oczu i przypinania wymiocin do kartonowego dziecka. Następnie kupka w ciemno (rozpuścimy różne rodzaje batoników i wysmarujemy nimi pieluszki, a nasza przyszła mama będzie musiała zgadnąć, co jest w której!). Później przejdziemy do kalamburów, w których będziemy odgrywać różne etapy rodzicielstwa, takie jak konflikt z nadopiekuńczą matką o to, że nie chcesz ochrzcić dziecka, kłótnia z partnerem czy twierdzenie, że chomiki mają życie pozagrobowe, nie jest przypadkiem trzymaniem dziecka pod kloszem.

Trzy godziny później skończymy zabawą w muzyczne krzesła z pompką laktacyjną. Dostałam kilka przepełnionych niepokojem maili w tej sprawie, pozwólcie więc, że rozwieję wszystkie wątpliwości: NIE MUSICIE KARMIĆ PIERSIĄ, ŻEBY BRAĆ UDZIAŁ W GRZE. Karen jasno dała mi do zrozumienia, że nieródki są tylko odrobinę mniej mile widziane niż ciężarne i matki. Wszystkie usiądziemy w kręgu i będziemy podawać sobie pompkę, a kiedy muzyka ucichnie, osoba trzymająca urządzenie przyczepi je sobie na chwilę do cycka dla śmiechu. Przecież chodzi o dobrą zabawę!

Otwieranie prezentów jest zaplanowane na godzinę 17.00 (w załączniku lista prezentów do wyboru).

Uwaga do hipisek, freelancerek, bezrobotnych i osób pracujących w mediach, kulturze i innych branżach kreatywnych za mniej niż 25 tys. funtów rocznie: nikt nie chce dostawać Waszych ręcznie robionych śmieci. Jeśli naprawdę zależy Wam na Karen i jej nienarodzonym dziecku, to zrobicie zakupy z listy White Company, jak wszyscy. Są tam kaszmirowe czapeczki za jedyne 80 funtów; naprawdę nie macie żadnych wymówek, by dziergać ubranka na drutach. Nikt nie uzna Waszych biedackich wyrobów za urocze.

Będziemy obserwować, jak Karen otwiera wszystkie prezenty po kolei niczym pięciolatka na urodzinach. Następnie przyszła mama wyjaśni, do czego służy każda rzecz. To będzie nie tylko męczące, ale też absolutnie

mrożące krew w żyłach tym z nas, które nigdy nie rodziły i nie miały jeszcze okazji zapoznać się z kremem do sutków, pieluchami poporodowymi dla matek, rosołem z łożyska i wyławianiem kupy z basenu podczas porodu w wodzie. Na bezdzietne uczestniczki przyjęcia będzie czekać na miejscu certyfikowana terapeutka specjalizująca się w przypadkach zespołu stresu pourazowego. Dla reszty zamówiłyśmy manikiurzystkę.

Gwóźdź programu został zaplanowany na 19.00 – ciasto ujawniające płeć dziecka. Karen i jej mąż Josh nie wiedzą jeszcze, czy spodziewają się chłopca, czy dziewczynki, ale zamiast zapytać o to lekarza, poprosili go o przekazanie tej informacji bezpośrednio do cukierni w Hackney. Cały zespół w Bake'n'Bites ciężko pracował, by stworzyć czteropiętrowy tort z polewą o ulubionym przez Karen smaku solonego karmelu. Gdy przyszła mama rozkroi ciasto, ukaże się nam kolor zdradzający płeć dziecka: różowy to dziewczynka, niebieski – chłopiec, zielony – jeśli zapowiada się po trochu jedno i drugie. To będzie absolutnie wyjątkowa (i pyszna!) chwila dla nas wszystkich.

Mamy nadzieję, że czeka nas bardzo kosztowny i nudny dzień pełen śmiechu i miłości, kiedy to przygotujemy naszą drogą przyjaciółkę do wejścia na ścieżkę macierzyństwa, a przy okazji sprawimy, że wszystkie jej bezdzietne koleżanki poczują się wyobcowane, a te z dziećmi – nieważne.

Do zobaczonka!!

Buziaki

Natalia

Wystarczy

Przez kilka tygodni po spotkaniu z Davidem czułam się obnażona. Ogarnął mnie taki wstyd, że przeszłam w defensywę i głośno zadeklarowałam celibat. Oczywiście to wcale nie był prawdziwy celibat. Po pierwsze, trwał niecałe trzy miesiące, a po drugie – służył mi głównie za narzędzie do przyciągania uwagi mężczyzn; coś jak fantazja o odrodzonej dziewicy, egzotyczne wyzwanie. Jego przewidywane skutki były więc przeciwne do tego, o co chodzi w celibacie. Żadna zakonnica nie składa przecież ślubów czystości po to, by mężczyźni uważali ją za kusząco trudną do zdobycia.

A potem wydarzył się katastrofalny odcinek świąteczny. Moje przyjaciółki nazywały tak szczególną odmianę beztroskiego romansu, który może się zdarzyć tylko w okresie przedświątecznym, kiedy radość, dobra wola i adwokat uderzają wszystkim do głowy i nie wiadomo, czego się spodziewać. A ja właśnie wtedy uznałam, że zasłużyłam sobie na szybki strzał aprobaty, chińską zupkę o smaku podwyższonej samooceny.

Po przyjęciu świątecznym w pracy napisałam do gościa, z którym od kilku tygodni rozmawiałam na aplikacji randkowej. Był z Newcastle, pracował w branży muzycznej, miał szelmowski uśmiech i potrafił nieźle zagadać.

– Masz ochotę spotkać się teraz na randkę? – napisałam z agresywną nonszalancją. Była pierwsza trzydzieści nad ranem.

– Spoko – odpisał.

*

O drugiej przyjechał do mojego mieszkania z butelką organicznego czerwonego wina. Usiedliśmy na kanapie i zaczęliśmy rozmawiać, jakbyśmy byli dwójką wyrafinowanych ludzi sukcesu na wczesnej kolacji – obydwoje próbowaliśmy ignorować tragiczną rzeczywistość obopólnej desperacji. Dokładnie po godzinie rozmowy zaczęliśmy się całować. Następnie poszliśmy do sypialni na mechaniczny, nijaki seks. To był fizyczny ekwiwalent kanapki na stacji przy autostradzie – przed przyjazdem nie można się doczekać, a kiedy tylko człowiek się do niej zabiera, nie ma pojęcia, po co mu to było.

Nie uprawiałam seksu z nieznajomym od nocy z Adamem w Nowym Jorku. Wyrosłam z przygód na jedną noc, jak dziewczynka, która pewnego dnia odkrywa, że nie ma już ochoty bawić się lalkami. Kiedy tylko skończyliśmy, zrozumiałam, że już nigdy więcej nie chcę tego robić. Seks był w porządku, ale nie mogłam znieść obecności tego człowieka. Pozorna intymność, którą tak uwielbiałam na studiach, nagle wydała mi się żałosną farsą. Nie było w tym jego winy, ale chciałam, żeby jak najszybciej wyniósł się z mojego mieszkania, pokoju i łóżka z dobrym materacem z gąbki pamięciowej, na który długo oszczędzałam. Obok łóżka stało biurko z listami od przyjaciółek. Na widok sylwetki nieznajomego w tej ciemnej, osobistej przestrzeni zrobiło mi się niedobrze. Nocne godziny wlekły się jak ślimaki.

Obudziłam się z koszmarnym kacem. On nadal leżał w moim łóżku. Chciał spędzić ze mną poranek, pijąc herbatę i słuchając albumów Fleetwood Mac – trafił mi się materiał na „doświadczenie związkowe". Przez lata odkryłam, że niektórzy mężczyźni oferują coś takiego po przygodzie na jedną noc – zachowują pozory romantyzmu albo po to, żeby kobieta się w nich zakochała, albo w próbie stłumienia poczucia winy, że przespali się z kimś, kogo nawet nie znają z imienia i nazwiska. Przez cały następny dzień tulą się do ciebie, robią śniadanie i wspólnie oglądacie *Kroniki Seinfelda*, a wieczorem się zmywają i już więcej nie dzwonią. To pozornie darmowa usługa z ukrytym wysokim kosztem emocjonalnym. Nigdy nie korzystałam z „doświadczenia związkowego", kiedy mi je oferowano.

– No, to miłego życia – powiedziałam w drzwiach, kiedy wreszcie się go pozbyłam wymówką o planach na lunch.

– Nie mów tak – zaprotestował, obejmując mnie na pożegnanie.

– Przepraszam. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym zaoferować. – Wesołych świąt.

Położyłam się na kanapie ubrana w sweter Leo, którego nigdy się nie pozbyłam, i zaczęłam oglądać telewizję. Po jakimś czasie do salonu wszedł uroczy chłopak Indii, brodaty i uśmiechnięty, otulony mięciutkim szalikiem w szkocki wzór żakardowy – India kupiła mu go na święta. Stanowił uosobienie bliskości i miłości – te uczucia nigdy nie wydawały mi się równie odległe.

– Dzień dobry, Doll.

– Ładny szalik.

– Prawda? – Uśmiechnął się i popatrzył na niego. – India powiedziała mi, że zaliczyłaś wczoraj odcinek świąteczny.

– Mhm – mruknęłam z twarzą ukrytą w poduszce. Nie odrywałam wzroku od panelu dyskusyjnego na ekranie.

– Fajnie było?

– Nie. Okropnie. Strasznie dołująco. Budżetowy odcinek specjalny z taniej telenoweli.

– Och jej, czyli nie będzie powtórki?

– Nie. Raz wystarczy.

*

W następnym miesiącu moja rubryka o randkowaniu wreszcie przestała istnieć – nie miałam już żadnych wymówek, żeby bez przerwy szukać kolejnych facetów pod przykrywką pracy nad tekstem. Koniec pisania o randkach zbiegł się w czasie z nowym etapem w moim życiu. Przestały mną rządzić nocne telefony od byłych chłopaków, przesuwanie zdjęć w aplikacji w lewo i w prawo, dopadanie mężczyzn na imprezach i strategiczne organizowanie przerw na papierosa, gdy przed pubem stał akurat atrakcyjny mężczyzna.

Owszem, prowadzenie rubryki zachęcało mnie do takiego zachowania, ale byłam uzależniona. Od zawsze, na długo przed

rozpoczęciem aktywności seksualnej. W programie radiowym *Desert Island Discs* na BBC Jilly Cooper powiedziała kiedyś, że gdy była w szkole dla dziewcząt, miała taką obsesję na punkcie chłopaków, że czasami fantazjowała nawet o osiemdziesięcioletnim ogrodniku, który pracował na terenie posesji. Kiedy dorastałam, miałam podobnie – i chyba nigdy mi to nie przeszło. Mężczyźni fascynowali mnie i przerażali w równym stopniu; nie rozumiałam ich i nie chciałam zrozumieć. Służyli zaspokajaniu konkretnych potrzeb – od wszystkiego innego miałam przyjaciółki. W ten sposób zawsze trzymałam chłopaków na odległość ramienia.

*

Kiedy wróciłyśmy z Farly z Sardynii, moja przyjaciółka zaczęła nowe życie – pierwszy raz od wczesnej dwudziestki była singielką. Zafundowałam jej całkiem imponujący wykład o złożoności współczesnego randkowania.

– Pierwsze, co musisz zrozumieć – zaczęłam – to że nikt już nie poznaje ludzi w prawdziwym życiu. Wiele się zmieniło, odkąd wypadłaś z obiegu, Farly. Niestety nie masz wyjścia i musisz się do tego dostosować.

– Okej – przytaknęła, robiąc notatki w myślach.

– Dobra wiadomość jest taka, że nikt nie lubi randek przez internet. Wszyscy się na to decydujemy, ale każdy tak samo się z tym męczy, więc przynajmniej jedziemy na jednym wózku.

– Rozumiem.

– Nie przejmuj się, jeśli będziesz w pubie czy w innym miejscu publicznym i nikt do ciebie nie zagada. To zupełnie normalne. Czasami spodobasz się facetowi na imprezie, a on, zamiast z tobą porozmawiać, napisze potem do ciebie na Facebooku, że chciał to zrobić.

– Dziwne.

– Bardzo, ale się przyzwyczaisz. To po prostu nowy sposób nawiązywania kontaktu.

– A co z seksem w cycki?

– Co masz na myśli?

– Czy ludzie nadal uprawiają seks w cycki?

– Nie – odparłam autorytatywnie. – Od dwa tysiące dziewiątego już się tego nie robi. Nikt nigdy nie będzie od ciebie oczekiwał czegoś takiego.

– No, to przynajmniej tyle dobrego – westchnęła.

*

Tydzień później Farly poznała faceta w barze. Wymienili się numerami. Natychmiast zaczęli się spotykać.

– Farly kogoś poznała – powiedziałam Indii podczas sobotniego śniadania.

– Świetnie. Chcesz jedną grzankę czy dwie?

– Dwie. Nigdy nie zgadniesz, gdzie się spotkali. Dawaj.

– Nie mam pojęcia – odparła India i zjadła łyżeczkę musu cytrynowego.

– W barze.

– Jak to „w barze”?

– No, w prawdziwym życiu. Podszedł do niej, zaczęli rozmawiać, a teraz się spotykają. Wyobrażasz sobie? Cieszę się, że jej się udało, ale jednocześnie jestem wściekła. Kiedy ty ostatnio poznałaś kogoś w barze?

– Co za ABSURD! – zgodziła się India ze szczerym oburzeniem.

– Otóż to.

W tej samej chwili do kuchni przyczłapała owinięta szlafrokiem Belle.

– Dzień dobry, koteczki – przywitała nas sennie.

– Słyszałaś już o nowym facecie Farly? – spytała zbulwersowana India.

– Nie…?

– Poznali się w barze.

– W jakim barze?

– Nie wiem – odparłam. – Chyba gdzieś na Richmond. Wyobrażasz sobie? Od dobrych pięciu lat nikt mi nie dał swojego numeru w knajpie, a jej to się udało w pięć minut.

– Może ci z południa Londynu tak mają – zamyśliła się Belle.

– Może raczej Farly tak ma – poprawiłam ją.

Różnice między Farly a mną w żadnej innej kwestii nie są tak widoczne jak w miłości. Moja przyjaciółka to podręcznikowa monogamistka, która uwielbia przytulne, zaangażowane, długoterminowe związki. Ta część relacji, którą ja uważam za najbardziej ekscytującą – niepewne, ryzykowne miesiące na początku znajomości, kiedy ledwo możesz coś przełknąć przez motylki w brzuchu – dla niej jest najgorsza. A to, co mnie najbardziej przeraża – grille u rodziny chłopaka, wylegiwanie się w sobotę wieczorem na kanapie przed telewizorem, długie podróże na autostradzie – to dla niej szczyt marzeń. Farly z radością oddałaby pierwsze trzy miesiące związku za całe życie w domowych pieleszach, bliskość, praktyczne plany i leżenie na kanapie. Ja oddałabym wszystko, żeby przeżywać do końca życia te pierwsze trzy miesiące i mieć pewność, że nigdy nie będę musiała jechać z partnerem seksualnym do Ikei, na dworzec autobusowy ani do żadnych krewnych, którzy nie mieszkają w obrębie drogi M25.

„Projekcja" to jeden z terminów, których człowiek uczy się podczas terapii. Dochodzi do niej, kiedy oskarżamy kogoś o to, że robi dokładnie to, czego sami się boimy, żeby w ten sposób odepchnąć od siebie odpowiedzialność. Obwiniamy kogoś, by odciągnąć uwagę od własnych problemów. Często tak krytykowałam relacje Farly. Zawsze uważałam, że mój wieczny opór przed związkiem jest aktem swobody; nie zdawałam sobie sprawy, że wpadłam w pułapkę. Może ona potrzebowała być w związku, ale przynajmniej wiedziała, czego chce, i potrafiła to jasno komunikować. Ja też czegoś potrzebowałam, ale nie miałam pojęcia czego – i nienawidziłam siebie za to, że tego chcę.

Farly i ja poszłyśmy na długi spacer. Powiedziałam jej, że zamierzam zrobić sobie prawdziwą przerwę od seksu – i od wszystkich jego prologów i epilogów, od flirtu, wiadomości, randek i pocałunków – by znaleźć w sobie jakąś autonomię. Wyznałam, że choć przez większość życia byłam singielką, to tak naprawdę ani przez chwilę od liceum nie byłam sama. Zgodziła się ze mną i powiedziała, że to dobry pomysł.

– Jak myślisz, czy kiedyś uda mi się z kimś ustatkować? – spytałam, gdy przeskakiwałyśmy przez kłody w lesie otaczającym Hampstead Heath.

– Oczywiście. Po prostu nie spotkałaś jeszcze właściwego mężczyzny.

– Tak, ale właśnie w tym rzecz. Nie wydaje mi się, że tutaj w ogóle chodzi o właściwego mężczyznę, tylko o mnie. Myślę, że w ogóle nie znajdę w życiu miejsca na facetów, dopóki nie uporządkuję tego wszystkiego – odparłam, wskazując na siebie takim gestem, jakbym była zabałaganionym pokojem jakiejś nastolatki.

– To dobrze, że dajesz sobie czas. Uważam, że to krótkoterminowa inwestycja w długoterminową nagrodę.

– Dlaczego tobie to tak łatwo przychodzi? Zawsze ci zazdrościłam, że bez trudu odnalazłaś się ze Scottem. Raz-dwa i już – byliście razem. Na poważnie.

– Naprawdę nie wiem.

– A kiedy się zaręczyliście, myślałaś kiedyś o tym, że już nigdy z nikim innym się nie prześpisz? Nie przeszkadzało ci to?

– Wiesz co, kiedy teraz o to pytasz… Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– To nie może być prawda – zaprotestowałam, podskakując jak dziecko, by dotknąć gałęzi koniuszkami palców.

– Serio. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale wątpię, bym kiedykolwiek o tym pomyślała. Zależało mi tylko na przyszłości z nim.

– Chciałabym wiedzieć, jak to jest zaangażować się w relację z drugim człowiekiem bez reszty, zamiast wiecznie trzymać jedną nogę w drzwiach.

– Za surowo się oceniasz – zaprotestowała Farly. – Potrafisz kochać długoterminowo. I robisz to lepiej niż ktokolwiek, kogo znam.

– Niby jak? Mój najdłuższy związek trwał dwa lata i skończył się po moich dwudziestych czwartych urodzinach.

– Mówię o naszej przyjaźni.

*

Przez kilka następnych dni nie mogłam przestać myśleć o słowach Farly. Znałyśmy się od dwudziestu lat, a ja przez cały ten czas nie nudziłam się z nią. Z biegiem lat, z każdym kolejnym wspólnym doświadczeniem zakochiwałam się w niej coraz bardziej. Zawsze jestem podekscytowana, kiedy mam dla niej dobre wieści, i natychmiast proszę ją o radę w kryzysie. Uwielbiam z nią tańczyć. Im więcej wspomnień nas łączy, tym bardziej wartościowa staje się nasza przyjaźń – jak piękny, drogocenny obraz wiszący w salonie. Jej miłość od lat jest dla mnie źródłem bliskości, bezpieczeństwa i spokoju. Przez cały ten czas sądziłam, że moja wartość w relacji opiera się na seksualności, i dlatego zawsze zachowywałam się jak kreskówkowa nimfomanka. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mężczyzna mógłby mnie kochać tak samo jak przyjaciółki albo że ja mogłabym kochać go z takim samym zaangażowaniem i troską, jakie okazuję w naszych relacjach. Może przez cały ten czas byłam we wspaniałym małżeństwie i nawet o tym nie wiedziałam. Może Farly była wyznacznikiem, jak powinien wyglądać dobry związek.

Rzuciłam się w abstynencję z takim zaangażowaniem, jakbym miała napisać o tym doktorat. Im więcej czytałam książek, blogów i artykułów o uzależnieniu od seksu i miłości, tym bardziej rozumiałam, gdzie popełniłam błąd. Randkowanie stało się dla mnie źródłem natychmiastowego zadowolenia i przejawem narcyzmu. Nie miało nic wspólnego z budowaniem relacji. Raz po raz tworzyłam z mężczyznami intensywną więź, którą myliłam z bliskością. Oświadczyny nieznajomego na nowojorskim lotnisku. Guru w średnim wieku proszący, żebym przyleciała do niego na tydzień do Francji. To były przerysowane, niepotrzebne gesty, a nie bliskie relacje. Intensywność i intymność. Jak mogłam pomylić te dwie sprawy?

*

Minął miesiąc, a ja czułam wyłącznie wszechogarniającą ulgę. Skasowałam aplikacje randkowe z telefonu. Usunęłam numery facetów, do których dzwoniłam, kiedy miałam ochotę na szybki numerek. Przestałam odpisywać byłym, którzy o trzeciej nad ranem

wysyłali mi pozornie niezobowiązujące wiadomości w rodzaju: „Jak leci, droga pani?” albo „Nie możesz zasnąć?”. Przestałam obserwować w internecie facetów, których uważałam za potencjalne obiekty do podrywu; głównie z tego powodu skasowałam Facebooka. Przestałam żyć z tajemnicami. Odpuściłam sobie siedzenie do późna w nocy. Cały swój czas poświęcałam pracy i przyjaźniom.

Minęły dwa miesiące. Przekonałam się, jak to jest iść na wesele i rzeczywiście cieszyć się chwilą, kiedy moi przyjaciele biorą ślub, zamiast traktować całą sytuację jako ośmiogodzinny bazar z mięsem. Zachwycałam się przepięknym występem chóru śpiewającego w kościele, zamiast maniakalnie obserwować ławki, by się zorientować, który facet ma na palcu obrączkę. Nauczyłam się czerpać przyjemność z rozmowy z mężczyzną posadzonym obok mnie na obiedzie weselnym bez względu na jego stan cywilny. Oparłam się pokusie walki o uwagę jedynego singla przy stoliku i powstrzymałam chęć donośnego wygłaszania nieprzyzwoitych uwag. Pierwszy raz od pięciu lat spotkałam na imprezie Leo i poznałam jego żonę – objęłam ich oboje i zostawiłam w spokoju. Harry się zaręczył – nie poczułam ani grama złości. Adam zamieszkał z dziewczyną – wysłałam mu wiadomość z gratulacjami. Ich historia nie miała już nic wspólnego ze mną. Nie potrzebowałam ich zainteresowania. Miałam poczucie, że wreszcie biegnę po własnej ścieżce, w swoim tempie.

W metrze, zamiast nawiązywać kontakt wzrokowy z facetami, zajmowałam się czytaniem książek. Wychodziłam z imprez, kiedy chciałam, zamiast rozpaczliwie krążyć do samego końca w nadziei, że natknę się na kogoś atrakcyjnego. Przestałam chodzić na różne wydarzenia tylko dlatego, że wiedziałam, kto się na nich znajdzie; nie aranżowałam już „przypadkowych” spotkań z ludźmi, którzy mi się podobali. Któregoś wieczoru wyszłam potańczyć z Lauren. Kiedy ktoś ją zagadał, nie próbowałam znaleźć sobie faceta. Zamiast tego zostałam jeszcze na godzinę na parkiecie i tańczyłam sama, pociłam się, wirowałam i kołysałam się w rytm muzyki.

– Czekasz na kogoś? – spytał jakiś facet, przyciągając mnie do siebie.

– Nie, ona jest tu ze mną – odparłam i zdjęłam z siebie jego dłonie.

*

– Nigdy nie sądziłam, że użyję tego słowa w stosunku do ciebie. Nie obraź się – zaczęła Farly przy czwartym drinku, kiedy kilka tygodni później siedziałyśmy w pubie. – Ale od paru miesięcy twoje towarzystwo mnie uspokaja.

– A kiedy ostatni raz widziałaś, żebym była spokojna?

– No właśnie nigdy – odparła Farly, dopiła resztki wódki z tonikiem i rozgryzła kostkę lodu. – Od prawie dwudziestu lat.

Późną wiosną wybrałam się na szkockie wyspy Orkney, żeby napisać artykuł do magazynu podróżniczego o wakacjach w pojedynkę. Zatrzymałam się w pokoju nad pubem z widokiem na port Stromness. W nocy, po piwie i misce parujących muli, wybierałam się na długi spacer wzdłuż brzegu morza. Wpatrywałam się w przepastne otwarte niebo – większe niż cokolwiek, co widziałam wcześniej.

Pewnej nocy, po kilku dniach spędzonych na spokojnych rozmyślaniach w samotności, szłam pod gwiazdami po brukowanej uliczce, kiedy nagle oplotła mnie pewna myśl, niczym zachwycające, świeże pędy wisterii. Nie potrzebuję, żeby czarujący muzyk wspomniał o mnie w piosence. Nie potrzebuję guru, który będzie mi mówić, czego jego zdaniem o sobie nie wiem. Nie muszę ścinać włosów, bo chłopak mi powiedział, że będzie mi z tym do twarzy. Nie muszę zmieniać swojego ciała, żeby stać się wartą czyjejś miłości. Nie potrzebuję żadnych słów, spojrzeń ani uwag od mężczyzny, bym uwierzyła, że jestem widzialna; że istnieję. Nie muszę uciekać od własnego dyskomfortu prosto w męskie pole widzenia. To nie wtedy ożywam.

Wystarczy. Jestem dość dobra. Moje serce jest wystarczająco dobre. Opowieści i zdania kłębiące się w moim umyśle są wystarczająco dobre. Cała wibruję, pienię się, gram, eksploduję. Kipię i płonę. Moje wczesnoporanne spacery i późnonocne kąpiele są wystarczająco dobre. Mój głośny śmiech w pubie, przenikliwe

gwizdy, śpiew pod prysznicem i hipermobilne palce u stóp w zupełności wystarczą. Jestem jak świeżo nalany kufel piwa z gęstą świeżą pianą. Jestem swoim własnym wszechświatem, galaktyką, układem słonecznym. Jestem gwiazdą wieczoru, zespołem i chórkiem.

A jeśli to jest to, jeśli to już wszystko – tylko ja, drzewa, niebo i morze – to teraz wiem, że to mi wystarczy.

Jestem wystarczająco dobra. Wystarczam. Te słowa odbijały się w moim wnętrzu, trzęsąc każdą komórką ciała. Poczułam je i zrozumiałam; wtopiły mi się w kości. Nowa myśl galopowała i skakała we mnie jak koń wyścigowy. Wykrzyknęłam ją do ciemnego nieba. Patrzyłam, jak ta deklaracja odbija się od jednej gwiazdy do drugiej, jak huśta się na czerwonych olbrzymach niczym Tarzan. Jestem cała i kompletna. Nigdy się nie wyczerpię.

Jest mnie więcej niż dość.

(To się chyba nazywa „przełom”).

Dwadzieścia osiem lekcji na dwudzieste ósme urodziny

1. Jedna na sto osób może regularnie brać twarde narkotyki, pić na umór przez długi czas i nie poczuć głębokiej, mrocznej tęsknoty albo pustki. Jedna na dwieście wyjdzie z tego bez szwanku. Po wielu latach rozmyślań na ten temat uznałam, że Keith Richards to wyjątek, nie reguła. Należy go podziwiać, ale naśladować wyłącznie z dużą dozą ostrożności.
2. Jedna na trzysta osób uprawia seks z trzema nieznajomymi w tygodniu z innego powodu niż rozpaczliwa ucieczka przed swoimi myślami, szczęściem, własnym ciałem, samotnością, miłością, starzeniem się albo śmiercią. Po wielu latach rozmyślań na ten temat uznałam, że Rod Stewart to wyjątek, nie reguła. Należy go podziwiać, ale naśladować można wyłącznie z dużą dozą ostrożności.
3. Słowa piosenki The Smiths *Heaven Knows I'm Miserable Now* to najzgrabniej ujęte wytłumaczenie rzeczywistości. Morrisey z elegancką powściągliwością opisuje optymizm wczesnej dwudziestki i miażdżące rozczarowanie, które następuje zaraz potem.
4. Życie to skomplikowana, trudna, smutna, niezrozumiała i nieracjonalna sprawa. Prawie nic nie ma w nim sensu. Rzadko

bywa sprawiedliwe. I w większości sprowadza się do niezbyt satysfakcjonującej wypadkowej szczęścia i pecha.

5. Życie to cudowna, fascynująca, magiczna, zabawna, niepoważna sprawa. Ludzie są niesamowici. Wszyscy wiemy, że umrzemy, a mimo to potrafimy żyć. Krzyczymy, klniemy i przejmujemy się, kiedy pęka nam worek ze śmieciami, choć z każdą minutą zbliżamy się do końca istnienia. Zachwycamy się nektarynkowym zachodem słońca nad M25, zapachem główki niemowlęcia i prostotą składanych mebli, choć zdajemy sobie sprawę, że wszyscy, których kochamy, pewnego dnia przestaną istnieć. Nie mam pojęcia, jak to robimy.
6. Jesteś sumą wszystkiego, co ci się przytrafiło, aż do ostatniego siorbnięcia herbaty, którą właśnie odstawiłaś. Składasz się z tego, jak przytulali cię rodzice, i z tej jednej uwagi, którą pierwszy chłopak wygłosił na temat twoich ud; z tych wszystkich cegiełek piętrzących się od podeszew stóp po czubek głowy. Ekscentryczne nawyki, słabostki i porażki pojawiły się na zasadzie efektu motyla, wywołane tym, co zobaczyłaś w telewizji, co powiedzieli ci nauczyciele i jak ludzie patrzą na ciebie od chwili, kiedy pierwszy raz otworzyłaś oczy. Przyjrzyj się swojej przeszłości. Prześledź różne wątki i poszlaki aż do źródła – z pomocą specjalisty – może się to okazać niesamowicie przydatne i otworzyć ci drogę do wolności.
7. Pamiętaj jednak, że terapia nie załatwi wszystkiego. To jak test teoretyczny na prawo jazdy. Możesz zakuwać do woli, ale przyjdzie czas, że będziesz musiała wsiąść za kółko i naprawdę poczuć, jak to działa.

8. Nie każdy potrzebuje nawigacji po swoich wnętrznościach w ramach terapii. Absolutnie każdy człowiek jest do pewnego stopnia dysfunkcyjny, ale wielu ludzi potrafi z tym funkcjonować.
9. Nikt nigdy, przenigdy nie ma obowiązku pozostawać w związku, w którym nie chce być.
10. Każde wakacje będą absolutnie, całkowicie zrujnowane, jeśli nie kupisz przed wylotem dwóch opakowań spreju na owady. Na miejscu na pewno już tego nie ogarniesz, a potem co wieczór będziecie jeść kolację na dworze i narzekać pasywno-agresywnym tonem, że „komary żrą was żywcem", bo wszyscy będziecie wkurzeni, że ktoś inny nie pamiętał, by zabrać ze sobą środek na komary. Po prostu kup go na lotnisku i sprawa załatwiona.
11. Nie jedz cukru codziennie. Cukier rujnuje wszystko na zewnątrz i wewnątrz twojego organizmu. Dzięki trzem litrom wody dziennie ciało funkcjonuje, jak należy. Kieliszek czerwonego wina to lekarstwo.
12. Nikt nigdy cię nie prosił, żebyś zrobiła dla niego na urodziny kolaż od podłogi do sufitu ze zdjęć dokumentujących waszą przyjaźń. Albo żebyś dzwoniła trzy razy dziennie. Nikt nie będzie płakać, że nie zaprosiłaś go na obiad, bo nie miałaś w domu dość krzeseł. Jeśli czujesz się wyczerpana ludźmi, to dlatego, że z własnej woli grasz męczennicę, by zdobyć ich przyjaźń. To twój problem, nie ich.
13. Nie ma sensu starać się za wszelką cenę, by każda decyzja, którą podejmujesz, była stuprocentowo zgodna z twoim kompasem moralnym. To wyczerpujące i niemożliwe. Feministki mogą chodzić na depilację woskiem. Księża mogą przeklinać. Wegetarianie mogą nosić skórzane buty. Rób tyle dobrego, ile jesteś w stanie. Nie

możesz przy każdym wyborze dźwigać na swoich barkach ciężaru całego świata.

14. Każdy powinien mieć w domu album Paula Simona, książkę Williama Boyda i film Wesa Andersona. Jeśli to będą jedyne trzy rzeczy na twojej półce, przetrwasz nawet najdłuższą, najzimniejszą i najsamotniejszą noc.
15. Jeśli wynajmujesz mieszkanie, pomaluj ściany na biało, nie na kremowo. Tani kremowy kolor wygląda niechlujnie, podmiejsko i tandetnie. Tania biel jest chłodna, czysta i kojąca.
16. Jeśli wciśniesz shift i F3, cały zaznaczony tekst zmieni się na wielkie albo małe litery.
17. Pozwól, żeby ludzie się z ciebie śmiali. Pozwól sobie wyjść czasami na głupka. Nie bój się, że przekręcisz trudne słowo. Rozlej sobie jogurt na koszulę. Nie ma większej ulgi, niż wreszcie dopuścić do tego, czego tak się obawiałaś.
18. Prawdopodobnie nie masz nietolerancji na pszenicę, po prostu jesz jej za dużo: 90–100 gramów makaronu albo dwie kromki chleba dziennie wystarczą. Każdy czuje się dziwnie po zjedzeniu całego bochenka; gdybyś wciągnęła całego arbuza za jednym posiedzeniem, też czułabyś się dziwnie.
19. Nie ma szybszego sposobu na zbliżenie do siebie grupy kobiet niż temat niespodziewanych szorstkich włosków na brodzie.
20. Seks naprawdę, ale to naprawdę staje się lepszy z wiekiem. Jeśli dotychczasowa tendencja się utrzyma, to po dziewięćdziesiątce będę kopulować bez przerwy. Nie będzie sensu robić cokolwiek innego. Może z wyjątkiem popołudniowych przerw na kawałek tarty z malinami.

21. Masz pełne prawo skoncentrować się na sobie. Wolno ci podróżować i mieszkać w pojedynkę, wydawać pieniądze na siebie, flirtować, z kim tylko chcesz, i rzucić się w wir pracy z takim oddaniem, na jakie masz ochotę. Nie musisz wychodzić za mąż ani mieć dzieci. To, że nie chcesz się otworzyć i dzielić życia z partnerem, nie oznacza, że jesteś płytka. Ale absolutnie nie należy być w związku, jeśli wiesz, że chcesz być sama.
22. Każdy – bez względu na wiek, płeć i rozmiar – dobrze wygląda w białej koszuli/grubym golfie/brązowych skórzanych butach/dżinsowej kurtce/granatowej bosmance.
23. Bez względu na to, jak okropnych masz sąsiadów, staraj się być z nimi na dobrej stopie. Albo znajdź sobie chociaż jednego sojusznika z mieszkania obok, któremu będziesz mogła z szacunkiem skinąć głową przy śmietniku. Nigdy nie wiesz, kiedy dojdzie do wycieku gazu, włamania albo trzeba będzie odebrać paczkę – o wiele łatwiej sobie z tym poradzisz, jeśli masz do kogo zapukać. Uśmiechaj się i toleruj sąsiada. Możesz też dać mu zapasowe klucze na wszelki wypadek.
24. Udawaj, że w metrze internet nie istnieje. Połączenie i tak jest do dupy. Zawsze noś w torebce książkę.
25. Jeśli czujesz, że rzeczywistość cię przerasta, spróbuj tego: posprzątaj swój pokój, odpisz na wszystkie zaległe maile, posłuchaj podcastu, wykąp się, idź spać przed dwudziestą trzecią.
26. Przy każdej nadarzającej się okazji pływaj w morzu nago. Podejmuj aktywne starania w tym kierunku. Jeśli jedziesz w pobliżu morza i poczujesz w powietrzu słony podmuch, zaparkuj, zdejmij ubranie i biegnij przed siebie, aż znajdziesz się po cycki w lodowatym oceanie.

27. Będziesz musiała podjąć decyzję: żelowe paznokcie albo gra na gitarze. Żadna kobieta nie może mieć jednego i drugiego.

27a. Z wyjątkiem Dolly Parton.

28. Twoje życie zmieni się wiele razy bardziej drastycznie, niż to sobie wyobrażasz. Wyląduje pięćset kilometrów na północ od najdzikszych spekulacji. Zdrowi ludzie padają martwi w kolejkach w supermarkecie. Przyszła miłość twojego życia może siedzieć obok ciebie w autobusie. Nauczyciel matematyki, który był trenerem rugby w liceum, może teraz mieć na imię Susan. Wszystko się zmieni. To może nastąpić każdego ranka.

Powrót do domu

Bardzo wielu rzeczy nie wiem o miłości. Przede wszystkim nie wiem, jak wygląda ponadkilkuletnia relacja. Czasami słyszę małżeństwa mówiące o „etapie", który trwał dłużej niż mój najdłuższy związek. Ponoć to dość powszechne. Słyszałam, jak ludzie opisują swoją pierwszą wspólną dekadę jako „miesiąc miodowy". W moim przypadku niektóre miesiące miodowe trwały krócej niż dziesięć minut. Mam przyjaciółki, które opisują swój związek tak, jakby to była trzecia osoba w ich partnerstwie, żywe stworzenie wijące się, zmieniające się, poruszające się i rosnące z biegiem czasu, jak organizm przepoczwarzający się równie drastycznie jak dwie osoby, które spędzają razem życie. Nie wiem, jak to jest żywić takie stworzenie. Nie mam pojęcia, jak długoterminowa miłość wygląda od środka.

Nie wiem też, jak to jest mieszkać z kimś, kogo kocham. Nie wiem, jak to jest szukać razem domu i spiskować konspiracyjnym szeptem w łazience tak, żeby agent nieruchomości nie słyszał. Nie mam pojęcia, jakie to uczucie, gdy każdego ranka wykonuje się senną choreografię w łazience, by umyć zęby i wziąć prysznic w dobrze nam znanym porządku. Nie wiem, jak to jest mieć świadomość, że nie trzeba wstać i iść do domu; że twój dom leży tuż obok ciebie rano i wieczorem.

Nie wiem też, jak to jest tworzyć prawdziwy zespół z partnerem; nigdy nie szukałam wsparcia w romantycznych relacjach ani nie odnalazłam w nich wspólnego rytmu. Ale zdarzyło mi się kochać i tę miłość utracić, opuszczać i być opuszczoną. Mam nadzieję, że kiedyś poznam też całą resztę spektrum.

Niemal cała moja wiedza o miłości pochodzi z długoterminowych przyjaźni z kobietami, szczególnie z tymi, z którymi na jakimś etapie życie mieszkałam. Wiem, jak to jest poznać kogoś dokumentnie i nurzać się w tej wiedzy, jakby to był kierunek akademicki. Jeśli chodzi o dziewczyny, z którymi stworzyłam wspólny dom, to jestem jak kobieta, która potrafi przewidzieć, co jej mąż zamówi w każdej restauracji. Wiem, że India nie pije herbaty, A.J. najbardziej lubi kanapki z serem i kawałkami selera, Belle ma zgagę po drożdżówkach, a Farly lubi wystygłe grzanki, bo wtedy masło się rozprowadza, ale nie topi. A.J. potrzebuje ośmiu godzin snu, żeby prawidłowo funkcjonować, Farly siedmiu, Belle mniej więcej sześciu, a India potrafi zaorać cały dzień jak Margaret Thatcher na czterech albo pięciu. Farly ma w budziku piosenkę *So Far Away* Carole King, uwielbia oglądać programy o otyłości, które zawsze mają takie tytuły jak *Moja matka waży pół tony* albo *Mój syn wieloryb*. A.J. ogląda *Zatokę serc* na YouTubie (zdumiewające) i kupuje książeczki z sudoku, żeby rozwiązywać je w łóżku. Belle przed pracą robi ćwiczenia przed komputerem, a w kąpieli słucha muzyki trance. India układa w pokoju puzzle i ogląda w każdy weekend *Hotel Zacisze* („Nie mam pojęcia, jak jej to wystarcza", skomentowała kiedyś Belle, gdy byłyśmy tylko we dwie. „Przecież to ma tylko dwanaście odcinków").

Wiem, jak to jest włożyć butlę z tlenem i radośnie zanurkować w dziwactwach i słabostkach bliskiej mi osoby, ciesząc się każdym fascynującym odkryciem. Na przykład takim, że Farly śpi w spódniczce, odkąd ją znam. Dlaczego to robi? Jaki to ma sens? Albo tym, że Belle w piątkowe wieczory drze cieliste rajstopy, gdy wraca do domu z pracy – czy to wyraz cichej wściekłości na korporacyjny system, czy może tylko rytuał, do którego się przyzwyczaiła? A.J. owija sobie głowę szalikiem, gdy jest zmęczona – z pewnością nie próbuje się za nikogo przebierać, więc po co to robi? Może w niemowlęctwie rodzice owijali ją w zbyt wiele kocyków, więc ta czynność ją uspokaja i przywraca na chwilę do krainy dzieciństwa? India ma ukochany kocyk – postrzępiony, stary granatowy sweter, na który mówi Nigh i z którym często chodzi spać. Dlaczego tak go nazywa? Ile miała lat, kiedy stwierdziła, że to chłopiec? Niczego bym

tak bardzo nie chciała, jak zorganizować coś w rodzaju wieczoru literackiego, na który wszystkie moje ukochane przyjaciółki przyniosłyby swoje przytulanki i kocyki z dzieciństwa, by wspólnie omówić ich tożsamość płciową. Byłabym nieskończenie zachwycona, wierzcie lub nie.

Wiem, jak to jest wspólnie założyć i prowadzić dom. Rozumiem zasady rządzące ekonomią współpracy i zaufania. Wiem, jak to jest, kiedy ma się pewność, że ktoś zawsze pożyczy ci pięćdziesiąt funtów do wypłaty i że jak tylko je oddasz, może poprosić cię o taką samą pożyczkę („Jesteśmy jak dzieci w szkole, wiecznie zamieniające się kanapkami", powiedziała kiedyś o naszym budżecie Belle. „W tym tygodniu ty chcesz mojego tuńczyka z kukurydzą, a w następnym ja ciebie poproszę o twoją z jajkiem i rzeżuchą"). Znam radość czekania na pocztę w grudniu, kiedy kartki z życzeniami sypią się przez klapkę na listy w drzwiach, a na każdej kopercie widnieją trzy imiona, dzięki którym naprawdę czujesz się jak w rodzinie. Znam to dziwne poczucie bezpieczeństwa, jakie daje widok trzech nazwisk na jednym koncie w bankowości internetowej.

Wiem, jak to jest, kiedy tożsamość rozrasta się poza jedną osobę; jak to jest być częścią „nas". I jak to jest usłyszeć Farly mówiącą „Raczej nie jadamy czerwonego mięsa" do kogoś po drugiej stronie stołu albo Lauren rzucającą w rozmowie z chłopakiem na imprezie: „To nasz ulubiony album Vana Morrisona". Wiem, jak zaskakująco miłe jest to uczucie.

Wiem, jak to jest doświadczyć czegoś nieprzyjemnego i przekuć to na wspólną mitologię, jak para teatralnie relacjonująca na zmianę historię zgubionego bagażu w zeszłe wakacje. My tak samo opowiadamy o swoich mikrokatastrofach. Jak wtedy na przykład, gdy India, Belle i ja przeprowadziłyśmy się do nowego domu i wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle. Przeszłyśmy udrękę ze zgubionymi kluczami, pożyczaniem pieniędzy od znajomych, spaniem na kanapach i oddawaniem wszystkich rzeczy do składziku. Ale historia jest przednia.

Wiem, jak to jest kochać kogoś i akceptować fakt, że pewnych cech w drugiej osobie nie da się zmienić; Lauren jest pedantką, jeśli chodzi o zasady gramatyki, Belle bałaganiarą, Sabrina wysyła mi

setki wiadomości, A.J. nigdy nie odpisuje, Farly zawsze strzela fochy, kiedy jest zmęczona albo głodna. Wiem też, jaka wolność kryje się w świadomości, że jestem w zamian za to kochana i akceptowana ze wszystkimi swoimi wadami (wiecznie się spóźniam, nigdy nie mam naładowanego telefonu, jestem nadwrażliwa, roztrząsam każdą sprawę w nieskończoność, nie wyrzucam śmieci na czas).

Wiem, jak to jest, kiedy kochana osoba opowiada zachwyconej publiczności historię, którą słyszałam już jakieś pięć tysięcy razy. Wiem, jak to jest, kiedy ta osoba (Lauren) za każdym razem przedstawia tę historię z coraz większym rozmachem, dodając kolejne szczegóły i ozdoby jak do jajeczka Fabergé („dochodziła dwudziesta trzecia" zmienia się w „było dobrze po czwartej nad ranem", a „siedziałam na plastikowym krześle" w „no i wyciągnęłam się na takim szezlongu, ręcznie robionym ze szkła"). Wiem, jak to jest kochać kogoś tak bardzo, że w ogóle cię to nie irytuje; pozwalać im wyśpiewywać w kółko tę samą dobrze znaną melodię, a nawet od czasu do czasu zawtórować i wtrącić jakiś szczegół, żeby podkręcić tempo historii, jeśli to potrzebne.

Wiem, jak wygląda kryzysowy moment w relacji. Kiedy myślisz: albo zmierzymy się z tym problemem i spróbujemy go rozwiązać, albo pójdziemy każde w swoją stronę. Wiem, jak to jest umówić się na spotkanie w barze na South Bank, przywitać się szorstko, a trzy godziny później szlochać sobie w ramionach i przysięgać, że już nigdy nie popełnimy tych samych błędów (ludzie spotykają się w South Bank tylko po to, żeby się pogodzić albo rozstać – w barze Teatru Narodowego zaliczyłam najlepsze porzucenia, zarówno jako strona czynna, jak i bierna).

Wiem, jak to jest mieć pewność, że zawsze istnieje w twoim życiu jakaś latarnia, której blask sprowadzi cię na suchy ląd; jak to jest czuć ciepło, gdy ktoś ściska cię za rękę na pogrzebie kochanej osoby. Podążać za czyimś światłem w zatłoczonym pokoju na okropnej imprezie, na której niezapowiedzianie pojawił się twój były chłopak z nową żoną, a światło mówi: „Chodźmy na frytki, a potem złapiemy nocny do domu".

Wiem, że miłość może być głośna i radosna. To taniec w błocie i deszczu na festiwalu, kiedy drzesz się: „KURWA, JESTEŚ

NIESAMOWITA!”, przekrzykując zespół. Czuję tę miłość, kiedy przedstawiam bliską osobę kolegom z pracy na firmowej imprezie i puchnę z dumy, widząc, jak oczarowuje rozmówców, a ja zyskuję na wartości tylko dlatego, że ktoś taki mnie kocha. Miłość to śmiech do utraty tchu. Budzenie się w kraju, w którym żadna z nas nigdy nie była. Pływanie nago bladym świtem. Wspólny spacer w niedzielną noc z poczuciem, że całe miasto należy do nas. To wielka, piękna, bujna siła natury.

Wiem też, że miłość potrafi być cicha i spokojna. Kryje się w leżeniu razem na kanapie z kubkiem kawy w dłoniach i w rozmowach, dokąd pójdziemy dziś rano, żeby wypić więcej kawy. To zaznaczanie w książce fragmentów, które ktoś może uznać za interesujące. Rozwieszanie przyjaciółce prania, kiedy wyszła z domu i zostawiła mokre ciuchy w pralce jak głupek. Zapewnienia: „Tu jesteś bezpieczniejsza niż w samochodzie, prędzej zginęłabyś podczas zajęć ze sztangą na siłowni niż przez następną godzinę”, kiedy przyjaciółka zaczyna hiperwentylować podczas lotu easyJetem do Dublina. To wiadomości: „Powodzenia!”, „Jak poszło?”, „Będę dziś o tobie myśleć” i „Kupiłam papier toaletowy”. Wiem, że miłość przychodzi w splendorze księżyca, gwiazd, fajerwerków i zachodów słońca, ale też na dmuchanym materacu w pokoju z dzieciństwa, w poczekalni na pogotowiu, w kolejce po paszport albo w korku. Miłość jest cicha, kojąca, łagodna, pedantyczna i harmonijna, krząta się i mruczy. Łatwo zapomnieć, że w ogóle nas otacza, choć zawsze stoi przy tobie z rozpostartymi ramionami, na wypadek gdybyś miała upaść.

*

Przez pięć lat mieszkałam z przyjaciółkami, aż wreszcie ten etap dobiegł końca. Najpierw Farly zostawiła mnie dla chłopaka, potem odeszła A.J., aż wreszcie India zadzwoniła pewnego dnia i powiedziała, że jest gotowa zrobić to samo, po czym zaczęła szlochać.

– Dlaczego płaczesz? – spytałam. – Chodzi o to, jak traktowałam Farly, kiedy poznała Scotta? Bałaś się, że się wścieknę? Czy wy

macie mnie za wariatkę? To było dobre cztery lata temu, teraz już potrafię radzić sobie z takimi rzeczami.

– Nie, nie. – India pociągnęła nosem. – Po prostu będę za tobą tęsknić.

– Wiem. Ja za tobą też. Ale kończysz w tym roku trzydzieści lat. To wspaniale, że jesteś gotowa zrobić następny krok w związku. To absolutnie normalne i właściwe, że pewne rzeczy się zmieniają. – Byłam zaskoczona własnym racjonalnym podejściem do sprawy. Po cichu wręczyłam sobie Order Imperium Brytyjskiego za zasługi dla przyjaźni.

– A co ty zrobisz? Zawsze mówiłaś, że chciałabyś spróbować mieszkać w pojedynkę.

– Nie jestem pewna. Nie wiem, czy jestem na to gotowa – odparłam. – Może powinnam pomieszkać z Belle, dopóki ona też nie postanowi przeprowadzić się do chłopaka. To daje mi co najmniej sześć miesięcy na zastanowienie, co dalej.

– Dolly, nie jesteś w *Igrzyskach śmierci* – westchnęła India. – Nie powinnaś traktować przyjaźni jako testu na wytrzymałość, żeby sprawdzić, kto najdłużej przy tobie wytrwa.

Uświadomiłam sobie, że dostałam szansę. Mogłabym czekać, aż wszystkie moje przyjaciółki znajdą sobie facetów i się wyprowadzą. Mogłabym wynajmować mieszkanie z nieznajomymi z Gumtree, którzy trzymają piankę do golenia w lodówce, i kurczowo trzymać się nadziei, że wkrótce wejdę w związek i się wyprowadzę. Ale mogłam też zacząć swoją opowieść.

*

Znalezienie jednopokojowego mieszkania z moim budżetem nie było łatwą sprawą. Poszukiwania zawiodły mnie do domów z łóżkami obok piekarnika i prysznicami zamontowanymi nad toaletą. Trafiłam na „przestronną kawalerkę", która miała dwadzieścia metrów kwadratowych, i na mieszkanie z drzwiami frontowymi zaklejonymi taśmą policyjną. India chodziła ze mną oglądać kolejne miejsca, negocjowała ceny, przesłuchiwała agentów nieruchomości i pytała,

czy naprawdę uważam, że jestem w stanie żyć bez szafy i trzymać wszystkie swoje ubrania w walizce pod łóżkiem.

W końcu jednak znalazłam mieszkanie, na które było mnie stać (ledwo, ledwo), w samym centrum Camden. Znajdowało się na parterze i miało sypialnię, łazienkę, salon, dość miejsca na szafę, a prysznic wisiał nad prawdziwą wanną. W głębi znajdowała się zapadnięta, wilgotna kuchnia bez choćby jednej szuflady – tak mała, że ledwo mogłam się w niej obrócić, z lufcikiem i widokiem na kanał, przez co miałam wrażenie, że znajduję się na łódce. Nie było idealne, ale za to moje.

Zebrałam wszystkie dziewczyny, z którymi mieszkałam przez te wszystkie lata, i zorganizowałyśmy pożegnalny współlokatorski maraton po pubach ku czci naszych przygód. Każda przebrała się za jakiś pamiętny aspekt dzielenia wspólnie mieszkania, co okazało się tak obłąkanym pomysłem, jak można się było spodziewać. A.J. przyszła jako Gordon, cierpiący na kryzys wieku średniego właściciel naszego pierwszego domu – włożyła skórzaną kurtkę motocyklową i białe adidasy. Stroju dopełniały peruka z krótkich brązowych włosów i wieczny obleśny uśmieszek. Nasza domowa pedantka Farly przebrała się za gigantyczny odkurzacz Henry – do walcowatego kostiumu przyczepiła rurę, która z każdym kolejnym drinkiem coraz bardziej ciągnęła się po ziemi. Belle wybrała naszą koszmarną rozwrzeszczaną sąsiadkę z rozmazaną szminką i peruką w stylu Cher. India przebrała się za wielki kosz na śmieci, bo wyrzucanie śmieci i wkładanie nowego worka stanowiło przez lata refren naszego wspólnego mieszkania; obwiązała sobie buty czarnymi workami, włożyła pokrywkę na głowę jak kapelusz, a do ubrania przyczepiła puste opakowania po nawilżanych chusteczkach do twarzy i chrupkach Monster Munch. Ja postanowiłam przebrać się za wielką paczkę papierosów i natychmiast tego pożałowałam, bo co chwila podchodzili do mnie nieznajomi w nadziei, że rozdaję fajki za darmo – wyglądałam jak hostessa reklamująca marlboro light na ulicach Kentish Town.

Łaziłyśmy od pubu do pubu, aż wreszcie dotarłyśmy do naszego pierwszego wspólnego domu, tego z żółtej cegły. Zajrzałyśmy nawet do sklepiku Ivana, ale jego kolega powiedział, że dawny kierownik

w tajemniczych okolicznościach „wyjechał za granicę, żeby zająć się jakąś niedokończoną sprawą", i „zniknął bez wieści".

– Artyści odeszli – wymamrotała tęsknie Belle, gdy szłyśmy półkolistą ulicą, a dzień przechodził w zmierzch. – Teraz wprowadzą się tu bankierzy.

Tydzień później spakowałam roślinki i książki do kartonów i obkleiłam pakunki taśmą. Ostatniego dnia wspólnego mieszkania India, Belle i ja napiłyśmy się przecenionego prosecco – trunku dekady – i tańczyłyśmy po pijaku w pustym salonie do piosenek Paula Simona. Następnego ranka czekałyśmy każda na swoją firmę przeprowadzkową. Przysiadłyśmy obok siebie na skraju poplamionego winem dywanu, postukiwałyśmy kolanami i prawie się nie odzywałyśmy.

Farly, najbardziej skuteczna i zorganizowana osoba, jaką kiedykolwiek poznałam, przyjechała tego samego dnia, żeby pomóc mi rozpakować rzeczy w nowym mieszkaniu. („Jesteś pewna, że chcesz to robić?" – napisałam. „Daj spokój, to dla mnie jak kokaina", odpowiedziała). Zamówiłyśmy wietnamskie jedzenie, usiadłyśmy na podłodze, zaczęłyśmy siorbać pho i nurzać surowe sajgonki w sosie sriracha, jednocześnie dyskutując, gdzie powinnam postawić kanapę, krzesła, lampy i regały, a gdzie biurko, przy którym codziennie będę pisać. Rozpakowywałyśmy wszystko do późna, a potem padłyśmy nieprzytomne na materac rozłożony pod ścianą sypialni. Ze wszystkich stron otaczały nas kartonowe pudła pełne butów, torby z ciuchami i sterty książek.

Kiedy się obudziłam, Farly zdążyła już wyjść do pracy. Na poduszce leżała karteczka zapisana jej okrągłym, dziecinnym pismem, które nie zmieniło się od czasów, kiedy robiła korektorem notatki w moich segregatorach podczas lekcji chemii i biologii. „Uwielbiam Twój nowy dom i bardzo Cię kocham", napisała.

Poranne słońce sączyło się przez okna sypialni. Materac tonął w kałuży białego światła. Wyciągnęłam się na ukos na łóżku, rozkoszując się chłodem pościeli. Byłam zupełnie sama, ale nigdy nie czułam się bardziej bezpieczna. Nie chodziło o ceglane ściany wokół mnie, które jakimś cudem zdołałam wynająć, ani o dach nad głową, choć byłam za niego nieskończenie wdzięczna. To bezpieczeństwo

kryło się w domu, który nosiłam teraz na własnych plecach jak ślimak. W poczuciu, że wreszcie jestem w odpowiedzialnych, kochających rękach.

Miłość kryła się w moim pustym łóżku. Piętrzyła się na stercie płyt, które Lauren kupiła mi jeszcze w liceum. Wyglądała spomiędzy rozmazanych karteczek z przepisami od mamy, wetkniętych między strony książek kucharskich w szafce nad piekarnikiem. Chlupotała w obwiązanej wstążeczką butelce ginu, którą India podarowała mi na pożegnanie. Zerkała na mnie z rozmytych fotografii o pozawijanych rogach – zamierzałam zawiesić je na lodówce. Promieniowała z karteczki leżącej na poduszce tuż przy mnie. Złożyłam notkę od Farly i schowałam do pudełka po butach, gdzie trzymałam wszystkie liściki, które mi zostawiała.

Obudziłam się bezpieczna w swojej jednoosobowej łódce. Płynęłam ku nowym horyzontom; unosiłam się na morzu miłości.

Oto i ona. Kto by pomyślał? Była przy mnie przez cały czas.

Wszystko, co wiem o miłości w wieku dwudziestu ośmiu lat

Każdy przyzwoity mężczyzna woli kobietę żyjącą w zgodzie ze sobą od takiej, która sięga po różne sztuczki, żeby wywrzeć na nim wrażenie. Nigdy nie należy pracować na podtrzymanie uwagi faceta. Jeśli on wymaga, żebyś „zasłużyła" na jego zainteresowanie, to znaczy, że ma problemy, za które nie powinnaś czuć się odpowiedzialna.

Prawdopodobnie nie zaprzyjaźnisz się z chłopakiem najlepszej przyjaciółki. Odpuść sobie to marzenie, pożegnaj się z fantazją. Dopóki ona jest z nim szczęśliwa, a ty dajesz radę wytrzymać z nim do końca lunchu, wszystko jest w porządku.

Mężczyźni uwielbiają widok nagiej kobiety. Wszystkie inne bajery to kosztowna strata czasu.

Randkowanie online jest dla odważnych. Coraz trudniej poznaje się ludzi w prawdziwym życiu. Ci, którzy biorą sprawy w swoje ręce i płacą co miesiąc za szansę na zbliżenie się do miłości, wypełniają okienka pod profilem zawstydzającymi wyznaniami, że szukają kogoś wyjątkowego, z kim mogliby trzymać się za ręce w supermarkecie, są godnymi podziwu romantycznymi bohaterami.

Wydepiluj sobie bikini, jeśli chcesz. A jak nie chcesz – to nie. Jeśli lubisz gładką skórę i masz dość kasy, to chodź na wosk cały rok. Nigdy nie rób tego dla faceta. I nigdy nie rezygnuj z tego dla „siostrzeństwa", bo siostrzeństwo ma to w dupie. Jeśli chcesz się na coś przydać, to zostań wolontariuszką w schronisku dla kobiet, zamiast pieprzyć godzinami o upolitycznieniu włosów łonowych. I nigdy nie chodź na depilację tylko dlatego, że twoim zdaniem bez

tego będziesz obrzydliwa albo niehigieniczna – gdyby to była prawda, każdy niewydepilowany facet na świecie byłby obrzydliwy. (Jeśli tylko finanse na to pozwolą, nigdy więcej nie zbliżaj się do kremu depilującego).

Może przez kilka pierwszych lat po zakończeniu związku nie będziesz w stanie słuchać niektórych piosenek, ale prędzej czy później ta muzyka znów cię znajdzie. Wszystkie wspomnienia sobotnich wypraw nad morze i niedzielnych wieczorów spędzanych na kanapie z talerzem spaghetti powoli wyplączą się spomiędzy akordów, odfruną i znikną. Głęboko w trzewiach zawsze będziesz czuła lekkie ukłucie przypominające, że przez jeden tydzień ta piosenka i ten mężczyzna stanowili centrum twojego wszechświata, ale dojdziesz do punktu, kiedy nie będzie cię już od tego palić w sercu.

Jeśli nadal upijasz się i flirtujesz z innymi na oczach swojego chłopaka, z waszym związkiem jest coś nie tak. Albo – co bardziej prawdopodobne – to z tobą jest coś nie tak. Zastanów się, lepiej prędzej niż później, dlaczego potrzebujesz tyle zainteresowania. Żaden mężczyzna na świecie nie zdoła zapewnić ci tyle natychmiastowej satysfakcji, by wypełnić pustkę, którą odczuwasz.

Miłość, którą otrzymujesz od innych ludzi, najczęściej odzwierciedla tę, którą dajesz samej sobie. Jeśli nie potrafisz traktować się z życzliwością, troską i cierpliwością, to prawdopodobnie ktoś inny też nie będzie w stanie ci tego zapewnić.

To, jak gruba albo szczupła jesteś, nie ma nic wspólnego z tym, na ile miłości zasługujesz i ile jej otrzymasz.

Rozstania stają się z roku na rok coraz trudniejsze. W młodości tracisz chłopaka. Kiedy jesteś starsza, tracisz wspólne życie.

Żadna kwestia praktyczna nie jest dość istotna, by uzasadnić trwanie w niewłaściwym związku. Wakacje i śluby można odwołać, dom można sprzedać. Nie ukrywaj swojego tchórzostwa pod płaszczykiem organizacyjnych trudności.

Jeśli stracisz do kogoś szacunek, nie zdołasz znów się w nim zakochać.

Dostosowanie do życia partnera powinno być wzajemne. Oboje powinniście poznawać przyjaciół, rodzinę, zainteresowania i pracę

drugiej osoby. Jeśli nie będzie w tym równowagi, wkrótce zaczniesz mieć o to żal.

Jeśli czujesz, że to właściwe, idź z nim do łóżka na pierwszej randce. Nigdy nie słuchaj przemądrzałych rad, wedle których mężczyzna jest osłem, a ty marchewką. Nie jesteś przedmiotem, który należy zdobyć, tylko człowiekiem z krwi, kości, wnętrzności i emocji. Seks to nie gra o władzę – to doświadczenie oparte na wzajemnym szacunku, zgodzie, radości i twórczej współpracy.

Nie ma nic gorszego niż odczucia, jakie towarzyszą zerwaniu z kimś. Bycie porzuconą wiąże się z wściekle intensywnym cierpieniem, które w pewnym momencie da się przekuć w nową energię. Poczucie winy i żal, kiedy się kogoś porzuciło, nie znajdują takiego ujścia, lecz koncentrują się w środku. Jeśli im na to pozwolisz, będą wiecznie w tobie krążyć. W tej kwestii zgadzam się z Audenem:

„Jeżeli miłość nigdy nie jest jednakowa/ Niech to ja będę zawsze tym, kto bardziej kocha”[5].

Jest nieskończenie wiele powodów, dla których ktoś jest sam w wieku trzydziestu, czterdziestu lub stu czterdziestu lat – i to nie oznacza, że nie nadaje się do związków. Każdy ma swoją historię. Zatrzymaj się i jej wysłuchaj.

Seks z nieznajomym zawsze jest dziwny, ale jeszcze dziwniejsze są wrażenia, kiedy zostajesz na noc w jego pościeli i sypialni albo on w twojej.

Nikt nie ma obowiązku być jedynym dostarczycielem twojego szczęścia. Przykro mi.

Idealny mężczyzna jest życzliwy, zabawny i szczodry. Schyla się, by przywitać pieska, i montuje w domu półki. Dodatkowe punkty można przyznać za wygląd wysokiego żydowskiego pirata o oczach Clive’a Owena i bicepsach Davida Gandy’ego, ale pamiętajmy, że to powinien być miły dodatek, a nie punkt wyjścia.

Każdy może być pociągający. O wiele wspanialej jest być kochanym.

Nie udawaj orgazmów. To nikomu nie służy. Facet jest dorosły i udźwignie prawdę.

Jeśli robisz to z właściwych powodów i obie strony są w pełni świadome charakteru zajścia, przypadkowy seks może być świetny, ale jeśli stosujesz go jak lek bez recepty, żeby poczuć się lepiej sama ze sobą, czeka cię okropnie niesatysfakcjonujące doświadczenie.

Najbardziej ekscytujące są pierwsze trzy miesiące związku, kiedy jeszcze nie wiesz, czy ten ktoś jest twój. Wspaniały etap nadchodzi zaraz potem, kiedy już wiesz, że należycie do siebie. Tego etapu, który ma miejsce kilka lat później, nigdy nie doświadczyłam. Ponoć nie zawsze jest ekscytujący, ale słyszałam, że i tak nie ma nic lepszego.

Jeśli w związku coś się sypie, zawsze jesteś za to częściowo odpowiedzialna, pod warunkiem że nikt nie umarł. Ta wiedza jednocześnie przytłacza i daje poczucie swobody. Mężczyźni nie są źli, kobiety nie są dobre. Ludzie są ludźmi. Wszyscy dopuszczamy do błędów i je popełniamy.

Bliskość jest prawdziwym celem, nie lenistwo.

Pozwól przyjaciółkom, żeby raz opuściły cię dla związku. Te najlepsze zawsze wrócą.

Aby spowolnić bicie serca i znaleźć spokój podczas nocy, kiedy sen wydaje się czymś niemożliwym, odpłyń w marzenia o przygodach, które cię czekają, i pomyśl o już pokonanej drodze. Opleć się mocno ramionami, obejmij w ciepłym uścisku i pomyśl: Jestem przy tobie.

5 W.H. Auden, *Ten, kto bardziej kocha*, przeł. Stanisław Barańczak.

Podziękowania

Dziękuję mojej agentce Clare Conville, która nadała tej książce kształt, kiedy była ona zaledwie garścią karteczek samoprzylepnych, strzępów historii i pomysłów. Doceniam, że reprezentuje mnie przyjaciółka o równie nieprzebranych pokładach życzliwości jak zapas jej talentu.

Dziękuję Juliet Annan, która doskonale zrozumiała tę książkę i mnie już na pierwszym spotkaniu. Twój instynkt i spostrzeżenia robiły na mnie wrażenie od początku aż do końca współpracy. Nawet nie śniłam o kimś tak pełnym humoru, wiedzy i umiejętności; nie mogłabym trafić na lepszą redaktorkę.

Dziękuję Annie Steadman za jej fantastyczną pracę nad tą książką i za niestrudzone kibicowanie mojemu pisarstwu od tylu lat.

Dziękuję Poppy North, Rose Poole i Elke Desanghere z wydawnictwa Penguin za ich niespożytą energię, entuzjazm i gotowość do współpracy. Takie kobiety jak Wy są dla siostrzeństwa na wagę złota.

Dziękuję Marian Keyes i Elizabeth Day za to, że przeczytały moją książkę na wczesnym etapie i wspierały ją tak szczodrze i z wielkim sercem.

Dziękuję Sarah Dillistone, Willowi Macdonaldowi i Davidowi Grangerowi za to, że postanowili dać szansę dwudziestodwulatce z fryzurą na Billy'ego Idola i przyjęli mnie do pracy, która zmieniła moje życie (wątpię, bym jeszcze kiedyś znalazła robotę, gdzie będę się tak dobrze bawić).

Dziękuję Richardowi Hurstowi, że jako pierwszy zachęcił mnie do pisania, niezłomnie wspierał, mądrze doradzał, a także że odkrył przede mną punk rocka, kiedy miałam szesnaście lat.

Dziękuję Edowi Crippsowi i Jackowi Fordowi, dzięki którym chcę być zabawniejszą osobą – tylko po to, by ich rozśmieszać.

Dziękuję Jackie Annesley i Laurze Atkinson, że dały mi własną rubrykę w „Sunday Timesie", za ich pomoc redakcyjną i przewodnictwo pełne cierpliwości i troski, a także za to, że tak wiele nauczyły mnie o tym, jak należy opowiadać historie.

Dziękuję niesamowitym kobietom, które nie tylko przeżyły ze mną te wszystkie sytuacje przez ostatnią dekadę, ale też pozwoliły mi się nimi podzielić. Szczególnie wdzięczna jestem Farly Kleiner, Lauren Bensted, A.J. Smith, Indii Masters, Sarah Spencer Ashworth, Lacey Pond-Jones, Sabrinie Bell, Sophie Wilkinson, Helen Nianias, Belle Dudley, Alex King-Lyles, Octavii Bright, Peach Everard, Millie Jones, Emmie Percy, Laurze Scott, Jess Blunden, Pandorze Sykes, Hannah Mackay, Sarah Hicks, Noo Kirby, Jess Wyndham i Victorii Glass.

Dziękuję rodzinie Kleinerów za to, że pozwolili mi napisać o Florence i zadedykować jej tę książkę – ich pokora, uczciwość i pasja zawsze będą dodawać mi sił i zapewniać mi inspirację.

Dziękuję mojej rodzinie – mamie, tacie i Benowi. Zawsze mi powtarzali, że wszystko jest możliwe. Od niepamiętnych czasów zachęcali mnie, bym była szczera w swoich opowieściach, i dawali mi bezpieczną pewność, że nigdy nie poczuję się przez nich oceniana. Mam niewiarygodne szczęście, że jesteście częścią mojego życia – bardzo, bardzo Was kocham.

I wreszcie dziękuję Farly. Bez Twojego niezachwianego wsparcia i zachęty nigdy nie napisałabym tej książki. To Ty jesteś – i zawsze będziesz – moją ulubioną historią o miłości.

Spis treści

Wszystko, co wiedziałam o miłości jako nastolatka
Chłopcy
Kronika kiepskich randek: dwanaście minut
Kronika kiepskich imprez: akademik University College London, Nowy Rok 2006
Utracjuszka jedzie do Leamington Spa
Przepis: makaron z serem w sam raz na kaca (porcja na cztery osoby)
Kronika kiepskich randek: hotel przy głównej ulicy w Ealing
Kronika kiepskich imprez: Cobham, Nowy Rok 2007
10 listopada
Trochę gruba, trochę chuda
Wszystko, co wiedziałam o miłości w wieku dwudziestu jeden lat
Diabli nadali, czyli jak zostałam piątym kołem u wozu
Rzeczy, których się boję
Wiecznie Björn Again
Najbardziej irytujące rzeczy, jakie mówią ludzie
Niefajne dziewczyny z niefajnego Camden
Przepis: uwodzicielska sola w maśle (sole meunière) (na dwie osoby)
3 lutego
Przepis: pizza jabłkowa z lodami, kiedy nie chce ci się ruszyć tyłka (na cztery osoby)
„Nic się nie zmieni”
Kronika złych randek: rachunek na trzysta funtów
Kronika złych imprez: mój dom w Camden, przyjęcie bożonarodzeniowe w 2014 roku
Przepis: kanapka na pocieszenie po tym, jak wykopali cię z klubu (na dwie osoby)
Kronika złych randek: jak przelizałam się z facetem na trzeźwo przed południem
Wszystko, co wiedziałam o miłości w wieku dwudziestu pięciu lat
Powody, dla których warto i nie warto mieć chłopaka

Ulica Tottenham Court i zamawianie śmieci z Amazona
12 grudnia
Tygodniowa lista zakupów
Florence
Przepis: jajecznica (na dwie osoby)
SMS-y, które moja współlokatorka India pozwala mi wysyłać ze swojego telefonu w swoim imieniu (Ja też nie wiem, dlaczego się na to zgadza)
23 marca
Co mówi moja terapeutka
12 czerwca
Klub złamanych serc
Zrobiona w guru
18 października
Wystarczy
Dwadzieścia osiem lekcji na dwudzieste ósme urodziny
Powrót do domu
Wszystko, co wiem o miłości w wieku dwudziestu ośmiu lat
Podziękowania